

# Śpiewająca lipka

## Bajki Słowian Zachodnich

### praca zbiorowa

## Wydawnictwo „Śląsk” Katowice

Przepisała Marianna Żydek

### O Janku, Aniczce i o lisku

Działo się to nie wiadomo kiedy, gdzieś w siedemdziesiątej siódmej krainie, za czerwonym morzem i z tamtej strony szklanej góry, gdzie woda sypie się jak piasek, a piasek płynie jak woda, tam, gdzie dachy kryją połciami słoniny, a płoty splatają z kiełbasek. W takiej to krainie żył pewien ubogi wieśniak, a miał dwoje dzieci: chłopcu na imię było Janko, a dziewczynce Aniczka. Żyli i utrzymywali się z małego poletka za chałupką.

Rodzice tak mówili do dzieci:

- Tu orzcie, tu siejcie, i niech was żywi ta ziemia!

xxDziewczynka, młodsza, miała około dziesięciu lat, chłopiec miał czternaście, gdy umarli im rodzice. Wtedy Aniczka powiedziała do brata:

- Braciszku, zostaliśmy sami, będziemy teraz tak żyć, jak nam przykazali rodzice: będziemy orać i obsiewać naszą rolę, a ona będzie nas żywić.

Pewnego razu, gdy pracowali w polu, przybiegł do nich lisek.

- Szczęść Boże, Janku i Aniczko! Jak idzie robota?

Wtedy dzieci zaczęły się użalać na swoją biedę, mówiły, że nie mają co jeść i w co się ubrać.

- Nie martwcie się, zatroszczę się o was. Wkrótce wrócę - a na razie - trzymajcie się!

To powiedziawszy lisek pobiegł dalej. Po drodze był strumyczek, w którym właśnie kąpali się mężczyźni i kobiety. I co robi nasz lisek? - Jednemu zabiera spodnie, innemu koszulę i kapelusz, a każdemu coś innego. Tak zebrał sporo rzeczy dla obojga rodzeństwa i zaniósł to do chatki.

- No, Aniczko, martwiłaś się, że chodzicie goło i boso. Tu jest coś dla każdego z was, ubierzcie się! - Dał im rzeczy, a potem spytał: - Hej, Janku, nie chciałbyś się ożenić?

- Ależ, lisku, przecież jestem jeszcze wciąż obdarty i biedny. Kto mnie zechce, skoro nie mam nawet porządnego ubrania.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze! - pocieszył go lisek, potem pożegnał się z nimi i pobiegł dalej.

Przyszedł pod pewną górę, gdzie spotkał zająca.

- Kumie, lisku, dokąd tak spieszo?

- Ach, mój drogi, wszystkim lisom pozłacali ogony, a ja się spóźniłem; teraz pędzę do złotnika, żeby mi także pozłocił moją puszystą kitę.

- Słuchaj, kumie lisie! Myśliwi dość się nauganiają za mną, żeby złapać takiego ładnego długoucha, ale gdybym miał złote uszy, byłbym wtedy jeszcze więcej wart!

- Owszem, masz rację, ale przecież tobie jednemu złotnik nie będzie pozłacał uszu! Gdyby was było więcej, to kto wie... Wiesz co! Przyprowadź choćby ze dwanaście zajęcy, być może, wówczas złotnik zgodzi się pozłocić wam uszy.xy

xxZając krzyknął w kierunku góry i po chwili zebrała się spora gromada szaraków. Było ich około dwunastu. Zając ustawił je parami w szeregu. Lisek wyskoczył przed nich i tańcząc przywiódł całą gromadkę przed królewski pałac. Tu rzekł do zajęcy:

- No, to jesteśmy na miejscu. Tu właśnie mieszka złotnik. Poczekajcie, pójdę i dowiem się, czy zechce wam pozłocić uszy.

Szaraki czekały cierpliwie, a lisek pobiegł do pałacu.

Młoda księżniczka wyglądała właśnie przez okno. Zdziwiła się niepomiernie, widząc zające, i powiedziała do ojca:

- Chodź prędko, ojcze, powiedz mi, jak się nazywają te zwierzątka!

- To są zające, córeczko!

Tymczasem liska przyprowadzono przed króla. Ten zapytał go, czego sobie życzy. Lisek oświadczył, że przysłał go książę Santokop z podarunkiem oraz z prośbą o rękę księżniczki. Król wysłuchawszy, polecił przekazać wzajemne pozdrowienia księciu Santokopowi, oraz prośbę o cierpliwość, bowiem księżniczka jest jeszcze za młoda do małżeństwa.

Lisek pożegnał się i wrócił do zajęcy. Tu powiedział im, że złotnik zgodził się pozłocić im uszy, ale że on sam, niestety, musi jeszcze z pozłoceniem ogona poczekać jakiś czas. Potem wprowadził zajęce do ogrodu, pożegnał się z nimi i poszedł sobie. Wtem przyszło mu na myśl, że Janko i Aniczka mogą być znowu głodni. Właśnie mijał górę, gdzie pracowali drwale. Podkraść się do nich, jednemu zabrał kawałek słoniny, innemu chleb i - hop! - już był u Janka i Aniczki. Dzieci pracowały na swoim poletku, ale - wyczerpane głodem - ledwo się ruszały. Wraz z jedzeniem, które im przyniósł lisek, wstąpiły w nie nowe siły. Jadły więc i jadły, popijając wodą. Po jakimś czasie lisek pyta: - No i co, Janku, jak tam z żeniączką? Namysłiliście się?

- Ach, lisku, daj mi spokój! Czy nie widzisz, że nasza chata się rozpada?

Jakże mógłbym wprowadzić do niej żonę?

- Nie martw się, Janku, postaram się o wszystko!

To rzekłszy lisek znikł znowu. Biegł, biegł, aż spotkał jelenia:

- Lisku, kumie, dokąd tak pędzisz?

- Masz rację, rzeczywiście się śpieszę. Wszystkim lisom pozłacano ogony, a ja się spóźniłem. Teraz pędzę, żeby i mnie pozłocili moją puszystą kitę.xy

xx- Słusznie! - przytaknął jeleni.

- Hm, ciebie strzelcy widzieliby już z daleka, gdyby ci się rogi świeciły od złota...

- To prawda, ale jak by to było pięknie! - westchnął jeleni.

- Nno tak... ale dla jednego jelenia nie będą nawet zaczynać z pozłacaniem. Gdyby was było więcej, to wtedy, kto wie...

Jeleni odwrócił się w kierunku lasu i na jego zawołanie przybiegło zaraz dwanaście innych jeleni. Lis stanął na przedzie i, pięknie tańcząc, powiódł je prosto przed siebie, a one poszły posłusznie za nim, ustawivszy się parami.

Tymczasem księżniczka każdego dnia wyglądała oknem i czekała na wiadomość od księcia Santokopa. Nagle ujrziała lisa kroczącego na czele stada pięknych jeleni. Zawołała ojca:

- Ojej, ojczu, popatrz, co to się zbliża! Czegoś takiego jeszcze, jak żyję, nie widziałam! A jakie wielkie rogi!

- To są zacne zwierzęta, moja córeczko!

Lis tymczasem zwrócił się do jeleni:

- Zaczekajcie tutaj, a ja pójdę do złotnika i rozkażę mu, żeby wam pozłocił rogi.

Gdy zaś wszedł do zamku, rzekł: - Przynoszę waszej wielmożności pozdrowienia od księcia Santokopa. Księżę pyta, czy dacie mu córkę za żonę.

- Ależ naturalnie, dostanie ją, niech tylko trochę poczeka, bo księżniczka jest jeszcze za młoda.

- No, to wszystko w porządku. Chcieliśmy tylko mieć pewność!

Teraz Lisek pobiegł do jeleni i powiedział im, żeby na razie poszły do ogrodu i tam poczekały na złotnika. Potem wrócił do zamku, gdzie spodziewał się poczęstunku. Rozsiadł się i rzekł: - W domu jest o wiele lepiej niż tutaj. Tam kołyszą mnie nawet w złotej kołysce! A tu ani nie poczęstują.

Usłyszawszy to królowa szepnęła do męża: - Słyszałeś, on ma w domu złotą kołyskę! To jakiś zaczarowany książę!

Przyniesiono więc prędko złotą kołyskę, zawieszono ją nad stołem, tam gdzie lampa, i lisek mógł się wygodnie pohańcać. Wreszcie zdecydował się pójść do domu. Wtedy przygotowano mu na drogę mnóstwo różnych smakołyków dla przyszłego zięcia i jego siostry. Lisek zabrał wszystko i pobiegł do Janka i Aniczki. Tam powiedział im, że tego a tego dnia wypadnie im wybrać się wspólnie w drogę, w swaty. Aniczkę pouczył, jak ma się zachować w wytwornym domu, a Janka - jak ma się zachować wobec młodej narzeczonej. Potem wybrali się w drogę, w swaty. Idą, idą. Wtem - patrzą - a tu jakaś karetka ugrzęzła w błocie i ludzie męczą się, nie mogąc wyciągnąć. - Pomogę wam wyciągnąć ten powóz, ale za to musicie mi pozwolić odciąć koniom ogony - zaofiarował się lisek z pomocą. Ludzie oczywiście zgodzili się na to i lisek wyciągnął im karetkę z błota, a potem poobcinał koniom ogony i dał je Jankowi: - Schowaj, będą nam później potrzebne - polecił. Potem jeszcze długo szli i szli, aż napotkali huzarów na koniach. Lisek zagadnął ich: - Wojacy! Przez te góry nie przejdziecie na waszych koniach, jeśli nie poobcinacie im ogonów! Moi żołnierze stoją za tymi oto właśnie górami, ale ich konie ogonów nie mają! Jak tylko zobaczą wasze konie z ogonami, wezmą was za wroga, a wtedy - koniec z wami! Jeśli jednak zobaczą wasze konie także bez ogonów, pomyślą sobie, że należycie do mnie i spokojnie was przepuszczą.

Huzarzy usłyszawszy to, poobcinali koniom ogony i dali je liskowi, po czym odjechali w swoją stronę.

Gdy Janko, Aniczka i lisek byli już niedaleko zamku, natrafili na wielkie moczary. Wtedy lisek wziął wszystkie końskie ogony i powtykał je w grzęzawisko. Potem w pobliskiej wsi zakupił mnóstwo różnych kapeluszy, dobrych i byle jakich, a był tego chyba pełen wóz. Jankowi polecił: - Teraz ja pobiegnę do zamku, a ty - jak tylko mnie tam już zobaczysz - wejdiesz na most i powrzucasz te wszystkie kapelusze do wody.

I lisek pobiegł na zamek, a tam, udając wielce strapionego, zaczął opowiadać, że oblubieńcowi przydarzyło się straszne nieszczęście. Oto wszyscy jego żołnierze potopili się w grzęzawisku, tak że tylko ledwo jeszcze widać im ogony. I: „Patrzcie, tam, dalej, gdzie płynie woda, tam potopili się jego ludzie!”

Król z małżonką i księżniczka pełni przerażenia słuchali tych wieści i tylko drżeli ze strachu, czy aby oblubieńcowi nie stało się nic złego, czy się, broń Boże, nie utopił!

Tymczasem lisek opowiadał dalej, że wszystko, co wieźli z sobą, również zatoneło w bagnach: bogate stroje, potrawy, napoje, prezenty, słowem - wszystko pochłonęły grzęzawiska. A teraz, ach, ten biedny młodzieniec i jego siostra wstydzą się tak obdarci i brudni pokazać na zamku. Królowa jednak powiedziała, że to nie ma znaczenia, jeśli tylko narzeczonemu uratował

życie.xy

Wkrótce przyniesiono piękne szaty, zaprzężono wspaniałe konie do powozu i posłano po Janka. Oboje, Janko i Aniczka, bardzo uradowani, ubrali się w te stroje i wsiedli do złotej karocy. A lisek cieszył się ogromnie, że tak im się to wszystko pomyślnie udało.

Potem, pełen dumy i zadowolenia, wprowadził na zamek Janka, przyszłego zięcia, i jego siostrę, Aniczkę.

Jednak brat i siostra czuli się onieśmieleni, nie bardzo wiedząc, jak się zachować w tak dostojnym gronie. Nie mogli pozbyć się tego uczucia i byli smutni, prawie chciało im się płakać z żalu za tym, czego się wyrzekli. Ale goście weselni czynili wszystko, aby ich rozweselić i pocieszali, że wszystko będzie dobrze. Zaś młoda pani była bardzo dumna ze swego oblubieńca.

Lisek tymczasem rozmyślał, co zrobić, gdzie i jak urządzić młodych. Wtem przyszło mu na myśl, że ma przecież macochę, która jest złą czarownicą, a żyje już dziewięćdziesiąt lat.

Dosyć zła już naczyniła, i jeśli nie może umrzeć, to trzeba obmyślić plan, żeby się powiesiła.

xxWesele miało się ku końcowi. Wypoczęci goście postanowili pójść ku bagnom zobaczyć ogrom strat: zatopione konie i różne inne dobra. Wtedy to jakiś mocniejszy chłopak chwycił za koński ogon, chcąc wyciągnąć konia z grzęzawiska. Ledwo chwycił - już ogon ma w ręce, a konia nie ma! Tak się przeraził, że aż oczy wyszły mu na wierzch, i wrzasnął na cały głos: - Ludzie kochani! jakiś potwór pożarł konie a zostawił tylko ogony!

I tak, na szczęście, podstęp nie wydał się. Potem, po skończonych uroczystościach weselnych, załadowano na wozy wszystek dobytek i posag młodej pani i ruszono w drogę.

Lisek pobiegł naprzód. Pędził i pędził, aż natknął się na wielkie stado świń. Rzekł do świniarków: - Hej, chłopcy, będzie tu wkrótce przejeżdżać bogata dama. Gdy spyta was, czyje są te świny, powiedzcie, że księcia Santokopa. Wtedy ta dama da wam hojny napiwek.

Po jakimś czasie przejeżdża królowa i pyta: - Czyje to świny?

- To są świny księcia Santokopa!

Wtedy sypnęła im garść pieniędzy. Rzucili się na nie łapczywie gdyż każdy chciał zagarnąć jak najwięcej dla siebie.

Lisek tymczasem biegł już dalej i teraz spotkał stado krów. Zawołał: - Hej, pastuszki, będzie tu wkrótce przejeżdżać wytworna dama. Gdy spyta, czyje są te krowy, powiedzcie: księcia Santokopa. Wtedy ta dama da wam hojny napiwek.

Tak też się stało. Gdy królowa nadjechała, spytała ich:

- Czyje są te krowy?

- To są krowy księcia Santokopa - odparli zgodnie.xy

xxDama sięgnęła znowu do kieszeni i dała im pieniądze.

A lisek biegł już naprzód, ile sił w nogach. Tak przybył do swojej macochy, owej złej czarownicy, która mieszkała we wspaniałym pałacu o dwunastu bogatych komnatach, miała oprócz tego mnóstwo świń, krów, koni i innego różnego dobra. Gdy już liskowi to wszystko pokazała, ten rzekł: - I na co ci to wszystko? Już nadciąga wojsko, posiekają cię na kawałki! Czarownica przeraziła się: - Ojej, to już raczej sama się powieszę.

Lisek szybko postarał się o dobry stryczek i wyprowadził ją do dwunastego pokoju. Tam też powiesiła się zła czarownica.

Wkrótce potem nadjechali goście weselni i młoda para. Lisek podarował Jankowi pałac: - Janku, odtąd będziesz tutaj żył z twoją księżniczką, a ja z twoją siostrą. Teraz jednak musisz wykonać jedno bardzo trudne zadanie. Zaprowadził Janka do jedenastej komnaty, tam wręczył mu miecz i rzekł: - Tym oto mieczem przetrnij mnie na pół!

- Ależ lisku, jakże mógłbym to zrobić! - strapił się Janek.

- Jeśli ty tego nie zrobisz ze mną, to ja zrobię to samo z tobą!

- Nie! To jest również niemożliwe! Przecież nie mógłbym się cieszyć i być szczęśliwy z moją żoną, gdybyś mi życie odebrał! - To rzekłszy Janek chwycił miecz i rozplątał liska. W tym momencie stanął przed nim przepiękny młodzieniec.

- Widzisz, Janku, gdy mój ojciec ożenił się po raz drugi, wziął sobie za żonę tę właśnie złą czarownicę. To ona zamieniła mnie w lisa, żeby zagarnąć cały mój majątek dla siebie. Teraz pojmem Aniczkę za żonę i będziemy oboje żyć szczęśliwie.

Jeszcze tego samego dnia poślubił Aniczkę i zaczęło się dla nich wszystkich szczęśliwe życie. Złą czarownicę pochowali, a sami - jeśli nie pomarli - to żyją do dziś.xy

O chłopie, co szedł do piekła z kielbasą

Byli raz biedni ludzie, którzy nie mieli ani domu, ani niczego, tylko jedno prosię, które pasali po miedzach. Mieli też pięcioro dzieci, bosych i obdartych. Pewnego razu matka tak mówi do męża:

- Wiesz co? Zabijemy prosię, zrobimy pięć kielbas i zanieśiesz je do piekła. Tam dostaniesz za to pieniądze.

Było to dawno, kiedy jeszcze diabły chodziły po świecie. No i chłop poszedł, ale droga do piekła była daleka. Idzie przez wielki las, a w środku tego lasu stała mała chałupka. W tej chałupce mieszkał samotnie staruszek. Zachodzi tam chłop z tymi kielbasami, a staruszek pyta:

- Chłopku, dokąd idziesz?

On mu na to:

- Idę do piekła, bo u nas wielka bieda.

Staruszek powiada:

- Czegoż chcesz tam za te kielbasy?

Chłop mówi:

- Mam dzieci, są bose i obdarte, więc żona wysłała mnie z tymi kielbasami do piekła, żebym dostał za nie pieniądze i mógł kupić dzieciom przyodziewek.

Staruszek na to:

- Nie chciej, chłopku pieniędzy, nie chciej, bo ci te diabelskie pieniądze przepadną. Zażądaj tego, co diabły mają na trzecim stole. Nie będą chciały ci tego dać, będą wołały raczej worek pieniędzy wynieść ci aż za las. Dam ci tu laskę, idź do piekła z tymi kielbasami i z tą laską, tylko nie dawaj jej nikomu. Jak diabły uprą się, żeby nie dać ci tego, co mają na trzecim stole, wtedy zamierz się tylko tą laską, a one już poznają, że to laska ode mnie i zaraz po to pobiegną. A będzie to biały obrus.

Chłop pożegnał się ze staruszkiem i poszedł do piekła. Zanim tam jednak dotarł, już diabły nadleciały i zjadły mu kielbasy. Ale obrusa nie chciały mu dać, tylko pieniądze. Wtedy chłop zamierzył się laską i, trudno, musiały dać mu obrus. Kiedy już wracał z piekła, staruszek czekał na niego.

- No, i co tam? Dostałeś obrus? - pyta.

Chłop na to:

- Starzyku, starzyku, diabły nie chciały mi go dać, ale jak się zamierzyłem waszą laską, zaraz mi go dały.

- Głodny jesteś? - pyta dalej staruszek.

- Toć głodny, a do domu jeszcze daleko - mówi chłop.

Staruszek poprosił o obrus, rozłożył go pięknie na trawie i zawołał:

- Obrusku, rozwiń się!

I obrus się rozwinął, a było na nim mnóstwo rozmaitego jadła, tak że obaj sobie dobrze podjedli. Potem staruszek powiedział:

- Obrusku, zawiń się!

Obrusek strzepnął z siebie okruszyny, żeby ptaki mogły je pozbierać i zawiął się.

Potem staruszek mówi do chłopca:

- Teraz idź do domu. Twoje dzieci nie będą już więcej głodne, i jeszcze dla ptaków zostanie.

Chłop podziękował, zabrał obrus i ruszył dalej w drogę. Na skraju lasu była gospoda, a w niej zła karczmarka. Ale że noc już zapadła, chłop postanowił tam zanoć. Karczmarka pyta go:

- Gdzie byłeś?

A chłop, jako że był uczciwy i nie umiał cyganić, szczerze powiedział:

- Byłem w piekle, nosiłem tam kielbasy.

Karczmarka pyta dalej:

- I cóż tam dostałeś?

- Ano, taki obrus, że jak się go rozwinie, to są na nim rozmaite jadła.

Karczmarka dała mu bardzo smaczną wieczerzę, a potem powiedziała:

- Idź już spać!

Gdy chłop już zasnął, przyszła i zabrała mu jego obrus, a dała mu inny, swój, też biały.

Przychodzi chłop do domu, dzieci głodne, wołają jeść. Chłop wyjmując obrus i mówi:

- Obrusku, rozwiń się!

Obrus nic, ani drgnie. Żona wzięła obrus, złożyła go i schowała, chłop rozplakał się, że dzieci głodne. W końcu mówi do żony:

- Wiesz co? Daj mi jeszcze kielbas, pójdę i zaniosę je diabłom.

Baba dała mu te kielbasy i chłop wybrał się drugi raz do piekła. Po drodze znów spotkał staruszkę. Ten dał mu znowu laskę i poradził, żeby nie chciał pieniędzy, tylko z trzeciego chlewika baranka. Poszedł chłop dalej, ze swoimi kielbasami, a kiedy był już przed piekłem, diabły wyskoczyły i zjadły mu kielbasy.

- Czego chcesz za te kielbasy?

- Z trzeciego chlewika czarnego baranka!

Długo nie chcieli mu go dać, wymawiali się, ale jak tylko zamierzył się laską, zaraz wypuścili baranka.

Chłop wziął go, prowadzi i rozmyśla:

„Hm, czarny baranek. Żeby to chociaż była owieczka, miałbym jakiś pożytek, bo to i wydoić by można. A baranek? Chyba tylko zabić i zjeść.”

Przyszedł z tym barankiem do staruszki i mówi:

- Starzyku, nie mam szczęścia!

A ten na to:

- Podejdź tu bliżej z tym barankiem. - Potem rzekł:

- Baranku, otrząśnij się!

Baranek zaczął się trząść, a tu lecą z niego złote dukaty, było ich zaś tak wiele, że chłop nie miał już ich gdzie chować. Staruszek mówi:

- Baranku, przestań się trząść. Dziękuję ci, baranku!

Chłop pozbił pieniądze, a czego już nie mógł zabrać, to ułożył na kupkę, żeby sobie mógł zabrać ten, kto będzie przechodził lasem. Potem serdecznie podziękował staruszkowi i ruszył w drogę.



Kiedy mijał karcznię, zobaczyła go karczmarka-oszustka, i mówi:

- Wstap do nas na nocleg!

Podala mu zaraz dobra wieczere i wypytała o wszystko. On jej powiedzial, co dostal od diablow. Kiedy zasnal, zabrala mu jego baranka, a przyprowadzila innego, tez czarnego. Potem obudzila meza:

- Jochim, wstawaj, wez no tego baranka i powiedz: „Baranku, otrzasnij sie!”

Karczmarz wstal i, jak tylko wypowiedzial te slowa, natychmiast posypaly sie pieniadze z baranka.

Wczesnym rankiem chlop podziekowal za nocleg i wraca do domu z barankiem, nie wiedzac, ze prowadzi juz innego, a nie tego od diablow.

W domu zona mowi:

- Co nam po baranku, zeby to chociaz byla owieczka! Mielibysmy przynajmniej mleko.

Wtedy chlop zaczal wysypywac z kieszeni pieniadze.

- Chodzcie no tu, dzieci, skonczyła sie nasza bieda!

Jak juz dzieci pozbieraly pieniadze, przyprowadzil chlop baranka i mowi:

- Baranku, otrzasnij sie!

Baranek nic.

- Baranku, otrzasnij sie!

Baranek nic.

- Baranku, otrzasnij sie!

Baranek trzeci raz nic!

Wiec chlop mowi do baby:

- Daj mi jeszcze tych kielbas, wezme je i pojde znów do piekla.

I z ostatkiem kielbas powedrowal chlop trzeci raz do piekla. W lesie staruszek dal mu znowu laskę i znowu radzil, zeby nie chcial zadnych pieniedzy, tylko to, co wisi na trzecim kolku. A jakby diabły nie chialy tego dac, wtedy niech sie wezme do bicia.

Chlop zrobil tak, jak mu staruszek kazal i dostal to, co wialo na trzecim kolku. A byl to mieszek pelen kijow.

Potem staruszek powiedzial chlupu, zeby poszedl do owej gospody na nocleg:

„Bo ta karczmarka ma i obrusek, i baranka. Obrusek jest twój, baranek tez twój. Powiedz, zeby ci ta oddala, a jak nie zechce, wtedy rozwiadz worek i zawolaj: „Kije, hop na zlodziei!”

Tak tez sie stalo.

Chlop poprosil karczmarkę o swoje rzeczy, ale ona powiada, ze niczego nie brala. Wtedy rozwiadz mieszek i krzyknal:

- Kije, hop na zlodziei!

Zaszumiało, jakby wiatr straszny się zerwał, albo burza. A to kije tłukły złodziei, ile weszło. Kiedy już karczmarka zaczęła lamentować, narzekać, prosić, żeby dał spokój, że ona wszystko odda, chłop rozkazał:

- Kije, hop do mieszka!

I zaraz wszystko ucichło, i karczmarka oddała obrus i baranka. Chłop zabrał wszystko i poszedł do domu. Odtąd dobrze im się wiodło, a w kijach mieli swoich obrońców. Kiedy zbóje dowiedzieli się o baranku i obrusie, i chcieli je chłopu zabrać, wtedy on zawołał kije z mieszka. Kije wyskoczyły i tak stłukły zbójów, że ledwo uszli z życiem. Od tego czasu z daleka omijali chałupę chłopca.

polska

O złotym rysiu

Raz pewien król pojechał na polowanie i złapał złotego rysia. Wrócił do domu, wsadził go do osobnego pokoju, a klucz od niego dał żonie, przykazując, żeby nikt tam nie zaglądał. Potem porozpisywał listy do innych królów, żeby przyjechali zobaczyć, jakiego to on złapał zwierza. Tak się złożyło, że sam musiał gdzieś wyjechać.

A miał ów król jedyne dziecko. Jak ojciec wyjechał, chłopak wyjął matce po kryjomu klucz z kieszeni i otworzył pokój, w którym był zamknięty ryś. Zwierzę od razu wyskoczyło i uciekło do boru.

Wraca król z podróży, wkrótce po nim zjeżdżają się zaproszeni królowie.

Król bierze klucz, otwiera pokój - rysia nie ma.

Rozzłościł się strasznie. Żonie za karę za to, że dawała komuś klucz od tego pokoju, każe się ubierać, siadać do karety i opuścić zamek. Żona, słysząc to, mdleje, więc chłopak idzie do ojca i mówi:

- Ojcie kochany, matka nic tu nie zawiniła, wszystko to ja zrobiłem.

Poszedłem obejrzeć rysia, otwarłem drzwi, a on mi nagle uciekł.

Ojciec na to:

- Wobec tego ty poniesiesz karę!

Chłopak prosi:

- Ojcie, nie czyn mi nic złego, daj mi tylko furmana, powóz i parę koni.

Pojadę w świat i nigdy więcej już się tu nie pokażę.

Spodobała się prośba syna zgromadzonym na zamku królom i mówią:  
- Dobrze się osądził, dajcie mu to wszystko i niech sobie jedzie w świat.

Zaraz też zajechał powóz, chłopiec wsiadł do niego, a król rozkazał furmanowi, żeby wywiózł syna w dalekie kraje i zabronił, żeby sam nie wracał, ani nie przyprowadzał chłopca z powrotem.

Wyjechali, jadą i jadą, aż zajechali w takie miejsce, gdzie nie było nic, tylko góry i doliny, a i wsi żadnej nigdzie nie było. Konie pomdlały z gorąca, aż pyski pootwierały, im obojgu też pragnienie dokuczało, a tu nigdzie ni kropli wody. Wreszcie napotkali studnię, przy niej wiadro, ale bez żurawia. Wzięli linkę od karety, przywiązali wiadro i wpuścili do studni, niestety, linka była za krótka. Zdjęli więc jeszcze paski od spodni i przedłużyli linkę, ale i to nie pomogło. Uradzili więc, że jeden z nich musi wejść do studni.

Furman mówi:

- Wejdz ty!
- Jakbym wszedł, tobyś mnie nie wyciągnął - odparł chłopiec.
- Wejdz, wyciągnę cię na pewno!

Chłopiec spuścił się po linie, napełnił jedno wiadro, potem drugie, trzecie... Konie tak były spragnione, że wypity po sześć wiader, również furman wypił chyba całe wiadro. Jak już się napił do woli, mówi:

- Teraz siedź tam w tej studni, ja jadę!

Chłopak w płacz i woła:

- Wyciągnij mnie, możesz sam sobie jechać, tylko mnie wyciągnij!

Furman na to:

- Jak przyrzekniesz, że dasz mi swoje ubranie, a sam weźmiesz moje i będziesz odtąd woźnicą a ja królewiczem, to cię wyciągnę. Musisz mi też obiecać, że nikomu o tym nie powiesz.
- Dobrze, ale tylko tak długo będziesz królewiczem, dopóki ja z martwych nie wstanę.

Furman wyciągnął go, potem włożył na siebie ubranie królewicza, siadł do powozu; królewicz zaś ubrał się w przyodziewek furmana, wszedł na kozioł, wziął lejce w ręce, podciął konie i pojechali.

Po długiej drodze przyjechali przed pałac pewnego króla. Furman wysiadł z powozu i poszedł na pańskie pokoje, a królewicz zajechał końmi przed stajnię, wyprzągł je i dał im obroku.

U tego króla była śliczna córka. Zobaczyła go i strasznie jej się spodobał, jeszcze bardziej niż ten jego pan. Ale panna tak spodobała się byłemu furmanowi, że koniecznie chciał się z nią ożenić. Został więc dłużej w gościnie i tylko obawiał się jednego: żeby królewicz go nie wydał. Postanowił go jakoś zgładzić. Królowna tymczasem, jak tylko mogła, biegała do stajni, bo bardzo lubiła porozmawiać z tym chłopcem, chociaż powiedział jej, że jest tylko chłopskiego stanu. Furman dowiedziawszy się o tym, poszedł do króla i mówi:

- Najjaśniejszy panie, ten mój furman potrafi zrobić coś takiego, że konie będą miały złote grzywy, złote ogony i złote kopyta.

Król się ucieszył:

- A, to dobrze!

Przywołali królewicza i wypuścili dwanaście źrebaków takich, co to nigdy jeszcze nie biegały po dworze. Król stanowczo i surowo rozkazał:

- Bierz kij do ręki i idź za tymi źrebakami! Ale pamiętaj, żebyś wieczorem przyprowadził je ze złotymi ogonami, ze złotymi grzywami i złotymi kopytami.

Królewicz tłumaczy się z płaczem:

- Jakże ja mogę to zrobić?

- Idź i zrób jak ci każę, bo jak nie, to zginiesz.

Idzie królewicz za tymi źrebakami i płacze rzewnymi łzami. Nie zdążył się jeszcze obejrzeć, a tu źrebaków jak okiem sięgnąć, nie ma, gdzieś się porozbiegały. Przyszedł do boru - źrebaków ani śladu; siadł pod krzakiem i płacze. Patrzy, a tu biegnie ku niemu ten sam złoty ryś, którego wówczas wypuścił, i mówi:

- Dzień dobry ci, mój królewiczu!

- A, dzień dobry, złoty rysiu! Patrz, jaki mam kłopot przez ciebie: muszę do wieczora przyprowadzić dwanaście źrebaków ze złotymi grzywami, ze złotymi ogonami i ze złotymi kopytami! Nie wiem, co mam robić!

- No, nie martw się! Siadź tu i czekaj, przed wieczorem wrócę tu do ciebie.

Zbliża się wieczór, pędzi złoty ryś.

- Dobry wieczór, królewiczu!

- Dobry wieczór, złoty rysiu!

Ryś zagwizdał, a tu źrebięta już biegną. Dmuchnął ryś na każdego z nich - już kopyta, ogony i grzywy - złote. Teraz poradził królewiczowi:

- Siadaj na któregoś z nich, wtedy pozostałe pójdą za tobą.

Siadł królewicz na jednego źrebaka i jedzie; jeszcze było daleko do zamku, gdy zobaczył go król i wybiegł, żeby sprawdzić, czy źrebaki mają złote grzywy, ogony i kopyta. Patrzy, a tu aż łuna bije od szczerego złota.

Furman również spoglądał z okna pałacu i bardzo się zatrwożył, zobaczywszy owe źrebce.

Nazajutrz poszedł do króla i mówi:

- Najjaśniejszy panie, podobno są tu trzy takie woły, które jeszcze nigdy nie były na dworze. Mój furman powiada, że potrafi tak zrobić, że będą całe ze złota.

Król rozkazał wypuścić woły, a one z wielkim rykiem pobiegły do lasu.

Znów przywołano chłopca:

- Weź kij i idź za tymi wołami! Wieczorem przyprowadzisz je złote, bo jak nie - to zginiesz!

Królewicz rad nierad idzie. Zaszedł do boru, a tu wołów ani śladu. Usiadł pod krzakiem i zaczął płakać. Wreszcie zasnął ze zmęczenia. Wtedy zjawił się znowu złoty ryś i woła do chłopca:

- Dzień dobry, królewiczu!

- Dzień dobry ci, złoty rysiu! Widzisz, dzisiaj znów mam tyle kłopotu przez ciebie.

- No, wiem ja dobrze o tym, ale się nie martw! Siądź tu i czekaj, a ja wrócę do ciebie przed wieczorem.

Królewicz siadł i czeka. Nadchodzi wieczór, pędzi złoty ryś.

- Dobry wieczór, królewiczu!

- Dobry wieczór, złoty rysiu!

Ryś zagwizdał i wszystkie woły przybiegły. Dmuchał na nie i natychmiast zrobiły się całe złote.

Teraz rozkazał chłopcu:

- Bierz jednego z nich na sznurek, wtedy pozostałe dwa pójdą same za tobą. Boję się tylko, że to nie koniec twojej biedy. Tyś mnie ocalił, to i ja ci pomogę. Masz tu taki pierścień: jak nim potrzęsiesz o ubranie, zaraz będziesz miał wszystko, co zechcesz. Dobrze go schowaj, byś go nie zgubił i nikt ci go nie ukradł!

Królewicz podziękował rysiu, pożegnał się z nim i zaprowadził woły do obory, a tam od razu zrobiło się tak widno, jakby palił się ogromny ogień. Zbiegli się wszyscy z pałacu i bardzo się dziwili, tylko jeden furman aż palce gryzł ze złości, i bardzo się przelękł. Postanowił w duchu: „Trzeba go zgładzić, bo źle będzie ze mną”.

Nazajutrz mówi do króla:

- Podobno jest tu takie więzienie, że jak się tam zamknie kogoś, to go z miejsca zjedzą gady. Mój furman przechwala się, że jemu nic takiego stać się nie może. Trzeba by się przekonać, czy to prawda.

Król posłuchał furmana i kazał zamknąć królewicza w owym więzieniu. Królewicz załamał ręce z przerażenia, ale na szczęście przypomniał sobie o pierścieniu otrzymanym od rysia, więc śmiało poszedł do tego lochu.

Królewna wcale nie miała ochoty iść za męża za owego furmana, który udawał królewicza.

Wolała tego, który siedział w więzieniu, podobał jej się bardzo i żał jej go było okropnie i ciągle się o niego martwiła. Pewnego dnia przyszła do króla i mówi:

- Ojczy, idźmy do tego więzienia i zobaczmy, czy furman jeszcze żyje.

Król na to:

- Jesteś niemądra, tam już z niego nawet kosteczka nie została. Ale królewna nie uwierzyła ojcu i poszła sama. Stała pod drzwiami i usłyszała wewnątrz muzykę. Odwaliła jeden kamień od drzwi, patrzy, a tu królewicz siedzi sobie przy stole, gadów ani śladu, a jego

obsługują lokaje i znoszą mu różne potrawy i napoje. Otworła drzwi, zeszła do lochu i została tam parę dni, po czym wróciła do domu. Zaraz poszła do króla; ten pyta ją:

- Gdzie byłaś tak długo?

- Ach, przyjechała nasza ciotka, wsiadłam po prostu do powozu i pojechałam z nią. Właśnie wróciłam i teraz bardzo bym chciała, żebyś zechciał przejść się trochę ze mną.

Król zgodził się i poszli. Córka jednak skrzyła w drogę prowadzącą do więzienia i myślała głośno:

- Ten furman wyszedł już chyba z więzienia.

Król był ciekaw, czy to prawda. Przyszedłszy do lochu odwalił jeden kamień, słuca - i słyszy muzykę. Odwalił drugi i zszedł z córką do lochu. Było tam wszystkiego w bród, więc najedli się i napili, a potem zabrali królewicza i zaprowadzili go do pałacu. Furman ujrawszy królewicza zdrętwiał ze strachu.

Chłopiec podszedł do niego i mówi:

- Tak długo byłeś królewiczem, dopóki ja nie wstałem z martwych. Teraz wróciłem, już koniec twoich łajdactw, znów będę królewiczem! Potem poszedł prosto do króla i opowiedział mu ze wszystkim, jak się rzecz miała. Furmana przepędzili, a 'królewicz ożenił się z królowną.

I ja na tym weselu byłam, piwo piłam, po brodzie mi kapało, w gębie nie zostało.

polska

Długi, gruby i bystrooki

Był raz pewien król, a był już bardzo stary. Miał tylko jednego syna.

Przywołał go do siebie i tak rzekł:

- Synu mój kochany, znasz tę prawdę, że gdy owoc dojrzeje, wtedy spada z drzewa, aby zrobić miejsce następnym. Moja głowa jest jak ten owoc dojrzały i może już wkrótce nadejdzie czas, że słońce już więcej nie zaświeci nade mną. Ale zanim umrę, pragnąłbym bardzo ujrzeć jeszcze twoją żonę. Ożeń się, synu!

Królewicz odparł: - Ojczy, chętnie spełniłbym twoją prośbę, ale nie znam nawet żadnej dziewczyny!

Ojciec sięgnął do kieszeni, wyciągnął z niej złoty kluczyk i dał go synowi: - Wejdz na wieżę, rozejrzyj się tam dokoła, a potem powiesz mi, którą wybrałeś.

Królewicz niezwłocznie spełnił rozkaz ojca. Nigdy dotąd jeszcze nie był na wieży. Gdy już się znalazł na najwyższym piętrze, spostrzegł w sklepieniu ściany maleńkie żelazne drzwi. Otworzył je złotym kluczykiem i wszedł. Znalazł się w dużej, okrągłej komnacie; sufit był błękitny jak niebo w jasną noc, a na nim błyszczały srebrne gwiazdy. Na podłodze leżał zielony jedwabny kobierzec, zaś wokoło, w ścianach, znajdowało się dwanaście wysokich okien w złotych ramach i o kryształowych szybach. Na każdej szybie była namalowana świetlistymi kolorami młoda dziewczyna w złotej koronie na głowie, jedna piękniejsza od drugiej. Nic też dziwnego, że królewicz nie mógł od nich oderwać oczu. Gdy się tak na nie zapatrzył pełen podziwu, nie wiedząc którą wybrać, zaczęły się lekko poruszać jak żywe, i uśmiechać się, jakby chciały coś powiedzieć.

Wtem królewicz spostrzegł, że jedno z okien jest zakryte białą zasłoną. Gdy ją odsunął, zobaczył dziewczynę w białej sukni, opasanej srebrnym pasem, na głowie miała koronę z pereł. Ta dziewczyna była najpiękniejsza, lecz wyglądała tak blado i smutno jakby wyszła z grobu. Stał długo przed tym obrazem, a gdy tak stał i patrzył, poczuł, że aż zabolowało go serce. Powiedział: - Chcę tę, i żadną inną!

Wtedy księżniczka spuściła głowę i spłonęła jak róża. W tym samym momencie znikły wszystkie obrazy.

Wróciwszy do ojca, opowiedział mu, co widział, i którą sobie wybrał.

Ojciec bardzo się zasmucił, zamyślił się i rzekł:

- Synu, źle się stało, żeś odstąpił, co było zakryte; twój wybór narazi cię na wielkie niebezpieczeństwo, ta księżniczka jest bowiem w mocy złego czarownika, uwięziona w Żelaznym Zamku. Nikt dotąd, kto tylko się pokusił o jej uwolnienie, nie wrócił. Ale co się stało, już się nie odstanie. Raz dane słowo jest święte. Idź zatem, spróbuj szczęścia i wracaj zdrów!

Królewicz pożegnał się więc, osiodłał konia i ruszył w drogę. Przybył do wielkiego lasu, długo jechał i jechał, aż droga się skończyła. Potem już całkiem zabłądził wśród gęstwiny, skał i grzędawisk; wtedy usłyszał za sobą czyjś głos: „Hej, stój!” Obejrzał się i ujrzał przed sobą bardzo wysokiego człowieka. - Poczekał, zabierz mnie z sobą! Jeśli przyjmiesz mnie na służbę - nie pożałujesz! - mówił obcy.

- Coś ty za jeden? - spytał królewicz. - I co potrafisz?

- Mówią na mnie Długi, bo potrafię się rozciągać. Widzisz tam, na tej wysokiej jodle ptasie gniazdko? Przyniosę ci je nie wchodząc na drzewo!

Długi zaczął się rozciągać, a trwało to dopóty, dopóki nie zrobił się taki wysoki, jak owa jodła. Gdy już miał gniazdko w garści, wtedy postać jego skurczyła się w oka mgnieniu.

- Dobrze znasz się na swojej sztuce, ale co mi po niej, co mi po gniazdku, jeśli nie potrafisz wywieść mnie z tego lasu.

- Ach, drobiazg - odparł Długi i zaczął się znowu wyciągać, aż stał się trzy razy wyższy niż największe sosny w lesie. Potem obejrzał się i wskazał: - Idąc tędy, najszybciej wydostaniemy się z lasu! Zanim królewicz zdążył pomyśleć, już mieli las za sobą. Przed nimi rozpościerała się szeroka równina, za nią widać było wysokie, siwe skały, jakby mury jakiegoś miasta.

- Tam, panie, jest mój towarzysz! - zawołał Długi, pokazując w kierunku równiny. - Jego też powinieneś zabrać z sobą. Jestem pewien, że ci się przyda!

- Krzyknij na niego, niech przyjdzie, żebym go sobie zobaczył! - polecił królewicz.

- Ach, panie, to jest zbyt daleko, on mnie z pewnością nie usłyszy.

Lepiej pobiegnę i przyprowadzę go tutaj.

Powiedziawszy to, Długi znów wyciągnął się, aż mu głowa znikła w chmurach, potem zrobił trzy kroki, ujął tamtego pod pachy i postawił go przed królewiczem. Był to niski, gruby chłop, z brzuchem jak cztery sądki.

- Coś ty za jeden? - zapytał królewicz. - I co potrafisz?

- Mówią na mnie Gruby. Ale potrafię się zrobić jeszcze grubszy.

- No, to pokaż tę sztuczkę!

- Panie, ale wpierw usuń się, wejź szybko w las - zawołał Gruby - i zaczął się nadymać.

Królewicz nie zrozumiał, dlaczego ma się oddalić, ale gdy zobaczył, że Długi ucieka do lasu, dał koniowi ostrogę i pogalopował za nim. Nagle zrobiło się wszędzie tak pełno, jakby się tu jakaś góra zwała. Gdy potem Gruby wypuścił powietrze, to aż się drzewa zakołysały. Po chwili był znów taki jak przedtem.

- Przekonałeś mnie - rzekł królewicz - takiego jak ty nie znajduje się co dzień. Chodź ze mną!

I udali się w drogę. Gdy już zbliżali się do gór, spotkali człowieka, który miał oczy przewiązane chustką.

- Panie, jest nas trzech, a to jest właśnie ten trzeci, jego też powinienes przyjąć na służbę.

- Coś ty za jeden? - spytał królewicz. - I dlaczego masz przewiązane oczy? Przecież nawet drogi nie widzisz!

- Ej, panie, jest właśnie na odwrót! Bo ja zbyt dobrze widzę i dlatego muszę sobie zakrywać oczy. Gdy spojrzę ostro, tryskają płomienie, a co się wtedy nie spali, to rozlatuje się w kawałki. Dlatego nazywają mnie Bystrooki. - To powiedziawszy zwrócił twarz ku skałom, zdjął chustkę i spojrzał na nie swoim płomiennym wzrokiem. Skały natychmiast zaczęły pękać a odłamki leciały na wszystkie strony; wkrótce została z nich kupka piasku. W tym zaś piasku żarzyło się coś, jakby ogień. Bystrooki przyniósł to i dał królewiczowi. Było to czyste złoto!

- Oho, takiego to nawet za pieniądze się nie kupi! Ale jeśli masz taki bystry wzrok, to popatrz, jak daleko jeszcze do Żelaznego Zamku i powiedz, co się tam dzieje.

- Gdybyście, panie, chcieli jechać koniem, to nawet za rok jeszcze byście tam nie dojechali. Z nami będziecie tam jednak jeszcze dziś! - I dodał: - Właśnie zabierają się do wieczerzy.

- A co robi moja narzeczona? - dopytywał się królewicz.

- Za żelazną kratą, na wysokiej wieży, strzeże jej czarownik.

Wtedy królewicz powiedział do nich:

- Jeśli jesteście dobrymi ludźmi, to pomóżcie mi ją uwolnić!

Wszyscy trzej przyrzekli pomoc. Przeprowadzili królewicza między owymi siwymi skałami, przez jary i wąwozy, Bystrooki rozwałkał skały, wysokie góry i nieprzebyte lasy, robiąc wygodne przejścia. Gdy zaś słońko stanęło na zachodzie, ujrzał królewicz Żelazny Zamek. Gdy zaszło zupełnie, minęli żelazny most i bramę, która za nimi zatrzasnęła się z wielkim hukiem. I tak znaleźli się w zamku jak w pułapce.



Królewicz rozejrzał się po dziedzińcu zamkowym i zaprowadził konia do stajni, która wyglądała tak, jakby była na to przygotowana; potem udali się na zamek. Tu, w wieczornym zmroku, spostrzegli wszędzie: na dziedzińcu, w stajni, w salonie, na pokojach, pełno ludzi, bogato ubranych panów, służbę, lecz nikt się nawet nie poruszył: wszyscy byli skamieniałi!

Królewicz i jego towarzysze obejrżeli potem jeszcze wiele pokoi, aż w końcu znaleźli się w sali biesiadnej. Było tu bardzo jasno, pośrodku stał stół, a na nim mnóstwo świetnych potraw i napojów; stół nakryty był na cztery osoby. Czekali, a gdy nikt się nie zjawił, zasiedli do uczyty, jedząc i pijąc.

Gdy już się najedli do syta, zaczęli rozglądać się za miejscem do spania. Wtem otwały się drzwi i na progu stanął czarownik. Miał wygląd zgrzybiałego starucha, okryty był czarnym płaszczem, z gołą głową, zaś siwa broda sięgała mu do kolan. Zamiast pasa miał trzy żelazne obręcze wokół tułowia. Prowadził za rękę przepiękną dziewczynę, ubraną na biało, przewiazaną srebrnym pasem, i w koronie z pereł na głowie. Była jednak tak blada i smutna, jakby wyszła z grobu. Królewicz rozpoznał ją natychmiast; przyskoczył do niej, ale zanim zdołał powiedzieć choćby jedno słówko, odezwał się czarownik:

- Wiem, po coś przyszedł, chcesz ją uwolnić i zabrać! No, dobrze, dostaniesz ją, jeśli przez trzy noce będziesz jej tak pilnował, że nie będzie mogła - zniknąć. Jeśli jednak jej się to uda, wtedy zamienisz się w kamień razem z twoimi towarzyszami, tak jak ci wszyscy, którzy tu byli przed tobą.

Królewicz nie mógł oczu oderwać od niej, taka była piękna. Usiadł przy niej i postanowił czuwać całą noc. Długi, niczym rzemień rozciągnął się, jak tylko potrafił i położył się wokół ścian komnaty, Gruby siadł przy drzwiach, nadał się z całej siły i tak je zatarasował, że nawet mysz nie mogłaby się przez nie przecisnąć, zaś Bystrooki stanął jako straż przy wejściu. Po jakimś czasie zachciało im się jednak spać; zmorzył ich sen i tak przespali całą noc jak nieżywi. Pierwszy zbudził się królewicz. Poczł się, jakby mu kto nóż wsadził w serce: księżniczka znikła! Natychmiast zbudził towarzyszy i radził się, co robić. - Nie martwcie się, panie - rzekł Bystrooki i wyrzał przez okno. - Już ją widzę! Sto mil stąd jest las, a pośrodku tego lasu stary dąb. Na jego wierzchołku znajduje się żołędź, a w tym żołędziu jest właśnie ona! Jak mnie Długi weźmie na plecy, to ją zdobędziemy!

Długi posadził sobie Bystrookiego na barki, wyciągnął się i ruszyli w drogę. A co krok - to dziesięć mil! Bystrooki wskazywał drogę i nawet nie minęło tyle czasu, ile trzeba, żeby obiec chałupę, byli już z powrotem. Długi wręczył królewiczowi żołędź. - Panie, upuść go na ziemię - poradził.

Królewicz tak zrobił i stanęła przed nim księżniczka.

Gdy słońce już dobrze wzeszło, otwały się drzwi z wielkim hukiem i do pokoju wszedł czarownik, śmiejąc się zjadliwie. Gdy jednak zobaczył księżniczkę, twarz mu się zasepiła, zamruczał coś i - trrach! - pękła jedna z jego trzech obręczy i potoczyła się. Staruch chwycił księżniczkę za rękę i zabrał ją. Przez cały dzień królewicz nie miał nic do roboty. Chodził więc po zamku, po dziedzińcu i dziwił się wielu rzeczom. Wszędzie wyglądało tak, jakby w jednym oka mgnieniu zamarło całe życie.

W jednej z sal widział jakiegoś księcia, który trzymał wyciągnięty miecz, ale cios już nie nastąpił, książę skamieniał. W innym pokoju stał skamieniały rycerz, który jakby chciał właśnie

uciec przed kimś ze strachu. Przy kominku siedział sługa i trzymał w jednej ręce kawałek pieczeni, drugą ręką wkładał właśnie kęs do ust, ale go nie zdążył donieść, i tak skamieniał. Mnóstwo wspaniałych koni było również skamieniałych, w zamku i wszędzie wokół niego wszystko było zdziczałe i martwe: były tam drzewa - lecz bez liści, łąka - ale bez trawy, strumyk, który nie płynął, ani jednego śpiewającego ptaszka. Rano, w południe i wieczorem królewicz i jego towarzysze zastawali przygotowane bogate posiłki.

Po wieczerzy znowu rozwarły się drzwi i czarownik wprowadził księżniczkę. Królewicz znów miał jej pilnować. I chociaż wszyscy postanowili bronić się wszelkimi siłami, żeby ich nie zmorzył sen, znów posnęli, tak jak za pierwszym razem.

O świcie królewicz zbudził się i spostrzegł, że księżniczka znowu zniknęła. Poderwał się i potrząsnął Bystrookiego za ramię: - Hej, Bystrooki, nie wiesz gdzie jest księżniczka?

Ten przetarł sobie oczy, popatrzył i rzekł: - Już ją widzę! Dwieście mil stąd jest góra, a w tej górze skała, w tej skale znajduje się kosztowny kamień - to właśnie ona! Zdobędziemy ją!

Długi wziął Bystrookiego na plecy, wyciągnął się jak tylko mógł, i ruszył w drogę dwudziestomilowymi krokami. Bystrooki skierował swój płomienny wzrok wprost na ową górę; góra się rozpadła, skała zaś rozprysła się w tysiąc kawałków. W samym jej środku błysnął kosztowny kamień. Zabrali go i przynieśli królewiczowi. Gdy położył go na ziemi, znowu stanęła przed nim księżniczka. W tym momencie wpadł czarownik. Zobaczył księżniczkę, oczy zabłyśły mu wściekłością i - trrach! - druga obręcz opadła z jego bioder. Czarownik zamruczał coś i zabrał dziewczynę z sobą.

Tego dnia znów wszystko było tak jak przedtem. Po wieczerzy czarownik znowu przyprowadził księżniczkę do królewicza, spojrział mu groźnie w oczy i rzekł: - Teraz się rozstrzygnie, kto zwycięży: ty, czy ja! - po czym oddalił się.

Tym razem królewicz i jego towarzysze postanowili ze wszystkich sił bronić się, żeby nie zasnąć za żadną cenę. Nie chcieli nawet usiąść, całą noc chodzili tam i z powrotem. Wszystko na próżno! Posnęli w marszu, a księżniczka znikła. Rano znów pierwszy obudził się królewicz. Spostrzegłszy, że jej nie ma, zbudził Bystrookiego: - Hej, Bystrooki, gdzie jest księżniczka? - O, panie - rzekł - tym razem jest daleko, bardzo daleko. Trzysta mil stąd jest morze, a na dnie leży łupinka. W tej łupince znajduje się złoty pierścień - to jest właśnie ona! Długi musi tym razem zabrać jeszcze Grubego, bo będzie nam potrzebny.

Wziął więc Długi Bystrookiego na jedno ramię, Grubego na drugie i ruszył w drogę. A co krok - to trzydzieści mil!

Gdy przybyli nad czarne morze, Bystrooki wskazał Długiemu, gdzie trzeba sięgnąć po łupinkę. Długi wyciągnął rękę, ale dna nie dosięgnął.

- Poczekajcie, przyjaciele, małą chwilkę, pomogę wam! - zawołał Gruby i nadął się, potem położył się na brzegu i zaczął pić. Po krótkiej chwili woda opadła tak, że Długi mógł już z łatwością zabrać łupinkę. Wyjął z niej pierścień, wziął towarzyszy na barki i pobiegł z powrotem. Lecz po drodze Gruby zaczął mu ciążyć, miał przecież pół morza w brzuchu! W jakiejś szerokiej dolinie upuścił go, i wtedy tak trzasnęło, jakby kto ogromny wór rzucił o ziemię. W oka mgnieniu dolina zamieniła się w wielkie jezioro.

Tymczasem na zamku królewicz zaczął się coraz bardziej niepokoić. Z niepokojem aż się spocił. Gdy na wschodzie ukazał się wąski skrawek słońca, drzwi otworzyły się i na progu stanął czarownik, a nie zobaczywszy księżniczki, zaśmiał się okropnym śmiechem. A tu nagle - brzdęk! - okno rozprysło się w kawałki, złoty pierścień spadł na podłogę i w tymże momencie stanęła przed nimi księżniczka. Zrobił to Bystrooki, który widział już z daleka, co się święci na zamku. Powiedział o tym Długiemu, ten zrobił jeden krok i rzucił pierścień przez okno. Czarownik zaryczał z wściekłości i - trrach! - pękła trzecia, ostatnia żelazna obręcz i potoczyła się. Zaś czarownik zamienił się w kruka i wyfrunął przez rozbite okno.

Teraz wreszcie piękna dziewczyna odzyskała mowę. W tym samym momencie na zamku wszystko wokół odżyło na nowo: rycerz trzymający w wyciągniętej dłoni miecz świsnął nim w powietrzu, że aż gwizdnęło, ten, co potknął się na progu wreszcie upadł, sługa przy kominku włożył sobie do ust swój kęs pieczeni i jadł dalej, i każdy czynił to, co właśnie miał zrobić, zanim zamienił się w kamień.

Tymczasem w pokoju królewicza zgromadzili się wszyscy szczęśliwie uwolnieni panowie i książęta, i dziękowali mu za swoje wybawienie. On jednak rzekł:

- Nie mnie dziękujcie! Gdyby nie było ze mną moich wiernych pomocników, Długiego, Grubego i Bystrookiego, wtedy tak samo byłoby ze mną, jak z wami. Potem, wraz ze swoją narzeczoną, Długim i Bystrookim, wyruszył w drogę, do ojca. Wszyscy mu towarzyszyli, Grubego też w drodze zabrali z sobą. Gdy przybyli, król rozplakał się z radości, bo już obawiał się, że syna nigdy więcej nie zobaczy. Wkrótce potem odbyło się piękne wesele, które trwało trzy tygodnie. Wszyscy panowie i książęta, których królewicz wówczas wybawił, zostali również zaproszeni.

Po weselu zgłosili się do młodego króla Długi, Gruby i Bystrooki, i oznajmili mu, że znowu idą w świat szukać nowej roboty. Młody król gorąco ich namawiał, żeby zostali:

- Dam wam wszystko, czego tylko zapragniecie, starczy do samej śmierci, nie będziecie już musieli pracować!

Ale im nie uśmiechało się takie nudne życie, pożegnali się i poszli. Odtąd wędrują gdzieś po świecie...

czeska

Śpiewająca lipka

Pewnego razu byli rodzice, którzy mieli córeczkę. Ale zanim dorosła, zmarła jej matka. Gdy pewnego razu dziewczynka odwiedziła swoją chrześną, ta powiedziała:

- Poproś ojca, aby się ze mną ożenił. Będę cię bardzo kochać, nawet nóżki będę ci myła w mleku!

Ojciec pojął ją za żonę. Pierwszego wieczora rzeczywiście umyła swojej chrześniaczce nogi w mleku, ale już nazajutrz tego nie zrobiła. Tak też i zostało.

Z biegiem czasu przybyły dziewczęciu cztery siostrzyczki: pierwsza miała jedno oczko, druga - dwa, trzecia - trzy, a czwarta miała cztery oczka.

Pasierbica musiała wykonywać wszelką brudną robotę, a także paść bydło. Kiedy szła w pole, macocha dawała jej tylko suchy, twardy chleb i trochę cierpkiego sera. Mimo to z dziewczęciami wyrosła przepiękna panna, a buzia jej kwitła taką świeżością, że siostry nie mogły się z nią równać.

Macosze nie dawało to spokoju. Koniecznie chciała się dowiedzieć, jak to się dzieje, że chrześniaczka jest taka piękna. Posłała więc z nią na łąkę Jednooczka. Gdy już tam się znalazły, Jednooczka rzekła:

- Spleć mi włosy!

Dziewczyna uczyniła to, szepcząc: „Zaśnij, oczko!” I siostrzyczka zasnęła.

Wtedy przysła pstra krowa i dała dziewczęciu z jednego rogu pić, a z drugiego jeść.

Gdy wieczorem wróciły do domu, macocha spytała Jednooczki:

- Coś tam widziała?

Ale ta nie widziała nic.

Następnego dnia musiała Dwuoczka popędzić z dziewczyną krowy na pastwisko. Gdy już się tam znalazły, rozkazała:

- Uczesz mi włosy!

Dziewczyna to zrobiła, szepcząc: „Zaśnij oczko, zaśnijcie oba!”

Znowu przysła pstra krowa i dała dziewczęciu z jednego rogu pić, a z drugiego jeść.

Gdy nadszedł wieczór, rzekła dziewczyna:

- Zbudź się siostrzyczko, pędzimy krowy do domu!

Macocha zapytała Dwuoczka:

- Coś widziała?

Ale i ta nie widziała nic.

Następnego ranka Trzyoczka musiała pędzić krowy na pastwisko. Gdy już tam doszły, powiedziała:

- Siądź, siostro, uczesz mi włosy!

Dziewczyna wyszeptwała: „Zaśnij oczko, zaśnijcie dwa, zaśnijcie wszystkie trzy!”

Znowu zjawiała się pstra krowa i dała dziewczęciu z jednego rogu pić, a z drugiego jeść.

Gdy nadszedł wieczór, powiedziała dziewczyna do Trzyoczki:

- Siostrzyczko, obudź się, pędzimy do domu.

W domu matka spytała córkę:

- Coś widziała?

Również i ta nie widziała nic.

Nazajutrz poszła z dziewczęciem na pastwisko Czteroooczka. Gdy tam się znalazły, rzekła:

- Siądź, siostrzo, uczesz mi włosy!

Dziewczyna usiadła i zaczęła szeptać: „Zaśnij jedno oczko, zaśnijcie oba oczka, zaśnijcie trzy oczka!” - a o czwartym zapomniała.

Znowu przyszła krowa i dała dziewczęciu z jednego rogu pić, a z drugiego jeść. Trzy oczka pogrążone były we śnie, ale czwarte nie spało i widziało wszystko.

Wieczorem zbudziło dziewczę siostrzyczkę:

- Pędzimy do domu!

~ Coś widziała? - spytała matka córkę.

Wtedy Czteroooczka opowiedziała:

- Gdy moje trzy oczka zasnęły, nadeszła pstra krowa i dała jej z jednego rogu pić, a z drugiego jeść.

Macocha strasznie się zezłościła. Postanowiła utuczyć pstrą krowę i zabić. Pasierbica musiała teraz siedzieć w domu, do jedzenia dostawała tylko suchy, twarde chleb i nieco cierpkiego sera. Co dnia jednak odwiedzała swoją pstrą krowę i płakała bardzo.

Pewnego razu rzekła krowa:

- Dziś mają mnie zabić! Uproś macochę, aby dała ci moje wnętrzności.

Powiedz jej, że chcesz je oczyścić. Znajdziesz w nich kamyczek. Zasadzisz go pod oknem.

Wyrośnie z niego lipka cała ze szkła, a pod nią będzie szczekał piesek.

Dziewczyna zrobiła wszystko tak, jak jej krowa poleciła. Znalazła kamyczek i posadziła go pod swoim oknem. Nazajutrz patrzy, a tu pod jej oknem stoi mała lipka pokryta szklanymi listkami, a pod nią szczeka wesoło piesek. Zaś ze studzienki obok tryska woda. Przy tej studzience dziewczyna musiała teraz codziennie pracować bielizną, aż jej ręce krwawiły od tej pracy.

Pewnego razu przejeżdżał tędy bogaty pan. Ujrzał ją zajęętą praniem. Spodobała mu się nadzwyczaj i zapragnął pojąć ją za żonę, choć była bardzo biedna.

Lecz macocha stanowczo odmówiła.

Po tygodniu pan wrócił i ponownie zażądał dziewczęcia. Tym razem macocha wyraziła zgodę, ale rozkazała córkom:

- Weźcie łańcuch i przytwierdźcie mocno lipkę!

Dziewczę przywdziało inne szaty, wsiadło do karety i odjechało z panem. Lipka jednak zerwała się z łańcucha, wskoczyła również do powozu, a piesek, szczekając, pobiegł za nimi.

Po roku urodził się młodej pani synek. Gdy się o tym dowiedziała macocha, poszła nazajutrz na zamek w odwiedziny. Zanim się pożegnała, przyrzekła, że wkrótce znów złoży wizytę. Zabrała ze sobą Dwuoczkę. Na zamku zapytała młodą panią:

- Córeczko, jesteś zdrowa czy chora?

Ta odrzekła:

- Bogu dzięki, jestem zdrowa.

- Wychyl się przez okno, popatrz, jak wesoło bawią się rybki w stawie! - zachęcała pasierbicę.

I gdy ta się wychyliła, zepchnęła ją z okna do wody. Woda pochłonęła ją, a gdy się z niej wynurzyła, była już przemieniona w kaczkę, smutno pływającą dokoła stawu.

Macocha szybko ułożyła swoją córkę Dwuoczkę do łóża i wróciła do domu.

Gdy małżonek wrócił i ujrzał żonę, zapytał:

- Dlaczego jesteś taka brzydka, możeś chora?

- Bardzo chora - odparła, a pan serdecznie jej współczuł.

O północy przyfrunęła pod okno kaczka, zmieniła się w młodą panią i płacząc wykapała swego synka. Gdy go już zawinęła i ucałowała, zaczęła się żalić:

- Moja lipka nie dzwoni, mój piesek nie szczeka, a mój syneczek tak bardzo płacze. Jeszcze dwa razy wrócę tu nocą, a potem już nigdy!

Wypowiedziawszy to na powrót zamieniła się w kaczkę i wyfrunęła przez okno na staw.

Następnej nocy przyleciała znowu, zamieniła się w młodą panią, przygotowała kąpiel i umyła synka. Gdy go już zawinęła, ucałowała go w buzię i zaczęła się żalić:

- Moja lipka nie dzwoni, mój piesek nie szczeka, a mój syneczek tak bardzo płacze. Jeszcze raz tylko tu wrócę, a potem już nigdy więcej!

I znów wyfrunęła przez okno na staw.

Ale tym razem za kotarą siedział pan, widział wszystko i usłyszał te słowa.

Trzeciej nocy przyfrunęła jak zwykle, wykapała synka i gdy go zawinęła, rzewnie zapłakała mówiąc żałośnie:

- Moja lipka nie dzwoni, mój piesek nie szczeka, a mój syneczek tak bardzo płacze! Już nigdy tu więcej nie wrócę!

Wtedy wyskoczył młody pan, który także tej nocy ukrył się za kotarą, i złapał ją, zanim zdążyła przemienić się w kaczkę.

Ale młoda pani prosiła go ze smutkiem:

- Puść mnie, póki jeszcze nie jest za późno!

- Nie puszczę! - wołał pan.

- Jeśli zdołasz za jednym uderzeniem miecza przeciąć pas, którym jestem skuta, wtedy będę mogła pozostać, w przeciwnym razie źle będzie ze mną.

Pan chwycił za miecz i przeciął pas. I oto stanęła przed nim młoda władczyni, tak samo cudna i piękna jak przedtem. Opowiedziała mu, co uczyniła jej macocha.

Następnego dnia kazał pan przyprowadzić do siebie tę złą kobietę i ukarał ją. Niedługo potem umarła w hańbie.

Od tego czasu mała lipka znów dzwoniła, piesek szczekał wesoło, a synek się uśmiechał.

łużycka

### O chłopcu i cudownych przedmiotach

Pewna wdowa miała syna jedynaka, bardzo go kochała i chciała koniecznie zebrać dla niego trochę majątku. Była jednak bardzo biedna, więc jej się to nie udawało. Co trochę grosza oszczędziła, już musiała go wydać i nigdy nie zostawało jej więcej niż trzy grosze. Chłopiec miał prawie trzynaście lat, a ona ciągle tylko te trzy grosze chowała dla niego. Pewnego razu tak mówi do syna:

- Już chyba nic więcej dla ciebie nie zaoszczędzę, jeśli dotąd nie oszczędziłam. Weź te trzy grosze i idź w świat. Może sam łatwiej się czegoś dorobisz.

Chłopiec wziął te trzy grosze i poszedł. Przywędrował do miasta i myśli, co by tu sobie kupić, ale że niewiele za to mógł dostać, kupił więc jedną świecę i pieniądze już się skończyły. Idzie dalej, idzie, idzie - stoi przy drodze samotna karczma. Wchodzi do niej, a tam pusto, nie ma nikogo, tylko na ścianie wiszą jakieś dwa portrety. Zrobił się już wieczór i chłopiec postanowił tam przenocować. Przełamał kupioną świecę na dwoje, jeden kawałek postawił przed jednym portretem, drugi zapalił przed drugim, potem wlaź na piec, położył się i zasnął. Cicho wszędzie, nic nie słyhać. Aż tu przed północą jak nie zerwie się szum, łoskot, zawierucha taka, że aż strach. Chłopiec przebudził się, patrzy - i widzi trzech jakichś ludzi, jakichś takich zuchów, porządnie poubieranych, jak kręcą się po izbie i węszą dokoła.

Przybysze poznali, że ktoś jest w karczmie i wołają:

- Chłopcze, chodź no tu!

Chłopak zlaźł z pieca i podszedł do nich, a oni go pytają:

- Który portret wolisz? Ten, czy tamten?

On im na to:

- Mnie tam wszystko jedno!

Ale oni nalegają:

- Powiedz, który wydaje ci się lepszy?

Lecz chłopak znów swoje:

- Wszystko jedno, mnie i ten dobry, i ten dobry!

Bardzo się tym ucieszyli i mówią:

- No, kiedy tak, toś mądry, podarujemy ci coś za to. Jeden dał mu złotą strzelbę, drugi takie skrzypce, że jak się na nich zagra, to choćby kto i tańczyć nie chciał, musi tańczyć; trzeci dał mu takie buty, że jak zrobi się w nich krok, to kilometr, a jak się skoczy, to siedem.

Chłopiec wziął podarunki, podziękował i poszedł.

Idzie drogą, idzie, a naprzeciw jedzie pan karetą. Zobaczył chłopca i woła do niego:

- Chłopcze, chodź no tu!

Chłopak podchodzi.

- Skąd masz taką strzelbę? - pyta pan, bo bardzo mu się ta strzelba spodobała. Chłopiec na to:

- Dał mi ją jeden pan.

- Może byś mi ją sprzedał? Dobrze ci za nią zapłacę.

- O, nie - odpowiada chłopak - za nic jej nie sprzedam!

- A czy ona choć dobrze strzela? - pyta pan.

- O, dobrze, choćby nie wiem jak daleko, doniesie i trafi! Spójrz panie, tam daleko nad drzewami leci orzeł, a tak wysoko, że trudno go okiem dojrzeć.

- To strzel do niego, zobaczymy, czy go zabijesz.

Chłopak wycelował, strzelił - trafił! Orzeł tylko zakoziołkował w powietrzu i zaczął spadać, aż upadł w sam środek gęstych zarośli. Pan chciał zabrać tego orła, ale cóż, furmana nie mógł posłać, bo konie płochliwe i sam by ich nie utrzymał. Trudna rada, wysiadł z karety i poszedł sam.

Chłopak tymczasem wyjął skrzypce, nastroił je i zaczął grać. Furman na koźle usłyszawszy muzykę już skacze, również konie zaczęły tańczyć. Że zaś woźnicy na koźle niewygodnie było skakać, a i konie nie chciały ustać, więc zeskoczył z koźła, wybiegł przed konie, jedną ręką chwycił za uzdę jednego, drugą drugiego i tańczy, jak tylko może.

A chłopiec gra i gra, aż się głos niesie. Pan w krzakach skacze, skacze, zapomniał nawet o orle. Po jakimś czasie grajek się zmęczył i przestał grać.

Zrobił jeden krok w swoich butach - już jest kilometr dalej, zrobił drugi - już dwa, a jak skoczył - to siedem kilometrów. Potem szedł już sobie powoli.

Pan nie tylko nie znalazł orła, ale jeszcze podarł ubranie, poszarpał je o krzaki, pokaleczył się i tak zmęczył tańcem, że o własnych siłach nie mógł dojść do karety. Dopiero woźnica wyciągnął go stamtąd, przywłókł i wsadził do powozu. Po powrocie do domu pan się rozchorował.



Minęło nieco czasu. Chłopiec wędrował, aż przyszedł do dworu owego pana. Tu poprosił służącego, żeby zapytał, czy państwo nie potrzebują może muzykanta, bo on jest właśnie wędrownym grajkiem.

- A, dobrze - mówi lokaj - zaraz pójdę i zapytam, proszę tymczasem zaczekać. Nasz pan wprawdzie chory, ale może i zechce, żeby mu zagrać, żeby mu się nie nudziło.

Zajrzał do pana:

- Jaśnie panie, przyszedł jakiś wędrowny muzykant i pyta, czyby panu nie zagrać na skrzypcach.

- Gdzie on? Zawołać go tu!

Wchodzi chłopiec do pokoju, pan leży w łóżku. Ledwo go zobaczył, zaraz poznał i w krzyk:

- Ach, to ty?! Czekaj, już ja ci dam!

Z miejsca zawołał służbę i rozkazał związać chłopaka i zamknąć go w więzieniu. Trudna rada, jak pan każe, słudzy muszą. Wzięli go, związali, odebrali mu strzelbę, zostawili tylko buty i skrzypce. Już chłopak siedzi w więzieniu i czeka na sąd.

Pan tymczasem wyprawił bal, na który przyjechało dużo gości. Gospodarz opowiedział im, co mu się przydarzyło, i że ma teraz tego chłopca w więzieniu. Chce oddać go właśnie pod sąd, za to, że tak zmęczył go swoim graniem. Goście usłyszawszy to, zaczęli prosić gospodarza, żeby kazał przyprowadzić owego chłopca tu, do sali. Poszli słudzy do więzienia i przyprowadzili chłopca.

- O, to ten nicpoń tak grał, że musiałem tańczyć, aż się pokaleczyłem o krzaki. Trzeba go ukarać! - mówi pan.

Goście na to:

- Dobrze, możemy go osądzić, tylko niech nam najpierw zagra!

Pan prosi i tłumaczy:

- Nie będzie grał, nigdy na to nie pozwolę! I tak jestem jeszcze dość chory, jeśli zagra, a ja znów będę musiał tańczyć, to chyba ducha wyzionę!

Goście byli w dobrych humorach, więc zaczęli się śmiać i dalej nalegać, żeby jednak zagrał.

Pan nic, tylko swoje:

- Nie będzie grał!

Widząc jednak, że na upór gości nie ma lekarstwa, wreszcie pozwilił:

- Niech już gra, tylko przywiążcie mnie do łóżka linami, żebym się nawet nie mógł ruszyć.

Słudzy przynieśli powrozy i skrępowali nimi pana tak, jak im kazał.

- No, teraz może zagrać - zgodził się.

Chłopcu nie trzeba było mówić tego dwa razy. Włożył szybko buty, wziął skrzypce i jak nie zacznie grać! A panowie i panie jak nie złączą tańczyć - aż sala jęczy. Połamali i potłukli wszystko, co im tylko na drodze stało, stoły, krzesła, i nic, tylko tańczą jak wichry.

A chłopiec dalej gra i gra. Pan na swoim łóżku tak zaczął się rzucać, że aż łóżko trzeszczało. Udało mu się jakoś uwolnić jedną nogę z powrozów, wysunął ją na podłogę i tupie: tup, tup, tup.

Przy tym tylko powtarzał w kółko:

- A ja grać nie kazałem! A ja grać nie kazałem!

Wreszcie chłopcu sprzykrzyło się to granie, widzi, że panowie już ledwo zipią. Chwył strzelbę, stąpnął raz - już kilometr, skoczył drugi raz - już siedem kilometrów. I uciekł.

polska

## O królewiczu i jego pomocnikach

Pewien król miał trzech synów: dwaj byli mądrzy, a trzeci głupi. Miał też w ogrodzie piękną jabłoń, która rodziła złote jabłka, ale tylko trzy w roku, dla każdego syna po jednym. Od pewnego czasu jabłka zaczęły ginąć i nie wiadomo było, jak się to dzieje. Wyprawił się więc najstarszy syn pilnować swego jabłka; przyszedł do ogrodu, przez cały wieczór biegał koło jabłoni, ale tuż przed dwunastą zdrzemnął się. Budzi się rano, jabłka nie ma. Na drugą noc poszedł pilnować młodszy syn, ale i jego spotkało to samo.

Trzeciego dnia mówi ten najmłodszy uważany za głupiego:

- Teraz ja pójde na wartę.

Bracia na to:

- Skoro myśmy nie upilnowali, to i ty nie upilnujesz. Jabłka znowu zginą.

Ale on włożył kozuch, poszedł do ogrodu, położył się pod jabłonią i zasnął. Obudził się przed północą, wylazł na drzewo, przytrzymał ręką jabłko i czeka. O dwunastej słyszy szum, jakby stado dzikich gęsi leciało, patrzy, a tu po niebie płynie przedziwna łódka. Zatrzymała się koło jabłoni, wyszło z niej dwoje ludzi, którzy mieli jedno tylko oko. Pierwszy mówi do drugiego:

- Podaj mi oko!

Ten mu podaje, tymczasem głupi, który siedział w ukryciu wśród gałęzi, wyciągnął rękę i zabrał oko. Drugi pyta:

- Masz oko?

Pierwszy na to:

- Przecież nie dałeś mi go. Dawaj, nie żartuj!

Ale ten drugi swoje:

- Przecież ci dałem. Czyżby był tu ktoś, kto nam je wziął?

Teraz wtrącił się głupi:

- Ha, bratku, mam ja was! Nie oddam wam oka, dopóki nie oddacie mi wszystkich jabłek, któreście przez ostatnie lata stąd brali.

Oddał temu pierwszemu oko, ale drugiego zatrzymał w zastaw. Tamten wsiadł do łódki, wzbil się w górę i pojechał, a za godzinę był już z powrotem z jabłkami. Jabłka wysypał na ziemię, a łódkę musiał za karę oddać głupiemu; potem pieszo poszli do domu.

Rankiem dwaj starsi bracia pobiegli do ogrodu zobaczyć, co się dzieje z bratem. Szybko wrócili do pałacu i już z daleka wołają do króla:

- Ojczy, nie wiemy, co to takiego! On śpi w jakiejś dziwnej budzie!

Idą obaj z ojcem jeszcze raz do ogrodu, patrzą, i widzą, że głupi śpi sobie w tej łódce, a koło niego leżą jabłka. Zaraz się też obudził i dał ojcu wszystkie jabłka; sobie zostawił tylko to jedno, którego pilnował na jabłoni.

Po jakimś czasie udał się do ojca z prośbą, żeby pozwolił mu pojechać w dalekie kraje, bo chciałby zobaczyć, co się dzieje w świecie. Ojciec zgodził się. Chłopak wsiadł do łódki, pokręcił sterem, wzbil się w górę i poleciał wysoko nad lasy. Później spuścił się nieco niżej i wtedy spostrzegł jakiegoś człowieka. Był gruby jak beczka, leżał na ziemi, i gdzie tylko była jakaś kałuża, wypijał z niej wodę. Królewicz zniżył lot i woła:

- Co tam robisz?

- Gdzie tylko jest jaka kałuża, wypijam z niej wodę, bo czuję wielkie pragnienie. Choć wypilem już trzysta beczek piwa, ciągle chce mi się pić.

- Nie zechciałbyś jechać ze mną?

- Czemu nie.

- To siadaj za mną do tej łódki!

Człowiek wsiadł i pojechali. Jadą, widzą, że na ziemi leży jakiś człowiek i gdzie tylko była jakaś kosteczka, to ją zjadał. Pytają go:

- Co tam robisz?

- Gdzie tylko jest coś do zjedzenia, to zjadam, bom głodny, choć zjadłem już trzysta tucznych wołów, ale ciągle chce mi się jeść.

- Nie zechciałbyś jechać ze mną?

- Czemu nie.

- To siadaj za mną do łódki!

Wsiadł i pojechali. Jada, widzą, że leży jakiś człowiek i przykłada ucho do ziemi. Pytają go:

- Cóż tam robisz?
- Liczę trawę, żeby wiedzieć, ile wyrosło jej w ciągu dnia, mój pan domaga się tego.
- I ty rzeczywiście słyszysz, jak trawa rośnie?
- Słyszę, bo jak trawa wychodzi z ziemi, to ziemia pęka.
- Nie zechciałbyś jechać ze mną?
- Czemu nie.
- To wsiadaj do łódki!

Wsiadł i pojechali. Jada, widzą dwoje ludzi. Jeden z nich właśnie złożył się ze strzelby do jastrzębia lecącego wysoko nad lasem, strzelił i trafił. Drugi natychmiast pędem, na jednej nodze, pobiegł po ptaka i w oka mgnieniu przyniósł go. Królewicz również i tych obu zaprosił do swojej łodzi. Jada dalej, i dojechali do wielkiej góry, a tam grzmi, błyska się, a nad ziemią unosi się tuman kurzu.

Królewicz spogląda w dół i widzi dwoje ludzi, którzy stoją na owej górze i wymachują rękami. Woła do nich:

- Cóż tam robicie?
- Mieszymy powietrze, żeby była burza z piorunami i kurzawa, bo sprzykrzyła nam się letnia pogoda.
- Nie chcielibyście pojechać ze mną?
- Czemu nie.
- To siadajcie do łódki!

Zabrał ich, polecieeli, a burza zaraz ustała. Leca, leca, nadlecieli nad jakieś wielkie miasto. Spuścili się na ziemię i zaszli do gospody. Królewicz zostawił tam swoich towarzyszy, a sam wszedł do szynku. Tu spytał karczmarza, co to znaczy, że we wszystkich oknach są zielone wieńce, a na wieżach chorągwie. Karczmarz powiada:

- Córka naszego króla będzie sobie dziś wybierała męża. O drugiej po południu królowna ukaże się w oknie. Wtedy księżęta i królowie, przybyli ze wszystkich krajów, przejdą pod tym oknem; na kogo rzuci swój wianek, ten zostanie jej mężem.
- A czy i ja mogę iść, popatrzeć na to?
- Możesz.

O drugiej godzinie wybrał się królewicz na zamek, stanął z daleka pod murami, stoi i patrzy. Przyjechali panowie w karetach, wysiedli, idą jeden za drugim pod okno. Przeszli pierwszy raz - na żadnego nie rzuciła wianka. Przeszli drugi raz - znów to samo. Król kazał przejść im po raz trzeci - i tym razem nie rzuciła. Podszedł do niej ojciec i pyta, dlaczego jeszcze wciąż trzyma wianek w ręku. Ona na to:

- Bo jeszcze nie wszyscy przeszli! Tam pod murami jeszcze ktoś stoi.

Podbiegli zaraz do królewicza i namawiają go, żeby poszedł z tamtymi pod okno. Ale on nie chciał iść, mówiąc, że ma podarte ubranie i dziurawe buty, bowiem dużo czasu minęło, odkąd wyjechał z domu. Nic nie pomogło, musiał iść. Poszli więc wszyscy czwarty raz, a on na

końcu. Jak już był pod oknem, królowna rzuciła na niego wianek i tak został jej mężem i zarazem królem.

Pozostali książęta bardzo mu zazdrościli, mówili, że taki nie znany nikomu cudzoziemiec nie powinien być królem, i uradzili, żeby przyniósł im w ciągu dwudziestu czterech godzin świadectwo od swego ojca, żeby wiadomo było, skąd on jest. Królewicz spytał tylko, czy za niego może pójść ktoś inny.

- Zgoda - powiedzieli wtedy książęta.

Wtedy wrócił do gospody i przywołał tego, który biegł po owego zabitego jastrzębia.

- Wrócisz w ciągu dwudziestu czterech godzin? - spytał go królewicz.

- Co to dla mnie, wróć!

Jak wypadł, nie minęło nawet pięć minut i już go nie było widać. Pobiegł, w oka mgnieniu był już na miejscu, wziął świadectwo i wraca, ale, że jeszcze było sporo czasu, więc położył się pod gruszą i zasnął. A królewicz czeka, patrzy, jeszcze tylko ćwierć godziny czasu, a tamtego nie widać. Teraz ten, który słyszał, jak trawa rośnie, położył się na ziemi, przyłożył ucho i mówi:

- O, słyszę go, piętnaście mil stąd chrapie pod gruszą!

Na to strzelec:

- Czekajcie, strzelę mu w guzik u buta, wtedy się obudzi.

I strzelił. Biegacz zerwał się, spostrzegł, że już późno, i jak wyciągnął nogi, to w pięć minut przed upływem czasu był już w pałacu i oddał świadectwo.

No i dobrze. Teraz panowie mówią:

- Po takim biegu trzeba by się czegoś napić. Jeśli dasz radę wypić trzysta beczek piwa, możesz być królem.

- Czy może to kto inny zrobić za mnie? - spytał królewicz.

- Może.

Poszedł do swojej łódki, zawołał tego, który wypijał wodę z kałuży, mówi mu, o co chodzi, i pyta:

- Potrafisz?

- Co to dla mnie, potrafię!

Zwieźli trzysta beczek piwa na duże, puste pole, postawili wokoło żołnierzy na warcie, żeby nikt nie mógł mu pomóc, wpuścili tego chłopca i zostawili go tam na noc. Nazajutrz rano przychodzą, patrzą, beczki puste, a on wylizuje pianę ze szklanek. Mówią do królewicza:

- Wygrałeś. Ale jeszcze musisz zjeść trzysta wołów, wtedy możesz być królem.

Poszedł królewicz do swojej łódki, zawołał żarłoka i przyprowadził go z sobą. Znów przywieźli na pole trzysta wołów, postawili wartę, a gdy przyszli nazajutrz rano, żarłok już tylko obgryzał kości.

Panowie bardzo się zgniewali i nie wiedzieli już, co by tu jeszcze wymyślić. Wrócili do domów, zebrali swoje wojska i zaczęli wojnę. Ojciec królowy - przerażony się - poszedł do zięcia i mówi:

- Mój miły, co tu robić? Nasze miasto wokół otoczone przez wrogów, a ja nie mam dużej armii. Poradź coś!

- Nie martw się, kochany ojczule!

Poszedł do swojej łódki, zawołał tych dwóch, których spotkał na ostatku, i prosi ich:

- Drodzy przyjaciele, źle się dzieje. Całe miasto otoczone przez wojsko.

Pomóżcie! Weźcie łódkę, wnieście się w górę i zróbcie nad tymi wojskami wielką burzę z błyskawicami i grzmotem. Wsiedli obaj do łódki i wzniesli się nad miastem aż pod obłoki. Tam zaczęli wymachiwać rękami, aż zerwała się taka burza, grzmoty i błyskawice, pioruny i kurzawa, że światła widać nie było. Wojsko przelęknęło się, żołnierzom włosy na głowach stanęły dęba ze strachu, przestali strzelać i pędem wrócili do domu.

I tak książęta musieli dać królewiczowi spokój. A ci chłopcy, których przywiózł swoją łódką, poszli potem do niego i tak mu powiedzieli:

- Już nas tu więcej nie będziesz potrzebować, odchodzimy wszyscy.

Królewicz chciał im dać dużo pieniędzy, oni jednak nie chcieli ich wziąć. Podziękował im więc pięknie i pożegnał się z nimi. Dostał królestwo i odtąd długo panował jako król razem ze swoją żoną.

polska

## O czarnowłosym księciu

Był sobie raz wielki kraj. Wszyscy ludzie w tym kraju mieli rude włosy, tylko syn króla miał czarne. Był to jeden jedyny jego syn i po śmierci ojca miał objąć panowanie; lecz poddani nie chcieli go z powodu jego czarnych włosów. Martwił się więc stary król, co się stanie po jego śmierci z królestwem i jak to będzie z jego synem. Rozpytywał na wszystkie strony, czyby nie dało się jakoś przemienić tych czarnych włosów na rude. Jeden radził to, drugi owo, trzeci tamto, czwarty jeszcze co innego. Znosili zewsząd różne maści, to znowu jakieś olejki, smarowali, nacierali i męczyli na wszystkie sposoby głowę królewicza, lecz wszystko na próżno, bo włosy jak były czarne, tak i czarne zostały. Gdy się wreszcie przekonali, że nie ma żadnego na nie sposobu, zostawili w końcu biedną głowę w spokoju.

Pewnego razu przyniósł ktoś na zamek wiadomość, że w dalekim mieście umieją zmieniać kolor włosów na jaki się chce, ale trzeba pozostać tam przez dłuższy czas. Gdy to król usłyszał, z miejsca posłał syna na pięć lat do owego miasta. Było nie było, udał się królewicz do tego miasta; próbowali tam najprzeróżniejszych sposobów, robili wszystko, co tylko było możliwe. Gdy zaś po pięciu latach król posłał sługę po syna, królewicz wciąż jeszcze miał te same czarne włosy. Bardzo bał się wracać do domu, ale ostatecznie zdecydował się. Gdy już uszli spory kawał drogi, królewicz poczuł pragnienie. Zapytał sługę, czy nie wie, gdzie by tu mogła być woda. Ten odparł: - Tak, wiem, zaraz tam będziemy.

Wkrótce znaleźli się przy studni. Ale była ona tak głęboka, że aby dosięgnąć wody, jeden drugiego musiał trzymać za nogi. Przewrotny sługa obmyślił podstęp. Powiedział do królewicza:

- Poczekaj, ja spuszczę się pierwszy do studni i powiem ci, czy ta woda jest dobra. Tylko mnie mocno trzymaj za nogi!

Królewicz więc trzymał go jak trzeba, sługa napił się, ile tylko mógł i zawołał: - Tak, woda jest tu znakomita!

Teraz była kolej na królewicza. Gdy już wisiał głową w dół, sługa-podlec powiedział: - Teraz jesteś już w mojej mocy! Albo zginiesz, albo przysięgniesz, że odtąd na zawsze będziesz moim sługą, a ja - królewiczem.

Cóż miał nieszczęsny robić? - Zgodził się na wszystko. W drodze do domu, a potem już i na zamku, zachowywał się jak sługa swego pana. Gdy przybyli na królewskie pokoje, rodzice bardzo ucieszyli się z powrotu syna, i z tego, że jego włosy są rude.

Ale podły sługa nadal był niespokojny, czy się to nie wyda. Wymyślił więc nowy podstęp: zachorował. Rodzice popadli w rozpacz. Kazali przywołać lekarzy, ci pozapisywali różne lekarstwa i krople, ale ten oszust niczego nie chciał nawet tknąć, mówiąc, że to mu i tak nie pomoże. Żądał tylko, aby jego sługa udał się do wiadomej studni i stamtąd przyniósł wody, wtedy dopiero wyzdrowieje. Wiedział zaś, że studni tej strzeże smok, więc był pewien, że królewicz nie wróci stamtąd żywy i już mu więcej nie będzie stał na przeszkodzie.

Nieszczęsny królewicz chcąc nie chcąc musiał natychmiast udać się w drogę. Przyszedszy nad studnię, zaczął się żalić:

- Ach, ja biedny, nieszczęśliwy! - i łzy potoczyły mu się z oczu, wprost do studni. Wtem jedna z nich trafiła smoka prosto w jego ślepe oko i natychmiast odzyskał wzrok. Zobaczył królewicza. Spytał go, dlaczego jest taki smutny.

- Ach - odparł młodzieniec - nie wiem, czy wolno mi zaczerpnąć tutaj wody.

- Nie płacz - rozległ się głos ze studni. - Spuść tylko dzbanek, a ja ci go tu napełnię.

Spuścił więc dzbanek, smok wziął go, i pełen wody oddał z powrotem. Królewicz, wielce uradowany, wrócił do domu; gdy się ten fałszywy królewicz napił, wyskoczył z łóżka i już był zdrow. Niebawem zaczął znowu udawać chorego. Tym razem powiedział, że tylko wówczas wyzdrowieje, jeśli jego sługa przyprowadzi mu ze Szklanego Zamku piękną dziewczynę imieniem Florianna. I królewicz znów musiał udać się w drogę.

Poszedł więc nieborak, szedł i szedł, rozmyślał nad tym i owym, czego to dożył, i co to jeszcze z nim będzie. A gdy tak był pogrążony w swoich smutnych myślach, spostrzegł nagle długi

pochód mrówek, który właśnie zaszedł mu drogę. Mrówki maszerowały w porządnym szyku niczym wojsko. Młodzieniec przystanął i poczekał chwilę, dopóki nie przeszły, bowiem żał mu było je rozdeptać. Na samym końcu tego pochodu kroczyła wielka mrówka z koroną na głowie. Pięknie mu podziękowała, że nie zrobił krzywdy jej poddanym, obiecała mu pomoc w razie potrzeby.

Po jakimś czasie przyszedł do brzozowego lasu. Patrzy, a tu ptaszki złapały się w sidła i rozpaczliwie trzepoczą skrzydełkami. Podbiegł szybko, wypuścił je z potrzasku. Wyfrunęły z wesołym świergotem, przyrzekając mu pomoc w razie potrzeby.

Gdy już wyszedł z tego lasu, dotarł nad potoczek. Tutaj, w piasku u brzegu, trzepotała się rybka; miała koronę z pereł na głowie. Królewicz podniósł rybkę i wrzucił ją do wody.

Zapluskała wesoło i wytknąwszy łebek gorąco podziękowała mu za to, że nie dał jej zginąć na piasku. „Odwdzięczę ci się za to” - zawołała, potem - plusk! i już jej nie było.

Królewicz bardzo długo jeszcze wędrował i błędził, aż wreszcie zobaczył z daleka lśniący blaskiem Szklany Zamek. Przychodzi pod bramę, a tu stoi na straży czarownica i trzyma w ręku obnażony miecz. Pokłonił się jej grzecznie, ale ona nawet nie odpowiedziała na jego pozdrowienie, tylko zwymyślała go ostro.

Nieborak zaczął się tłumaczyć, że nigdy by tu nie odważył się przyjść sam, z własnej woli, ale - że jego pan zachorował i prędeż nie wyzdrowieje, dopóki nie dostanie Florianny.

- A, to co innego - rzekła na to czarownica - w takim razie nie twoja wina, że tu jesteś. - I zaprowadziła go do zamku.

- Tu sobie odpocznij, a jutro porozmawiamy!

Dostał dobrą wieczerzę i miejsce na nocleg, żeby mógł się wyspać. Nazajutrz rano przyszła do niego czarownica, znów tak samo z błyszczącym mieczem w ręce, i tak zaczęła mówić: - Synu, nie jesteś pierwszy, który chciał uprowadzić Floriannę. Wielu już było takich, co o nią zabiegali; każdemu z nich obiecałam Floriannę, jeśli wykona zadanie, które mu dam.

Widzisz ten miecz? Wszyscy oni położyli głowy. Tobie też daję szansę:

otrzymasz Floriannę, jeśli wykonasz to, co ci powiem. Lecz zastanów się przedtem, jeśli nie dasz rady, tak samo stracisz głowę!

Królewicz zrozumiał że tu nie ma żartów. Ale co miał robić? Bez Florianny nie mógł wracać. Postanowił spróbować szczęścia.

- Ano, synu - zgodziła się czarownica - bierz się do roboty!

Poszła do komory, przyniosła stamtąd kilo maku i kilo prosa, i wszystko razem zmieszała.

- Rozdzielisz dokładnie mak od prosa, do ostatniego ziarenka!

I żebyś do wieczora był gotów z tą pracą! - Rzekłszy to obróciła się i poszła ze swoim mieczem przed bramę na straż.

- No i masz ci los! Widział to kto, żeby to było możliwe uporać się z taką robotą!? - Królewicz zrezygnowany bardzo zaczął bać się o swoją głowę. Ale na szczęście zjawiała się owa wielka mrówka - królowa, z koroną na głowie, a wraz z nią cała armia maleńkich mrówek.

- Nie martw się - rzekła - przyszliśmy ci pomóc. Idź, obejrzyj sobie zamek, a my tymczasem zrobimy co trzeba!



Nie trwało nawet godziny i mrówki już były gotowe z robotą.

Około wieczora przyszła czarownica, znowu z mieczem w ręce, pewna siebie, że idzie już po jego głowę. Gdy jednak zobaczyła dwie czyściutko rozdzielone kupki ziarenek, nieco złagodniała.

- Dobrze - powiedziała - dobrze, widzę, że nie żałowałeś trudu.

Teraz możesz odpocząć i zjeść wieczerzę. Ale - żebyś wiedział: To dopiero początek! Jutro dostaniesz następną robotę.

Królewicz, mając nadzieję że już dostanie Florianę, gdy to usłyszał, stracił apetyt do jedzenia i nie mógł zasnąć.

Ledwo weszło słońce, znowu przyszła czarownica i postawiła przed nim na stole dwie szklanice.

- Tutaj - powiedziała - w tych naczyniach przyniesiesz mi wodę życia i wodę śmierci, przynajmniej po jednej kropelce. Jeśli nie zdążysz do wieczora z powrotem, zetnę ci głowę!

Królewicz biedził się i rozmyślał, co by to mogła być za woda: „woda życia” i „woda śmierci”, i skąd by ją zdobyć.

Wtem zapukało coś do okna. Spojrzał, i zobaczył dwa śliczne ptaszki. A były to te same ptaszki, które uwolnił z sideł. Szybko otworzył okno, i wtedy jeden z nich zaświergotał:

- Nie trap się! Śpieszyliśmy ci z pomocą, przyniesiemy ci wodę życia i wodę śmierci. I odfrunęły.

Leciały w dalekie strony, aż wreszcie zatrzymały się przy szubienicy, na której wisiał skazaniec, a pod nią ktoś płakał.

Królewicz tymczasem spacerował cały dzień po ogrodzie. Gdy wrócił, właśnie nadleciały oba ptaszki i każdy z nich upuścił ze swego dzióbka po kropelce do każdego naczynia. Potem powiedziały: - Masz tu to, czego żądała czarownica. Gdy cię zapyta, skąd to wzięłeś, powiedz jej, że woda śmierci - to łza z oka skazańca - syna, zaś woda życia - to łza ojca, płaczącego pod szubienicą.

Gdy znowu przyszła czarownica, pokazał jej wodę życia i wodę śmierci, i powtórzył to, co słyszał od ptaszków. Czarownica pochwaliła go, że się tak dobrze spisał, ale Florianny jeszcze wciąż nie chciała mu dać. Miał wykonać jeszcze jedno, trzecie zadanie. Ale jakie - tego miał dowiedzieć się dopiero nazajutrz.

Także i tym razem zjadł bardzo mało wieczerzy i spał źle, bowiem trapiła go myśl, co to będzie jutro.

Jeszcze nim słońce weszło, stanęła przed nim czarownica i chwyciła go za rękę. „Chodź ze mną!” - rozkazała, i zawiodła go nad brzeg morza.

- Popatrz, tutaj, do tego morza wpadł mi złoty pierścień. Przyniesiesz mi go zanim zapadnie wieczór, inaczej - spadnie ci głowa! Po czym znowu poszła przed bramę na straż.

Królewicz chodził smutny nad brzegiem morza. Co tu robić? Wtem coś zapluskalo. Obejrzał się, a to rybka wychyliła się z wody, a na jej główce zobaczył koronę z pereł. Była to owa rybka, którą przedtem wrzucił z piasku do wody.

- Nie trap się - rzekła. - Znajdę ci ten pierścień!

A że była królową ryb, rozkazała swoim poddanym, aby szukały pierścienia. Szukały więc i szukały, od rana do południa, i od południa do wieczora, lecz pierścienia nie mogły znaleźć. Wreszcie jednak któraś z rybek spostrzegła go, wzięła i zaniosta królowej. Ta rzuciła pierścień na brzeg i znikła.

Królewicz ucieszył się niezmiernie, podniósł pierścień i pobiegł z nim do czarownicy.

- No, masz pierścień? - wrzasnęła -i już podniosła miecz do ciosu.

- Mam go tutaj - rzekł królewicz i położył go na jej dłoni.

- Twoje szczęście! - mruknęła starucha. - A co przyrzekłam, tego dotrzymam. Musisz jednak jeszcze tę jedną noc tu pozostać.

Ale tym razem królewiczowi świetnie smakowała wieczerza, i tym razem zasnął, jakby był w niebie. Czarownica natomiast nie spała całą noc. Napaliła w piecu i napięła kołaczy na drogę. Rychło rano obudziła Floriannę i kazała jej się gotować do drogi. Dziewczyna ubrała się i zabrała z sobą naczynia z wodą życia i wodą śmierci. Przed zamkiem stała już wspianała karoca zaprzężona w cztery konie. Królewicz i Florianna wsiedli i pojechali.

Falszywy królewicz, ujrawszy przepiękną dziewczynę, z miejsca wyzdrowiał. Ale Florianna raz tylko rzuciła na niego okiem i już więcej nie chciała go widzieć, bo podobał jej się tylko jej wybawca. Falszywy królewicz popadł we wściekłość. W obawie, aby się nie wydały teraz jego podłe uczynki, zaprowadził królewicza do ogrodu i tam go zabił. Wkrótce jednak przechodziła tamtędy Florianna i trafiła w to miejsce, gdzie leżał zabity. Ujrawszy martwego, poląła mu oczy wodą życia i królewicz natychmiast ożył. I co jeszcze: w tymże momencie jego włosy zrobiły się rude! Teraz opowiedział Floriannie wszystko, od początku do końca, całe swoje dzieje.

Tymczasem przewrotny sługa rzucił się na królewicza. Ale Florianna prysnęła mu w oczy wodą śmierci i tak padł martwy. Teraz dopiero zapanowała wielka radość. Rodzice ściskali i całowali swego prawdziwego syna i jego piękną narzeczoną. Potem było wesele i wszyscy poddani cieszyli się z nimi.

słowacka

Szklana góra

Była sobie pewna gospodyni, która miała gospodarstwo i trzech synów, dwóch mądrych, a trzeciego, Bartka, głupiego. Miała też trzy łąki, na których rosła śliczna trawa, skąd było i śliczne siano. Któregoś dnia mówi do swoich dzieci:

- Synkowie, idźcie na łąkę i skoście trawę, żebyśmy mogli zebrać siano, póki pogoda.

I synowie poszli kosić. Jak skosili jedną i drugą łąkę, powiedzieli: - Teraz weźmiemy się do koszenia trzeciej.

Idą na trzecią łąkę, ale tam trawy nie ma - wypasiona. Wracają do domu, matka pyta, czy już skosili wszystkie trzy łąki. - Dwie - mówią.

Matka pyta:

- Czemuście nie skosili tej trzeciej?

- Bo tam ktoś wypasł już trawę.

- No, jeśli tak, to będziecie musieli pilnować tej łąki, żeby nikt nam nie wypasł trawy.

Synowie na to:

- Jak trzeba, to będziemy pilnować.

Po jakimś czasie wybrał się syn najstarszy. Trawa na łące duża, bujna; skrył się za krzakami i czeka. Siedzi, siedzi, ale jak nadeszła dwunasta godzina, usnął i spał do pierwszej w nocy.

Ocknął się, patrzy, a tu trawa wyjedzona, wypasiona. Nie miał tam już po co dłużej zostawać, więc wrócił do domu. Matka pyta:

- No, jak tam było? Jest trawa?

- Ech, znowu ją ktoś w nocy wypasł.

Trawa tymczasem podrosła i na trzecią noc poszedł drugi syn. Jak już była blisko dwunasta, tak samo zasnął w krzakach jak jego brat, a gdy się obudził, trawy już nie było. Wrócił do domu, matka pyta:

- Jest trawa?

- Nie ma, ktoś nam ją wypasł.

Trzeciej nocy wybrał się głupi Bartek. Zabrał z sobą bochenek chleba, kwartę masła i trzy sery, żeby miał co jeść przez cały tydzień. Nadszedł wieczór, ściemniło się, on nie śpi, tylko siedzi i pilnuje łąki.

O północy ze starego, grubego dębu, który tam rósł, wybiegły na łąkę trzy konie i zaczęły jeść trawę. Bartek wyskoczył z ukrycia i dalejże je łapać.

Wtedy konie zmieniły się w piękne panny i tak mówią do niego:

- Nie rusz nas, jesteśmy zaklęte królewny. Możesz nas wybawić i zostać królem.

Chłopak przyniósł jedzenie, które miał z sobą i dał je pannom, i odtąd przynosił im jedzenie pod dąb.

Pewnego razu, gdy znów przyniósł chleb i ser, powiedziały:

Nasz ojciec, król, rozpisze wkrótce listy po całym kraju, że kto wjedzie na szklaną górę, ten otrzyma za żonę naszą najmłodszą siostrę, która mieszka na owej szklanej górze. Przyjdź tu do nas, damy ci królewskie szaty i konia; ubierzesz się i wjedziesz tam, gdzie nikt inny by nie dotarł. Pamiętaj tylko o jednym: nie wolno ci przed nikim zdradzić się nawet słowem, nie mów nic nikomu, nawet własnej matce.

I rzeczywiście. Król rozpisał listy i zaprosił wszystkich królów, królewiczów i panów do swego pałacu. Kto z nich wjedzie na szklaną górę, ten dostanie królewską córkę za żonę.

Dwaj bracia, ci mądrzy, również postanowili jechać. Wzięli ładne konie, pieniądze, i ruszyli w drogę; głupi prosił matkę, żeby też mu pozwoliła z nimi jechać.

- O, głupcze, co byś tam robił? Pojedziesz i jeszcze cię do więzienia wsadzą! - matka na to.

Ale on błagał dalej i mówił, że nie chce pieniędzy, tylko bochenek chleba, i ser, i trochę masła. Matka dała mu to, a on zabrał wszystko i poszedł do dębu na łąkę, do owych panien. Jedna z nich przemieniła się zaraz w konia, a pozostałe dwie ubrały go w królewskie szaty; wyglądał w nich tak pięknie, że żaden król ani królewicz nie mógł się z nim równać.

Potem dały mu taką przestrożę na drogę:

- Jak przyjedziesz na tę górę, nie daj konia służącemu, tylko uwiąż go i każ mu przynieść szklanek wody i kawałek chleba. Bądź tam nie dłużej niż godzinę! Skoro minie godzina, pamiętaj, żebyś natychmiast wsiadł na konia i wracał do nas. Nasza najmłodsza siostra nie będzie chciała cię puścić, ale powiedz jej, że musisz iść do konia zobaczyć, co on tam robi.

Ludzie stali i patrzyli, jak podjechał ostro na sam szczyt góry. Wszyscy dziwili się, kto to może być, ten piękny królewicz. On zaś spojrzął na zegarek, żeby wiedzieć, która godzina, i udał się do pałacu. Królowa bardzo się ucieszyła, zaraz też zaczęła z nim mile rozmawiać, chociaż przedtem do nikogo nawet ust otworzyć nie chciała. Młodzieniec kazał podać koniowi kawałek chleba i szklanek wody, i tak minęła godzina. Wtedy powiedział, że musi iść zajrzeć do konia. Wyszedł, siadł na niego i - wio!

- z góry, bo już był najwyższy czas.

Tymczasem ojciec królowy rozkazał zamknąć bramę i schwytać go, bo chciał wiedzieć, kim on jest. Koń jednak przeskoczył bramę, potem skoczył przez wodę i uciekł na łąkę, do dębu.

Tam znowu przemienił się w pannę, głupi oddał bogaty strój i wrócił do domu, do matki.

Przyjeżdżają bracia, opowiadają matce jak tam było i co widzieli pod szklaną górą. Głupi na to:

- Ba, dużoście tam widzieli! Królewicz tyłem się do wszystkich obrócił, jak przejeżdżał, i tyle.

Bracia chcieli go zbić, ale matka nie pozwoliła:

- Dajcie mu spokój, co tam z głupim będziecie rozprawiać.

Nie trwało długo i król drugi raz rozpisał listy i drugi raz mieli stawić się różni goście. Znowu jadą obaj bracia; Bartek też chce jechać, więc prosi matkę, żeby mu pozwoliła.

- Ech, a ty tam po co? Lepiej siedź w domu i weź się do roboty, bo tylko dzień stracisz na próżno! - mówi matka.

W końcu jednak mu pozwoliła. Bartek wziął to samo, co przedtem i poszedł do dębu. Teraz druga panna zamieniła się w konia, a pozostałe ubrały go jeszcze piękniej niż za pierwszym razem. Dały mu też taką radę:

- Tym razem wolno ci być nie dłużej niż dwie godziny. Każ dać koniowi dwa kawałki chleba i dwie szklanki wody. Po dwu godzinach musisz wracać; królowna nie będzie chciała cię puścić, ale powiedz jej, że musisz iść do konia.

Wsiadł na konia, wjechał na szklaną górę. Królowna znów go zatrzymywała, ale jak minęły dwie godziny powiedział jej, że musi iść do konia, i nie pozwolił się zatrzymać. Król tymczasem postawił wokoło góry wojsko na straży i kazał zamknąć bramę. Wszystko na nic, koń przeskoczył strażę, potem bramę i wrócił do dębu. Tam przemienił się znowu w pannę. Głupi oddał szaty i poszedł do domu.

Wkrótce też nadjechali bracia i opowiadają matce, co widzieli. Bartek znów się wtrącił:

- Ba, dużoście tam widzieli! Może jechał nogami do góry, a głową w dół?!

Bracia chcieli go zbić, ale matka nie pozwoliła:

- Ech, co tam z głupim będziecie się sprzeczać!

Król rozpisał listy trzeci, ostatni raz. Znów mają się zjechać goście. Dwaj bracia również wybrali się w drogę, głupi zaś, uprosiwszy matkę, żeby mu pozwoliła, poszedł na łąkę, do dębu. Teraz trzecia panna przemieniła się w konia, a dwie pozostałe ubrały go pięknie i taką dały mu radę:

- Jak przyjedziesz na tę górę, każ dać koniowi trzy kawałki chleba i trzy szklanki wody. U naszej siostry bądź tym razem trzy godziny, potem wracaj do nas. Jeśli tak zrobisz, wybawisz nas z tego dębu.

Bartek wsiadł na konia i wjechał na szklaną górę. Zabawił u królowny trzy godziny, potem powiedział:

- Muszę iść zobaczyć, co robi mój koń.

Ona jednak nie chciała go puścić i bardzo prosiła, żeby został; ale on nie słuchał, poszedł, siadł na konia i uciekł. Król tymczasem obstawił górę wielkim wojskiem - i złapali Bartka. Wtedy wyjawiał im, że jest tym właśnie, który wybawi córki królewskie zaklęte w konie, że właśnie jedzie po nie do dębu i prosi, żeby wszyscy goście tu na niego zaczekali. Król się zgodził.

Jak przyjechał na łąkę, dwie panny były już pięknie przybrane i czekały na niego, a trzecia, zamieniona w konia, na którym jechał trzeci raz, strząsnęła tylko z siebie skórę i również stała się śliczną panną. Zaraz znalazł się powóz, wsiedli wszyscy, a za nimi jechało pięć wozów pełnych brylantów, darowanych Bartkowi przez owe trzy panny. Kiedy już byli blisko zamku, Bartek wyciągnął czerwoną chorągiew, tak piękną, że aż promienie od niej były, i wywijał nią wesoło. Jak zajechali na miejsce, poszedł prosto do króla i mówi:

- Masz, królu, swoje córki, to ja je wybawiłem!

Król na to:

- No, dobrze, weź sobie jedną z nich za żonę!

Ale one powiedziały, że dla niego przeznaczona jest ta najmłodsza, która mieszkała na szklanej górze. Zaraz też wyprawili Bartkowi wesele z królową i odtąd już nikt o nim nie mówił, że jest głupi. Żył potem długo i szczęśliwie; pomagał też matce i swoim braciom.

polska

O młodej wodzie

Pewien król miał trzech synów. O najmłodszym mówili, że jest głupi, o najstarszym i średnim, że mądrzy. Pewnego razu król zachorował. Wtedy dwaj starsi synowie postanowili szukać młodej wody, która pomaga na wszystkie słabości, i prosili ojca, żeby pozwolił im jechać w świat. Najmłodszy też chciał wybrać się z nimi, ale że mu nie pozwolili, więc - nie pytając nikogo - wziął swego konia i pojechał. Przybył do lasu i stanął na rozstajnych drogach, nie wie, w którą stronę ruszyć dalej, a tu nagle zjawia się wilk i mówi:

- Teraz cię zjem!

Głupi na to:

- Masz mnie zjeść, to już lepiej zjedz mojego konia!

Zszedł z konia i wilk konia pożarł. Głupi siedzi i patrzy; wilk skończył wreszcie i tak powiada:

- Jeśli stąd nie pójdziesz, przyjdzie tu zaraz drugi wilk, mój brat i zje ciebie samego!

Głupi na to:

- Pieszko nie pójde. Skoro ty mi zjadłeś konia, to ja teraz pojedę na tobie, ty mnie powiesz!

Wsiadł na wilka, a ten zawiózł go przez las do wilczego króla, który siedział wśród borów przy ogniu, otoczony gromadą wilków.

Pyta wilczy król głupiego:

- Po coś tu przyjechał do lasu na wilku, gdzie podziłeś konia?

On mu na to:

- Ten tu wilk zjadł mi konia w drodze, jak jechałem szukać młodej wody dla chorego ojca.

Wtedy wilczy król wyjął z zanadru chusteczkę haftowaną złotem i srebrem i dał mu ją:  
- Siądź z powrotem na tego wilka, co ci zjadł konia i niech cię teraz zawiezie do króla niedźwiedzi. Chusteczkę schowaj dobrze, bo ci się przyda!

Wilk odwiózł go do króla niedźwiedzi, który również siedział wśród borów przy ognisku otoczony gromadą niedźwiedzi. Pyta go król:

- Czego chcesz tu w tych lasach? Przecież mogą cię zjeść niedźwiedzie!  
- Proszę waszej wielmożności, jadę szukać młodej wody dla mego chorego ojca!  
- A, jeśli tak, to ci pomogę: weź ten pierścień i włóż go na palec, żebyś o nim pamiętał. Dam ci też niedźwiedzia, na którym pojedziesz teraz do lwów; może tam się czegoś dowiesz o młodej wodzie, bo my nie wiemy, gdzie takiej wody szukać.

Przyjechał więc głupi na niedźwiedziu do króla lwów i pyta:

- Czy nie ma tu młodej wody?

Król na to:

- Nie, nie ma tu młodej wody, ale wiemy coś o niej: znajdziesz ją za czerwonym morzem, tam gdzie jest pusty zamek, w którym mieszka królowa, co nigdy nie widziała mężczyzny; jest tam taka jaskinia, pełna węzów i padalców, w tej jaskini jest ukryta woda, której szukasz.

Król lwów odpiął złotą klamrę i dał ją głupiemu, mówiąc:

- Schowaj ją dobrze, bo ci się przyda! - Potem zawołał lwa, który miał przewieźć głupiego przez czerwone morze.

Wsiadł głupi na lwa i przyjechał do owego pustego zamku, w którym mieszkała królowa. Był tam już kilka dni i czekał na nią. Któregoś dnia zdarzyło się, że służąca ubierając królową, rozdarła jej chusteczkę. Z płaczem poszła szukać kogoś, kto by tę chusteczkę naprawił. Usłyszał to głupi, wyszedł z pokoju, w którym się ukrywał i mówi, że w ciągu paru godzin może naprawić tę chusteczkę. Kiedy służąca wróciła po nią, dał jej chusteczkę, którą otrzymał od wilczego króla, a tę rozdartą zatrzymał u siebie.

Parę dni później znowu przychodzi do niego ta sama służąca i mówi, że jej pani złamał się pierścień, czyby go nie naprawił. On powiada:

- I owszem!

Zostawiła mu go i jak wróciła po paru godzinach, dał jej ten pierścień, który dostał od króla niedźwiedzi, a tamten zatrzymał. Królowa powiedziała, że nigdy jeszcze nie widziała takiego pięknego pierścienia i pytała, kto go zrobił. Służąca na to:

- A, jest tu taki jeden, co czeka na młodą wodę, ten go zrobił.

W końcu królowie złamała się złota klamra u paska; kazała ją również oddać do naprawienia.

I tę także zatrzymał, a posłał tę klamrę, którą otrzymał od króla lwów. Królowa znów pyta:

- Kto mi to tak ładnie wszystko zrobił?

Służąca odpowiada:

- Ten właśnie, co czeka na młodą wodę!

- Chociaż nie powinnam oglądać żadnego mężczyzny, tego jednak chciałabym zobaczyć, ale przez troje szklanych drzwi!

Przywołali go i stanął przed tymi drzwiami. Gdy go zobaczyła, tak jej się spodobał, że kazała otworzyć i zaprosiła go do siebie na kolację. Rozmawiała z nim mile i w końcu dała mu takiego ziele, że jak je rzucił do owej jaskini, gdzie były żmije, gady i węże, zaraz wszystkie posnęły. Teraz nabrał młodej wody dla swego ojca i wrócił do królowny na zamek. Podarowała mu jeszcze cudowną maść, że jak nią posmarować, to zabity ożyje, ucięty palec przyrośnie, rana się zgoi. Dostał też moc pieniędzy i służącego, i konie, i miał wracać do domu.

Ruszyli w drogę, jada, jada, przyjechali do oberży. Byli tu już jego dwaj bracia, którzy z pustymi rękoma, bez młodej wody, wracali do ojca. Mówi jeden do drugiego:

- Skąd się wziął tutaj ten głupi? I taki bogaty! Wyjechał biedny, a teraz ma tyle srebra i złota!

Głupi przywitał się z braćmi, kazał oberżycie dać im jeść i pić, i bracia widzieli, że wszystkiego ma pod dostatkiem. Następnego dnia razem udali się w drogę. Służący jednak spostrzegł, że bracia knują coś złego, zwolnił więc trochę i został w tyle, a miał przy sobie maść i pieniądze. Młodą wodę wiózł głupi. Jak wjechali w las, starsi bracia rzucili się na głupiego, ucięli mu głowę, ściągnęli go z konia i cisnęli między chaszczce. Leżał tam, dopóki nie nadjechał jego sługa. Ten zobaczywszy, co się stało, wyjął maść, posmarował swemu panu szyję i głowa natychmiast zrosła się z ciałem.

A ci, co zabili, pomknęli teraz szybko do ojca z ukradzioną bratu młodą wodą. Gdy jeden z nich podawał choremu ojcu wodę, drugi stał nieco z tyłu, bo w tym zamieszaniu, jak się bili w lesie, ucięto mu palec. Nagle nadjeżdża najmłodszy brat, zdrów i cały. Przerazili się bardzo, ale nie pokazali tego po sobie. Ojciec mówi do głupiego:

- Widzisz, oni przynieśli mi młodej wody, a ty coś mi przyniósł?

- Ojcze, tę młodą wodę to ja ci przywiozłem!

- Jak to?! Gdzie ją masz?

- Bracia zabili mnie w lesie i odebrali mi ją. Widzisz, ojcze, jakie mam rany na szyi, jaka jest zbita i pokrwawiona!

Ojciec popatrzył i uwierzył, że to wszystko prawda, co głupi mu opowiedział.

W końcu bracia pogodzili się, a kiedy średni pokazał ucięty palec, głupi nawet mu pomógł, mówiąc:

- Mam tu cudowną maść, że jak nią posmarujesz ranę i przyłożysz palec, to ci przyrośnie. Nie trzeba doktora.

Nie trwało długo i królowna posłała swego sługę, żeby ten, który był po młodą wodę, przyjechał do niej na zamek. Połowę drogi kazała wyścielić przed nim dywanami. Wtedy ten najstarszy, najbardziej zazdrosny i chciwy, prędko pojechał na zamek i tam udawał, że to on brał młodą wodę i że to on był tu, na zamku.

Ale królowna przejrzała jego podstęp:



- To nie ty byłeś u mnie po młodą wodę! - powiedziała.

I tak, z wielkim wstydem, musiał wrócić do domu. Tymczasem najmłodszy również wybrał się w drogę. Przyjechawszy na zamek, pokazał królowie jej rzeczy, które miał z sobą, ale ona i bez tego z miejsca go poznała. Zaraz też zabrał ją i przywiózł do swego ojca, ożenił się z nią, a ojciec dał im swoje królestwo.

polska

### Czarodziejska fujarka

Pewien ojciec miał siedmioro dzieci. A wiecie, jak to jest, gdy trzeba nakarmić tyle głodnego drobiazgu; bieda w ich domu była częstym gościem. Raz, jakoś na przedzimku, najstarszy syn, Wasio, postanowił pójść w świat, aby ulżyć rodzicom.

No i dobrze. Matka upiekła mu na drogę dużą bułkę, i tak nasz Wasio miły udał się w kierunku karkonoskich gór.

Idzie i idzie, a dojść nie może. Co to jest?! Ni stąd, ni zowąd nie może ruszyć z miejsca, nie i nie; a i do domu też nie wie, jak wrócić. Co więcej: opadło go nagle ogromne zmęczenie, nogi zrobiły się ciężkie jak z ołowiu, w głowie zaczęło się kręcić. Trwało tak sporą chwilę. Aż tu staje przed nim jakiś człowieczek, uśmiecha się i mówi: - Nie bój się, Wasiu!

Potem wyciągnął jakieś dziwne szkiełko i kazał chłopcu w nie spojrzeć. Wasio zajrzał w owo szkiełko i zobaczył swój rodzinny dom. Ojciec i matka z sześcioro dziećmi siedzieli właśnie wkoło przy stole i posilali się wodą, gotowaną na czosnku.

- Ach, co za bieda! - Wasiowi zrobiło się bardzo smutno.

Wtedy człowieczek wyciągnął fujarkę i zaczął grać. Chłopiec poczuł się nagle wesół, nogi stały się lekkie jak piórko, nic już mu nie dolegało, po prostu musiał tańczyć! A tańczył tak długo, dopóki człowieczek grał. Potem, gdy już przestał grać, dał Wasiowi piszczałkę i powiedział: - Weź ją, jak będziesz w potrzebie, ona ci pomoże! Następnie wyprowadził chłopca na drogę. I tak miły Wasio powędrował dalej w świat. Przybył do pewnego sadu i nagle przyszła mu ochota zagrać. Wyciągnął więc piszczałkę i zaczął grać. Na dźwięk muzyki wszyscy ludzie, którzy tam zrywali właśnie owoce, z miejsca pozeskakiwali z drzew, złapali się za ręce i zaczęli tańczyć. A tańczyli i tańczyli do upadłego, choć już im brakło sił. Błagali Wasia, aby już przestał, ale on grał dalej i znów musieli tańczyć. Dopiero, gdy mu się znudziło, przerwał granie. Po co właściwie grał?

Potem przyszedł nad staw, gdzie rybacy łowili ryby. Gdy już mieli pełne kadzie, powiedzieli: - To, co zostało w stawie, może sobie łowić teraz, kto chce. Wtedy - kto żyw - dorośli i dzieci rzucili się do wody nałapać ryb. Wasio, który się temu przyglądał, skrył się za drzewem i zagrał. Wtedy wszyscy zostawili ryby i zaczęli tańczyć, aż błoto pryskało. Wtedy Wasio wziął nogi za pas i uciekł. Po drodze myślał: - Wcale nieźle, tylko po co mi to wszystko... Przecież z tego nic nie mam, a i rodzicom w ten sposób nic nie pomogę.

Wędrował dalej, aż przybył do pewnego miasta, gdzie akurat odbywał się jarmark. Czegoś takiego, jak żył, jeszcze nie widział: ani takiego gwaru, ani takiego śmiechu, ani takiego rozgardiaszu. Pełno ludzi, a wszyscy smutni, nikt nic nie kupuje. Wasio nie mógł znieść tego widoku, stanął przy studni i zagrał.

No, i zaczęło się! Wszyscy, jak byli na placu, pochwyтали się za ręce i ruszyli do tańca. Zrobił się nieopisany hałas i tumult. Burmistrz ze swego okna zaczął wrzeszczeć do policmajstra: - Łapać łobuza! Zamknąć go! Pilnować!

Ale gdzie tam! Policmajstry przyszli, i też zaczęli tańczyć. Nawet burmistrz, gdy przerażony wyszedł, aby uciszyć wrzawę, też musiał tańczyć. Wszyscy byli już wyczerpani, ale przestać nie mogli.

Wreszcie Wasiowi znudziło się to widowisko. Bo i cóż miał z tego? Ani on, ani rodzice - żadnego pożytku.

I znowu wędrował, aż przyszedł do innego kraju. Tu spotkał wysłużonego żołnierza. Ten spytał Wasia: - Skąd pochodzisz?

- Aż od karkonoskich gór. Tam są moje rodzinne strony.

- To dlaczego zawędrowałeś właśnie tutaj?

- Idę przed siebie, gdzie mnie oczy prowadzą, a nogi niosą.

- Nie trafiłeś tu na dobry czas. W całym mieście i wokoło panuje ciężka żaloba.

- Dlaczego?

- Z królowną dzieje się coś złego: wciąż płacze, nikt nie potrafi jej rozweselić. Wielu doktorów już tu było - na próżno.

- Ba, jeśli nawet! Ja jednak potrafię ją rozweselić.

Tak więc nasz miły Wasio zameldował się na zamku i wpuszczono go. Od razu chciał pójść do królowny, ale ojciec jej nikomu już nie wierzył, czuwał przy niej dzień i noc, i nikomu nie pozwalał nawet się zbliżyć. Wasio przedstawił się:

- Jestem taki doktor, który nawet nie musi wejść do pokoju!

Stanął przy drzwiach i zaczął grać. W tym momencie królowna otarła ostatnią łezkę, wyskoczyła z łóżka, chwyciła ojca w pól i zaczęła tańczyć. A tańczyła, aż wszystko fruwało! Stary król nie mógł już nadażyć i prosił drogiego doktora, żeby już przestał.

Oczywiście, wszystko dobrze się skończyło. Wasio otrzymał obiecane pół królestwa, potem wykąpano go i ubrano we wspaniałe szaty, że wyglądał jak się patrzy. Królowna była bardzo szczęśliwa, bo młodzieniec był śliczny jak malowanie. Nie trwało długo i odbyło się wesele. Po weselu pojechał Wasio do swoich rodziców. Teraz, gdy już miał wszystkiego w bród, pomógł im jak przystało. Żyli potem jeszcze długo, długo, do końca swoich dni.

czeska

## O cudownym młynku

Byli raz dwaj bracia, jeden bogaty gospodarz, a drugi biedny wyrobnik, pracujący na dniówkę. Biedny miał sześćcioro dzieci. Często chodziły do swego bogatego stryja, żeby dał im coś niecoś, ale stryj był skąpy i nieużyty. Któregoś dnia było u niego świniobicie, więc brat-biedak pomyślał sobie: „Pójdę do niego i poproszę, może da mi choć trochę flaczków”. No i poszedł; ale jeszcze nie zdążył wyrzec swej prośby, już brat na niego wrzasnął: - Znów cię tu diabeł niesie?!

- Nie diabeł, bracie, sam tu przychodzę, z własnej woli; chciałem cię poprosić: daj mi choć kęs jaki, żebym miał coś dla dzieci.

- Prędeż bym diabłu do piekła posłał gościniec, zanim bym tobie miał coś dać! - złościł się bogacz.

Biedak na to: - Jeśli tak, to daj mi ten gościniec, a ja go już zaniosę temu panu diabłu.

Brat odciął kawał mięsa, dał połowę i powiedział:

- Masz tu, ale teraz precz mi z oczu!

Biedak wziął, podziękował i poszedł. Po drodze cieszył się już w myślach:

„To ci dopiero będzie uczta dla dzieci!”

Po jakimś czasie, gdy tak szedł, spostrzegł, że zablądził i nie może trafić do domu. Wrócił się więc i skierował w inną stronę. Ale wkrótce stwierdził, że znowu nie idzie właściwą drogą.

Biegał tu i tam, ale wszystko na próżno, nie mógł znaleźć drogi do domu. Wtedy postanowił:

„Pójdę prosto przed siebie”.

Idąc tak zaszedł w jakieś strony, i tam, na wąskiej dróżce spotkał się z myśliwym.

- Hej, człowieku, co niesiesz? Dokąd idziesz? - spytał strzelec.

- Brat dał mi dla diabła gościniec, niosę go do piekła i nie mogę tam trafić. Zablądziłem!

Myśliwy zawrócił i poszedł z nim, aby pokazać drogę. Szli odtąd razem, przeszli góry i lasy, wreszcie przewodnik rzekł:

- Teraz idź tak, jak prowadzi ta ścieżka. Nie zablądziysz! Dojdiesz do skały, a w niej znajdziesz żelazne wrota. Zapukaj do nich, wtedy się otworzą. A jak Lucyfer zapyta, czego chcesz za drogę, nie żądaj nic, chciej tylko, żeby dał ci zardzewiały młynek, który stoi za tymi wrotami, w piekle.

I tak, minawszy żelazne wrota, znalazł się biedny wyrobnik w piekle. Spostrzegłszy najstarszego diabła przykutego do słupa, dał mu gościniec i rzekł: - Mój brat przysłała to dla ciebie!

Diabeł był bardzo rad, że bogacz okazał mu większe względy niż biedak.

- Czego chcesz jako zapłaty za drogę? Weź sobie złota i srebra, żądaj, czego tylko zapragniesz - dostaniesz!

- Daj mi tylko zardzewiały młynek - rzekł biedak.

Ale na to diabeł nie chciał się zgodzić: „Poszukaj sobie coś lepszego!”

Chłop jednak nie ustępował i wreszcie diabeł dał mu ten młynek.

Wziął go i nie zwlekając ruszył z powrotem do domu. Po drodze dogonił go ów myśliwy i zawołał:

- Poczekaj! Powiem ci, jaką moc ma ten młynek: cokolwiek sobie pomyślisz, i czegokolwiek zażadasz, młynek ci umie. Tylko zapamiętaj! I nie wolno ci zapomnieć: jeśli zechcesz, żeby przestał mleć, wtedy musisz trzykroć pokręcić w odwrotną stronę i wyrzec te słowa: „Teraz dosyć!”

Wróciwszy do domu biedak opowiedział żonie o wszystkim i pokazał jej młynek. Żona chciała się przekonać, czy ów myśliwy mówił prawdę, wzięła więc młynek i rzekła:

- Miel, młyneczku, namiel dwudziestaków!

I natychmiast zaczęły się sypać pieniądze. Od tej chwili skończyła się ich bieda. Jeśli czegoś brakowało w domu, brali młynek, a on im mełł i mełł. Teraz ani już dzieci biednego wyrobnika, ani on sam, nie musieli chodzić do bogatego i chciwego krewniaka prosić go o jałmużnę. Wszystko to bardzo gniewało bogacza. A gdy zewsząd zaczęły dochodzić go wieści, że u biednego brata panuje teraz dostatek, postanowił go odwiedzić.

Poszedł do niego, i widzi, że wszystkiego w bród. Więc pyta:

- Proszę cię, bracie, powiedz mi, skąd masz te bogactwa?

Brat opowiedział mu, jak to było, przyniósł młynek i rozkazał mu mleć.

Młynek spełniał każde życzenie.

Wtedy bogacz zaproponował: - Bracie, daj mi ten młynek, daruję ci w zamian całe moje gospodarstwo, ja zaś wyniosę się daleko stąd, w inne strony, aż za morze.

Wyrobnik pomyślał w duchu: „gospodarstwo wraz z obejściem - to jest zawsze coś!” Przetę rzekł: - Dobrze, bierz młynek.

Wziął od brata gospodarstwo, a brat-bogacz zabrawszy swoją rodzinę, udał się na statek, żeby popłynąć za morze. Wszystko, czego potrzebowali na drogę, mieli z sobą. Zapomnieli tylko o soli a na statku jej nie było. Ale od czego młynek?! Zaczęli mleć, i posypała się sól. Wkrótce mieli jej już pełną beczkę, potem dziesięć beczek, a sól sypała się i sypała, bowiem nie wiedzieli, że trzeba było trzykroć pokręcić w odwrotną stronę i powiedzieć: „Teraz dosyć!” Tak więc młynek mełł, i mełł bez końca, aż statek zatonął, a oni razem z nim.

czeska

## O chłopie i o rybce złotej

Był pewien chłop, co już czterdzieści lat łowił ryby, ale bardzo mu się nie wiodło. Raz zarzucił sieci - wyłowił tylko morską trawę; zarzucił je drugi raz, patrzy, a tu rybka, nieduża, ale złota. Dopieroż to rybka prosi go, żeby ją puścił do wody:

- Puść mnie, co tylko będziesz chciał, to ci dam - powiada rybka.

Tak go prosiła, że ją w końcu puścił. Wraca chłop do domu i mówi do żony:

- Wiesz, złapałem dzisiaj złotą rybkę, ale ją puścił, bo bardzo o to prosiła. Tyle, że mi obiecała, że co tylko będę chciał, to mogę dostać.

Żona na to:

- Oj, głupiś, głupi. Idź zaraz i poproś ją, żeby nam dała nowe koryto, bo stare się nam rozsypało.

Poszedł chłop do morza, stanął na brzegu, zdjął czapkę i prosi, żeby rybka dała im nowe koryto. Wyszła rybka nad wodę i przemówiła:

- Idź do domu, idź.

Wraca chłop do domu, patrzy, stoi przed chałupą nowe koryto. Żona się ucieszyła, ale pomyślała sobie: „Jak tak, to i więcej mogłaby nam rybka dać”.

- Idźże do niej, poproś, żebym była gospodynią z własnym gruntem i nową chałupą.

Poszedł chłop nad wodę, zdjął kapelusz, ale nie śmie nic mówić. Wychyła się rybka z fali i pyta:

- Czego jeszcze chcesz?

Wytłumaczył jej, czego się żonie zachciało, a rybka mu na to, żeby wracał do domu. Wraca chłop, patrzy, a tam stoi nowa chałupa, a jego żona już bogatą gospodynią, chodzi sobie, nic nie robi, tylko pokrzykuje na parobków i służące. Jeszcze tego było jej za mało; po jakimś czasie powiada znów do męża zachłanna kobieta:

- Idź no do tej twojej rybki, powiedz jej, żebym została wielką panią, z własnym dworem, końmi, powozem i służbą.

Poszedł, poprosił, wraca do domu, a tu już jego żona, ubrana w piękną suknię, siedzi sobie i wydaje rozkazy służbie, nic nie robi. Ale i to jej nie starczyło, znów wysłała chłopca z nowym zadaniem:

- Na co mi być panią, kiedy mogę być samą królową. Idź, powiedz rybce, żeby mi tu stanął pałac królewski, a ja żebym była w nim królową.

Poszedł chłopiec nad wodę, a rybka i to zrobiła. Przychodzi do domu, a tu jego żona chodzi w koronie, pełno pań i panów, służby i strażników z pałaszami; pytają go, czego tu chce. On na to, że do żony, czyli królowej, chciałby się dostać. Roześmieli się na to, a żona nie chciała na niego patrzeć, kazała go wygnąć i psami poszczuła. Tak było przez tydzień, królowa z samymi królami się zabawiała, a po tygodniu kazała zawołać męża i mówi:

- Mało mam służby, idź no do rybki i powiedz jej, żeby przyszła do mnie na służbę.

Chłopiec się zląkł, ale co było robić. Poszedł nad wodę, czapkę zdjął, przeprosza rybkę i powiada jej, czego znów żonie się zachciało. Rybka na to nic się nie odezwała, tylko machnęła ogonkiem w obie strony i znikła w fali. Pomedytował chłopiec chwilę, a potem wraca do domu. Patrzy - nie ma zamku królewskiego, ani służby, ani panów, stoi stara chałupa pod lasem, jak stała, a jego żona siedzi na progu, płacze i zszywa podarte sieci.

polska

## O owczarzu

Pewien bogaty owczarz przyjął sobie do pomocy owczarczyka, który grywał pięknie na piszczalce. Pasając owce na przyłogu często sobie leżał i graniem nawoływał psy, aby zabiegały owcom drogę do lasu, gdzie były wilki. Chłopak kilka razy zauważył, że jedna z owiec różniła się nieco od innych, szła zawsze na czele stada z łebkiem podniesionym do góry, a pozostałe owce dziwnie ją szanowały. Stawała często z dala od drugich i, jakby miała prawdziwy rozum, słuchała jego grania. Bardzo polubił tę owcę i zwracał na nią pilną uwagę. Któregoś dnia przed wieczorem, zanim spadła rosa, chłopak zegnał owce, a owczarz wziął się do dzielenia stada: część miała iść na rzeź, część na sprzedaż, reszta zaś do dalszego chowu. Oglądając każdą owcę, tak mówił do chłopaka:

- Te owce, które zostaną na chów, zastaw drabinką; te, co na rzeź, smaruj dziegciem z tyłu, a te, co na sprzedaż, smaruj na pysku.

Chłopak widząc, że owczarz zagania na rzeź jego ulubioną owieczkę, powiada:

- Gospodarzu, ta owieczka ma piękną wełnę, to się nam opłaci, szkoda jej!

Ale owczarz na to:

- Cóż nam po niej! Tyle warta, co i tamte, rób, jak ci kazałem!

Ano, skończyło się na tym, że owczarczyk musiał odstawić swoją ulubioną owieczkę z drugimi na rzeź. Po cichu myślał jednak sobie: „Niech będzie, co chce, szkoda jej! Jak jutro wygnam stado, powiem, że zginęła”.

Wiedział zaś, że dość daleko stąd, pod skałą, była pusta, na wpół rozwalona kapliczka, więc nazajutrz, jak tylko wygnał stado, to tę swoją owieczkę ukrył w owej kapliczce; drzwi zastawił kamieniami i belką przed wilkami, a zostawiwszy owieczce różnego ziela, żeby miała co jeść, odszedł.

Minęło kilka dni, zanim owczarz coś zmiarkował; wreszcie jednak pyta chłopca:

- Gdzież to ta owca, com ją dał na rzeź?

Owczarek powiada:

- Gospodarzu, sam nie wiem, co się stało. Gdzieś mi się podziała, może zjadł ją wilk.

- To ty, nicponiu, wilkom pozwalasz zjadać moje owce? - i dalej bić chłopca.

- Hoho, jeśli tak ze mną zaczynacie, to - bywajcie zdrowi!

Chłopak wypadł za drzwi i uciekł. Po drodze myśli sobie: „Źle, trzeba teraz wziąć tę owieczkę i powędrować w świat, daleko, gdzie mnie nikt nie zna, bo tu, juści, powiedzą, że złodziej!”

Przychodzi do kapliczki, a tu owcy nie ma. Rzekł do siebie:

„Pewnie wilk wlaźł którędyś i ją pożarł. Nie umknęła i tak śmierci, a ja wpadłem w biedę i straciłem służbę. No, ale stało się”.

I poszedł dalej.

Idzie, idzie, od miejsca do miejsca, i tak zaszedł aż do morza. Myśli sobie: „Wsiądę na okręt i pojedę, gdzieś przecie coś zarobię na życie”.

Ano, wzięli go jacyś kupcy na okręt i popłynął z nimi. Podczas drogi zrobił się nagle w nocy straszny huk i trzask. Ludzie wołali „gwałtu”, a wicher jak nie wykręcił okrętem, tak gruchnęło wszystko o skałę i okręt rozleciał się w kawałki. Ludzie powpadali do wody, a chłopak razem z nimi. Prawie się już topiąc, myślał w duchu: „Albom już umarł, albo jeszcze żyję”.

Wtem zbliżyła się do niego duża ryba i tak mu mówi:

- Ty nie zginiesz, bo ratowałeś innych od śmierci!

Wzięła go na grzbiet i płynęła z nim bardzo długo, aż dopłynęli do jakiejś wyspy. Tu powiada:

- Jesteśmy już u celu. Zejdź teraz z mego grzbietu i nie bój się niczego, tu jest wyspa szczęścia. - Po czym dodała jeszcze: Jak już staniesz na lądzie, zobaczysz kamień, a koło niego krzak; z tego krzaka zrobisz sobie piszczałkę. Jak tylko na niej zagrasz, znajdzie się tu zaraz twoja owieczka, a do niej przybiegną wszystkie inne, od tego owczarza, bo to jest ich królowa, którą uratowałeś od śmierci.

Ryba plusnęła z powrotem do morza, a chłopak został na lądzie.

„No, dobrze - myśli sobie - a mam to czym wystrugać piszczalę? Przecież na tej wyspie nie widać żadnej chałupy, żebym sobie noża choć pożyczył”.

Patrzy, a tu druga ryba płynie ku niemu z morza i trzyma w pysku nóż. Zabrał zaraz ten nóż i co tchu wystrugał piszczalę z owego krzaka, który pachniał jak mahoń. Jak już była gotowa, schował ją do kieszeni, bo mu się bardziej chciało jeść niż grać.

Idzie, idzie, chodzi po tej wyspie; prześliczna kraina, rajska - sam cukier rośnie na drzewach, pomarańcze same, i cynamon. Najadł się aż strach, napił się wody ze źródła, co miała smak wina, pogłaskał się po brzuchu i mówi do siebie: „No, jak tak, to teraz sobie zagram. Zobaczymy, co się stanie”.

I tak sobie tymczasem zaszedł w zieloną, rajską dolinę. Patrzy, pasą się owce. Ale jakie owce! Miały wełnę ze srebra, aż błyszczała w słońcu, i oczy perłowe, zaś największa spośród nich miała wełnę złotą, a oczy diamentowe.

Jak tylko zagrał na piszczalce, one - hyc! do niego. Złota owca zdjęła z siebie runo niczym płaszcz, okryła go nim i - o dziwo - w tejże chwili z tej owcy stała się cudnej piękności królowna.

Odezwała się tak do niego:

- Za to, żeś mnie wybawił z mocy złego czarownika, tego owczarza, który zielem zaczarował mnie w owcę, oddaję ci wszystkie moje skarby i całe królestwo, i będziesz moim mężem. Chodźcie tutaj, panny, zrzucicie z siebie wełnę! - zawołała do owiec.

Jak tylko złożyły srebrną wełnę owczarczykowi pod nogi, każda z nich zamieniła się znowu w służebną pannę królowny. Chłopak z radości zagrał na piszczalce jeszcze raz. Wtedy pokazał się w dolinie pałac, do którego też natychmiast wszyscy się udali w paradnym orszaku. Tam odbył się ślub owczarczyka z królowną, którą sobie wygrał, a potem żyli sobie na szczęśliwej wyspie i panowali więcej niż kopę lat. Nikt im nie przeszkadzał, bo to było daleko za morzem, a ryby morskie strzegły tego królestwa jak wojsko.

polska

O chłopcu i jego piesku, kotku i lewku

Była wdowa i miała syna, ale cierpiała wielką biedę, przymierała głodem i chodziła obdarta. Kiedy trzeba było wychodzić do roboty, a wtedy pracowało się na polu od świtu do nocy, nie miała co z sobą zabrać do jedzenia.

Pewnego razu tak powiada do ekonomy, który pilnował robotników:

- Więcej tu nie przyjdę, bo nie mam co jeść, a o głodzie pracować nie będę.



Ekonom wyjął z mieszka półtora złotego, żeby jej syn poszedł do miasta i kupił chleba. Wziął chłopak pieniądze, idzie do miasta, patrzy, a tu chłop niesie pieska. Zapytał go:

- Dokąd to niesiecie tego pieska?

Chłop powiada:

- Chcę go utopić.

Chłopak na to:

- Nie topcie go, lepiej mi go sprzedajcie!

- Ano, to kup!

Dał mu chłopak półtora złotego, zabrał pieska i zaniósł go do chałupy. Matka w pracy głodna, a on w domu bawi się z pieskiem. Wraca matka wieczorem do chałupy, patrzy, chleba nie ma. Pyta synka:

- Gdzie podziałeś pieniądze?

- Ach, mam, kupiłem sobie pieska.

Wzięła matka kija, zbiła synka.

Na drugi dzień to samo. Ekonom wyjął znów półtora złotego, dał chłopcu i upomniął go, żeby niczego innego nie kupował, tylko żeby przyniósł chleba.

Poszedł synek do miasta, patrzy, a tu chłop niesie kota. Chłopiec znów pyta:

- Dokąd niesiecie tego kota?

- Ano, chcę go utopić.

- To już lepiej mi go sprzedajcie, nie topcie go!

- To kup!

Dał chłopcu drugie półtora złotego, wrócił do domu i bawi się z kotkiem i pieskiem. Przychodzi matka z pracy, nie ma czym się posilić. Złapała synka, zbiła, ale jeść chce się jej dalej.

Trzeciego dnia ekonom, jak zwykle, woła kobietę do roboty. Ona mu powiada, że chłopak nic nie kupił do jedzenia. Ekonom złapał go i spytał:

- Czemuś nie kupił?

- Żal mi było kotka, nie chciałem, żeby go utopili.

Ekonom wyjął po raz trzeci półtora złotego, dał chłopakowi i upomniął, żeby broń Boże niczego nie kupował, tylko przyniósł matce chleba.

Idzie synek do miasta, a tu chłop niesie młodego lwa, żeby go utopić. I znów to samo. Wyjął mały te półtora złotego i dał je za tego lewka.

Wrócił do domu - ma sobie teraz pieska i kotka, i lewka. Jak matka wróciła do domu, zbiła go i wygnała w świat razem z tym całym jego dobytkiem.

Chłopak zaszedł do boru, a tu wychodzi stary lew i chce mu odebrać tego małego. Chłopak w płacz, a płakał jeszcze bardziej niż wtedy, kiedy biła go matka. Stary lew mówi do niego:

- Oddaj mi lewka, a dam ci za to taki sygnet, że jak na niego spojrzysz i powiesz: „żeby mi było to a to”, będziesz zaraz to miał.

Chłopak się zgodził, wziął sygnet a zostawił lewka. Uszedł kawał drogi i zachciało mu się jeść.

Wtedy spojrzął na pierścień i powiedział:

- Żeby miał tu zaraz kartofle i kapustę!

I natychmiast zjawiły się przed nim kartofle z kapustą. Chłopak najadł się i poszedł dalej z pieskiem i kotkiem. Minął bór, wyszedł na pole, rozejrzał się i zobaczył piękny pałac w oddali. Spojrzął na sygnet i mówi:

- Żeby mi tu zaraz jeszcze piękniejszy pałac stanął niż tamten!

I z miejsca stanął pałac. Nazajutrz rano patrzą ludzie, a tam, gdzie dotąd było szczere pole, stoi pod samym borem prześliczny pałac. Dali znać o tym panu, który tam mieszkał w sąsiedniej wsi; pan nie chce wierzyć, wysłał lokaja na zwiady. Lokaj poszedł, obejrzał wszystko, wraca do pana i mówi:

- Panie, tam istotnie jest pałac, jeszcze piękniejszy niż pański!

Wybrał się pan sam i zobaczył, że to prawda. Zabrał z sobą ekonomę i kilku ludzi, żeby z nim tam poszli. Zachodzą do pałacu, idą na pokoje, widzą, że wszystkie pięknie przyozdobione. Wchodzą na salę, patrzą, nie ma nikogo, tylko na kanapie śpi ten chłopiec ze swoim pieskiem i kotkiem. Chłopiec obudził się, wstał, przywitał pana i tych, co z nim przyszli. Pan go pyta:

- Coś ty za jeden?

- Jestem biedny sierota, nie mam nikogo.

- Któż ci zatem pobudował ten pałac?

- Sam sobie pobudowałem - powiada chłopiec.

Pan kazał go wyprowadzić. Ludzie, którzy przyszli z panem, pochwycili chłopca i wyprowadzili go z zamku, wiodą do wsi. A chłopiec, uszedłszy kawałek drogi, obejrzał się za siebie, spojrzął na sygnet i rzekł:

- Niech pałac zniknie, gdzie chce!

Gdy się potem i pan oglądnał, niczego już w tym miejscu nie było, tylko znowu szczere pole. Rozgniewał się, odebrał chłopcu pierścień. Później kazał wykopać głęboką na piętnaście metrów studnię, wymurować wewnątrz cegłą i wsadzić tam chłopca. Na wierzchu na półtora metra wysoko otoczyli studnię murem i zasklepili tak, żeby żadnego otworu nie było.

No i siedzi chłopak zamurowany w tej studni. Piesek i kotek położyli się koło niej i zaczęli pilnie radzić, jak by tu pomóc swemu panu.

Kotek powiada:

- Trzeba mu w jakiś sposób dać jeść, żeby z głodu nie umarł.

A piesek mówi:

- Ale skąd wziąć i jak mu podać?

Kot na to:

- Biegnij do miasta, do jakiegoś rzeźnika i porwij mu kawał kiełbasy lub czegoś innego, byle nie surowego mięsa, bo tego ludzie nie jedzą.

Piesek pobiegł i przyniósł co trzeba. Kot postarał się o sznur i związali to wszystko. Potem kotek wlaź na ten mur, wciągnął jedzenie za sobą, poszukał małej dziurki i spuścił tędy chłopcu na sznurze paczkę na dół do studni. Chłopiec pożywił się.

Kot znów mówi do pieska:

- Musimy ratować naszego chłopca. Pójdę do dworu, porwę panu sygnet i przyniosę go tutaj. Spuścimy go do studni, wtedy chłopiec wyjdzie. Bez sygnetu nie uratuje się.

Rychło rano kot pobiegł do dworu. Pan wstał z łóżka i właśnie się zaczął myć, więc pierścień zdjął z palca i położył na stole. Kot się podkradł, łaps pierścień w pyszczek, i w nogi. Pies był ciekaw, czy się kotkowi udało i wyszedł mu naprzeciw. Ale tam trzeba było przepłynąć przez małą rzeczkę. Właśnie gdy kot z pierścieniem w pyszczku płynął przez wodę, piesek zawołał:  
- Masz?!

A kot powiada:

- Mam!

I w tej chwili, gdy kot otworzył pyszczek, pierścień - plusk! - wpadł do wody. Zmartwili się bardzo. Pies mówi:

- Ty już swoje zrobiłeś, teraz kolej na mnie.

Dał nurka w wodę, szuka po dnie, szuka - znalazł! Wypłynął na wierzch, oddał pierścień kotkowi. Ten przywiązał go do sznura, wskoczył na mur studni i woła chłopca:

- Spuszczamy sygnet!

Chłopiec bardzo się uradował, chwycił pierścień, odwiązał go od sznura i włożył na palec. Kotek i piesek odeszli tymczasem nieco dalej i patrzą, co się będzie działo. A chłopiec w studni powiedział tylko:

- Niech ten mur przepadnie!

I mur się rozleciał w kawałki, chłopiec wyszedł szczęśliwie ze studni i ze swoimi zwierzątkami wrócił do matki.

Odtąd dobrze im się powodziło.

polska

## Księżę i czarodziejski rumak

Był sobie człowiek, który znalazł na rzece pływającą skrzynkę. Gdy ją wyłowił i otworzył, zobaczył w niej małe dziecko. Był to księżę, którego chciano utopić.

Człowiek zabrał dziecko do siebie i wychowywał je. Gdy chłopiec skończył osiemnaście lat, opiekun powiedział do niego:

- Jesteś już duży, więc możesz pójść w świat i sam sobie szukać szczęścia. Powiedz, co chciałbyś na drogę, a rad ci to dam.

Młodzieniec na to:

- Nie chciałbym nic, tylko jednego konia z twojej stajni.

Opiekun odpowiedział:

- Weź sobie konia, który ci się najbardziej spodoba!

I poszli do stajni. Było tak wiele wspaniałych koni, ale młodzieniec wybrał najlichszego, osiodłał go, podziękował opiekunowi za wszystko i ruszył w świat.

Wkrótce dojechał do wielkiego lasu. Tam zobaczył na ziemi piórko, które błyszczało jasno jak słońce. Chciał te podnieść i zabrać, ale koń potrząsnął łbem i rzekł:

- Zostaw to piórko, bo będziesz miał z nim wiele kłopotów!

Młodzieniec jednak nie posłuchał rady i wziął piórko. Potem jechał dalej. Wreszcie przybył na dwór wielkiego króla. Zapytał służbę, czy nie znalazłaby się tu dla niego jakaś praca.

- Tak - usłyszał w odpowiedzi - potrzebny tu właśnie parobek do koni.

Będziesz je karmił i czyścił.

Młodzieniec zgodził się na to.

Zaprowadzono go wraz z koniem do królewskiej stajni. Stało tam wiele pięknych koni. Rano i wieczorem paliło się dwanaście świec, żeby w stajni było jasno, lecz piórko chłopca promieniało o wiele jaśniej niż wszystkie świece razem wzięte. Dlatego młodzieniec zazwyczaj wieszał je wieczorem pod stropem i gasił świece, gdyż blask piórka rozjaśniał stajnię jak światło dnia.

Wreszcie strażnicy spostrzegli, że świece nigdy nie bywają palone. Obserwowali młodzieńca, a potem poszli do króla i opowiedzieli mu, co zauważyli. Król rozkazał:

- Chcę mieć to pióro! Przynieście mi je natychmiast!

Słudzy poszli do stajni po pióro, ale chłopiec nie chciał za nic im go dać.

- Muszę się jeszcze zastanowić - powiedział, po czym poszedł do swego konia i spytał go:

- Dać im to pióro?

Tak, tak, daj je! A nie mówiłem ci: Zostaw to pióro, bo będziesz miał z nim wiele kłopotów? Młodzieniec uczynił tak, jak mu poradził koń.

Po krótkim czasie król kazał przywołać chłopca i rzekł:

- Pióro już wprawdzie mam, lecz teraz musisz mi jeszcze dostarczyć ptaszka, do którego ono należało!

Chłopiec wrócił do swego konia i zapłakał. Ten rzekł:

- A nie mówiłem ci, żebyś zostawił to pióro, bo będziesz miał z nim wiele kłopotów? Ale nie martw się, postaramy się złapać tego ptaka. Każ sobie dać złote i srebrne sidła!

Chłopiec pobiegł do króla i poprosił go o złote i srebrne sidła. Potem poszedł do stajni osiodłać konia. Ledwo był gotów, a już słudzy przynieśli mu srebrne i złote sidła, i chłopiec ruszył do lasu. Tam zastawił je. Nie trwało długo, a błyszczący ptaszek już się w nie złapał.

Jak mógł najszybciej wrócił do króla i oddał mu ptaszka. Król ucieszył się niezmiernie, ale jeszcze nie był zadowolony. Rzekł do chłopca:

- Teraz musisz mi coś powiedzieć. Jeśli potrafisz, obdaruję cię sownicą, lecz jeśli nie - stracisz głowę! Powiedz, dlaczego zimą słońce świeci nisko, a latem wysoko?

Chłopiec odparł:

- Daj mi nieco czasu do namysłu, a przyniosę ci odpowiedź.

Poszedł do swego konia i z płaczem opowiedział mu, o co król pytał.

Koń rzekł:

- A nie mówiłem ci, żebyś zostawił to pióro, bo będziesz miał z nim wiele kłopotów? Ale niech tam, zdradzę ci, co masz powiedzieć królowi. Idź i mów tak: „Słońce dlatego stoi zimą nisko, a latem wysoko, bo na morzu siedzi dziewczica, która zimą nie chce zmarznąć, a latem nie chce, żeby spaliło ją słońce”.

Poszedł chłopiec do króla i powtórzył mu odpowiedź.

Lecz król zażądał:

- Musisz mi przyprowadzić tę dziewczicę!

Znowu poprosił młodzieniec o czas do namysłu. Wrócił do swego konia i opowiedział mu o nowym kłopotcie. Wtedy koń rzekł:

- A nie mówiłem ci, żebyś zostawił to pióro, bo będziesz miał z nim wiele kłopotów? Jednak zdobędziemy tę dziewczicę! Poproś króla o złote łoża z jedwabnymi poduszkami, o złoty stół, złote i srebrne naczynia i najprzeróżniejsze gatunki win. Zabierzemy to wszystko i pojedziemy nad morze. Wtedy dziewczica przyplynie do brzegu, napije się wina i zmorzy ją sen. Kiedy położy się do łoża i zaśnie, wtedy ją przyniesiemy tutaj.

Młodzieniec poszedł do króla i poprosił o wszystko, co mu koń polecił. Król kazał dostarczyć potrzebne rzeczy nad brzeg morza, a chłopiec pojechał tam na swoim koniu. Ustawił łoże, stół, na nim wino, złote i srebrne naczynia, a potem się ukrył.

Nie trwało długo, i dziewczica przyплыnęła; zasiadła do stołu i pokosztowała każdego wina.

Zmogło ją wreszcie zmęczenie i położyła się do łóża. Mocno zasnęła. Wtedy służba zaniósła ją do króla. Nazajutrz dziewczica rzekła:

- Przywiedliście mnie tutaj, lecz tam zostały moje klacze; trzeba je codziennie nakarmić i wydoić. Natychmiast muszę je mieć tutaj, przy sobie!

Rozkazał więc król przywołać młodzieńca i polecił mu przyprowadzić owe klacze.

Z płaczem wrócił chłopiec do swego konia.

- A nie mówiłem ci, żebyś zostawił to pióro, bo będziesz miał z nim wiele kłopotów? -

powiedział koń. - Ale nie martw się, zdobędziemy te klacze! Pojedziemy nad morze. Ja będę rżał, a ty będziesz gwizdał, wtedy one przyplyną do brzegu i wyjdą z morza. Weźmiemy je i zaprowadzimy do króla.

Następnego dnia pojechali nad morze. Koń rżał, chłopiec gwizdał. Nie trwało długo, a klacze przyplynęły i wyszły na brzeg. Wtedy chłopiec ruszył przodem, klacze za nim, i tak zaprowadził je do króla. Kiedy przybyli, radość dziewczicy była ogromna.

Następnego dnia kazała przywołać chłopca:

- Przywiodłeś moje klacze, teraz musisz je codziennie doić!

Chłopiec znowu poszedł do swego konia i z płaczem opowiedział mu o tym.

Koń rzekł:

- A nie mówiłem ci, żebyś zostawił to pióro, bo będziesz miał z nim wiele kłopotów? Ale nie martw się, postaram się, żeby klacze stały spokojnie, kiedy będziesz je doić.

Chłopiec odwiązał swego konia i puścił go do klaczy, a gdy uspokoiły się, zaczął je doić.

Szybko się z tym uporał.

Po jakimś czasie woła go król:

- Teraz musisz ugotować to mleko, a potem wskoczyć do wrzątku. Poszedł więc chłopiec znowu do swego konia i powtórzył mu dziwny rozkaz króla.

Koń rzekł:

- A nie mówiłem ci, żebyś zostawił to pióro, bo będziesz miał z nim wiele kłopotów? Ten już jednak będzie ostatni. Skoczysz w to mleko, ale w nim nie umrzesz, bo gdy się zagotuje, staniami nad nim i tak długo będziemy płakać, aż się mleko ostudzi od naszych łez. Dopiero wtedy wskoczysz.

Chłopiec więc ugotował mleko, potem przyprowadził konia ze stajni. Obaj stanęli nad mlekiem i tak płakali, że własnymi łzami je ostudzili. Potem chłopiec wskoczył do mleka, a gdy wyszedł, był jeszcze piękniejszy niż przedtem.

Król, który był już bardzo stary, ujrawszy to, pomyślał sobie, że gdyby i on wskoczył do gotującego się mleka, również stałby się piękny i młody. Nie wiedział jednak, że wtedy łyż chłopca i jego konia ostudziły wrzątek. Rozkazał jeszcze raz gotować mleko. Gdy już było wrzące, wskoczył. Poparzył się tak, że umarł.

A księżę - bo chłopiec był księciem - poślubił piękną dziewczycę i został królem.

łużycka

O Janku - Polanku

Był sobie raz pewien rzeźbiarz. Był żonaty, ale nie miał dzieci. Żona jednak bardzo pragnęła dziecka, więc prosiła męża, aby wystrugał je choć z drewna. Tak więc mąż wystrugał prześliczne dziecko i przyniósł je do domu.

Żona położyła je do kołyski i zaśpiewała kołysankę:

Luli, luli, mój syneczku,  
zgotuję ci poleweczki;  
a jak będę cię kołysać,  
będzie ci się dobrze sypiać.

Wtem drewniane polanko zaczęło się ruszać i przemieniło się w dziecko.

Sprawiła to kołysanka matki.

Gdy chłopiec miał już dwanaście lat, zaczął trudnić się łowieniem ryb. Kazał ojcu zrobić złotą łódź i tą łodzią wypływał w morze, na połów. W ten sposób pomagał rodzicom.

Matka codziennie przynosiła mu obiad na brzeg. Chłopiec zapowiedział jej, żeby nigdy go wtedy nie wołała, on już sam przyjdzie.

A tam, w tym morzu, był wielki smok i Janko pilnie go śledził, bo postanowił go złapać. Smok tymczasem kazał sobie zrobić taki instrument, który umiałby mówić ludzkim głosem. Pewnego razu tak smok na nim zagrał:

Chodź tu, mój Janeczku,  
przyniosłam ci poleweczki;  
a jak będę cię kołysać,  
będzie ci się dobrze sypiać.

Janko myślał, że to woła go matka, i przyszedł. Wtedy smok złapał go i zaprowadził do swojej żony, Oleny. Tutaj nazwali go Jankiem-Polankiem.

Smok rozkazał żonie dobrze napalić w piecu, wsadzić tam Janka i upiec go.

Potem poszedł sobie.

Gdy już piec był gorący, Olena woła:

- Chodź tu, Janku-Polanku!

Gdy już był blisko pieca, rozkazała:

- Siądź na łopacie!

Lecz on powiedział, że nie wie, jak to zrobić. Olena popychała go więc tak i owak, na prawo i na lewo, ale wciąż jej się to nie udawało. Wtedy powiedział Janko:

- Pokaż mi, jak trzeba usiąść!

Siadła na łopacie, a on - łap! - za łopatę i wsunął ją razem z Oleną do pieca.

A przed tym zamkiem w którym mieszkał smok, stał ogromny dąb. Janko wdrapał się szybko na niego, aż na wierzchołek. Gdy już był na samym szczycie, wtedy wrócił smok i zastał bramę zamkniętą. Woła:

- Oleno, Oleno, otwórz!

Ale że nikt się nie zjawił, przelazł przez bramę i udał się na zamek. Zajrzał do pieca i sprawdził, czy mięso już się dobrze upiekło. Potem wybiegł na podwórze aż pod bramę i wesoło zaśpiewał:

- Upiekło się smakowicie Polankowe mięso!

A Janko odpowiedział:

- Upiekło się smakowicie twojej żony mięso!

Smok spojrział na drzewo i zobaczył tam Janka. Zaczął gryźć zębami pień, ale nie dał rady go przegryźć. Pobiegł więc do kowala i kazał wprawić sobie żelazne zęby. Teraz poszło szybko, dąb zaczął się chwiać, i Janko wystraszył się.

W tym momencie przeleciało nad dębem stado gęsi, a było ich chyba z piętnaście. Janko zaczął je prosić:

Gąski, gąseczki, gąseczki,  
weźcie mnie na skrzydełeczka!

Zanieście mnie przez góry  
do mojej matki izdebki.

Dadzą nam się tam najeść,  
dadzą nam się i napić.

Ale gąski odpowiedziały:

- Za nami leci drugie stado, niech ono cię zabierze!

Gdy już było blisko, Janko znów prosił je tak samo. Ale i to stado go nie zabrało:

- Za nami leci jeszcze jedna jedyna gąska, ta cię zabierze!

Gdy wreszcie nadleciała, Janko zawołał:

Gąsko, gąseczko, gąseczko,



zabierz mnie na skrzydełeczko!

Zanieś mnie przez góry

do mojej matki izdebki.

Dadzą nam się tam najeść,

dadzą nam się i napić.

Gąska odpowiedziała:

- Siądź mi na skrzydła! - i zaniosiła go do matki, aż na podwórze. Matka stała właśnie przy piecu i piekła podplomyki. Tak mówiła do siebie: „Jeden dla ojca, a jeden dla mnie!”

Wtedy Janko zawołał:

- A dla mnie nic?!

Z biegiem czasu rodzice przestali już myśleć o synu, bo byli pewni, że smok go pożarł.

Janko zawołał drugi raz:

- A dla mnie nic?!

Wtedy matka wybiegła z kuchni i Janek znów usłyszał jej kochany głos:

Ach, toś ty tu, mój syneczku,

zgotuję ci poleweczki;

dawno cię nie kołysałam,

długo za tobą płakałam.

Odtąd żyli już razem szczęśliwie.

słowacka

O synu rybaka i o utopcu

Był pewien biedny rybak, miał żonę i kilkoro dzieci. Aby utrzymać rodzinę, łowił ryby w jeziorze i sprzedawał je, ale za to musiał właścicielowi jeziora dostarczać tyle ryb, ile zażądał. Zdarzyło się raz, że u państwa miało być wielkie przyjęcie i potrzeba było dużo ryb. Kazano rybakowi, żeby ich dostarczył. Poszedł więc nad jezioro i przez cały dzień zastawiał sieci, lecz ani jednej rybki nie złapał. Łowił drugi dzień - znów nic nie mógł złowić.

Poszedł do pana i mówi, że w żaden sposób nie może nałapać ryb. Ale pan odparł na to z gniewem:

- Nic mnie to nie obchodzi! Jak nie przyniesiesz ryb, przepędzę cię z mego domu i ze służby, szukaj sobie gdzie indziej roboty!

Rybak łowił trzeci dzień, ale znowu nic nie złowił. Wtedy, nie wiadomo skąd, zjawił się nagle przy nim mały chłopiec w czerwonej sukni. A był to utopiec, mieszkający na dnie jeziora.

Powiedział tak:

- Jeśli dasz mi twego najstarszego syna, złapiesz mnóstwo ryb i to nie tylko dzisiaj, ale kiedy tylko zechcesz. Musisz jednak na znak zgody podpisać mi się krwią z serdecznego palca.

Cóż miał rybak robić? - Zgodził się. Utopiec naciął mu palec i rybak się podpisał. Ledwie też zapuścił sieci, już miał w nich mnóstwo ryb. Wraca smutny do domu, a tam żona pyta go:

- Cóżżeś taki smutny, skoro masz tyle ryb?

Wtedy opowiedział jej, że za tydzień musi oddać utopcowi starszego synka.

Gdy minął tydzień, rybak z wielkim lamentem zabrał chłopca i zaprowadził go nad jezioro.

Utopiec zaraz się zjawił, zabrał chłopca i plusnął z nim w wodę.

Pod wodą był pałac szklany, w którym mieszkał utopiec z żoną i córką, i mnóstwem służby.

Powiedzieli chłopcu, że po to został tu sprowadzony, żeby bawił się z córką wodnika. Jeśli będzie dobrze się sprawował, to od czasu do czasu pozwolą mu iść w odwiedziny do rodziców.

Jankowi - bo tak chłopiec miał na imię - podobało się tam, ale było mu bardzo tęskno za domem. Utopiec widząc to, pozwolił mu iść na jeden dzień do rodziców, lecz upomniął chłopca:

- A pamiętaj, jeśli nie wrócisz tu do mnie, wszyscy zginą w wodzie: i ty, i twoi rodzice, i siostry, i bracia!

Chłopak uradowany pobiegł do domu, opowiedział jak dobrze powodziło mu się w pałacu utopca, a potem wrócił pod wodę. I tak od czasu do czasu odwiedzał swoich.

Lata bieły. Mała córka utopca podrosła i kiedyś przyznała się Jankowi, że wołałaby żyć na ziemi, wśród ludzi. Gdy raz nie było w domu matki i ojca, zabrała najcenniejsze skarby i razem z Jankiem uciekli z podwodnego pałacu. Wydostawszy się na ziemię, popędzili co tchu przed siebie. Oglądają się, a tu goni ich już matka z wielkim wojskiem. Dziewczyna zaraz przemieniła siebie i Janka w parę srok, które usiadły na wysokim dębie.

Matka rozkazała żołnierzom strzelać do nich, wołając:

- Strzelajcie samczyka, oszczędźcie samiczkę!

Ale kule ich nie trafiły. Sfrunęli z dębu i dziewczyna przemieniła się w zającą, a Janek w lisa, który ją teraz gonił. Matka znowu ruszyła za nimi z wojskiem w pościg i wołała:

- Strzelajcie lisa, oszczędźcie zającą!

Kule i tym razem nie trafiły. Dziewczyna uderzyła laską w ziemię, natychmiast zrobił się w tym miejscu duży staw. Ona stała się kaczką, a on kaczorem.

Matka wołała:

- Strzelajcie kaczora, oszczędźcie kaczkę!

Huknęły strzały, ale oni zdążyli skryć się pod wodą. Matka pękła z żalu, a wojsko wróciło do podwodnego zamku.

Potem Janek i dziewczyna powędrowali dalej, aż przyszli do stołecznego miasta. Była tam właśnie wojna i król wybierał się z wojskiem na wyprawę. Janek musiał iść z królem jako żołnierz, dziewczyna zaś została i żyła w biedzie, służąc u obcych ludzi. Wreszcie wojna się skończyła, wróciło wojsko, wrócił Janek. W bitwach był tak dzielny i taką zdobył sławę, że król chcąc go nagrodzić, obiecał mu swoją córkę za żonę. A Janek miał to sobie za wielkie szczęście i zupełnie zapomniał o córce utopca.

Tak więc na zamku królewskim sprawiono wspaniałe wesele. Zjechało się dużo gości, grała muzyka, Janek siedział przy stole obok króla i królowy.

Nagle przez otwarte okno wleciała gołębica i jastrząb. Ptaki okrążyły salę i usiadły na szafie. Gołębica odezwała się:

- Pamiętasz, Janku, jak opuściłam dom rodziców i wyprowadziłam cię spod wody?
- Pamiętam! - odparł Janek.
- Pamiętasz, kiedy nas matka z wojskiem gonila, a ja ciebie i siebie zamieniłam w sroki?
- Pamiętam!

Goście dziwili się wielce, tymczasem gołębica mówiła dalej:

- Pamiętasz, jak byliśmy parą kaczek na jeziorze, a matka moja pękła z żalu?
- Pamiętam!
- Pamiętasz, jak mi obiecałeś, że zawsze mnie będziesz kochał?
- Pamiętam!

Pan młody przy stole bladł coraz bardziej, na ostatku zaczął mdleć. Król i goście zerwali się z miejsc, zaczęli go ratować i pytać, co to znaczy, a on odpowiedział, że gołębica prawdę mówiła.

Ucztę przerwano, gołębica odleciała. Janek wybiegł za nią, dogonił ją i zaczął przeproszać. Wtedy gołębica zamieniła się w dziewczynę i wkrótce potem odbyło się wesele Janka z córką utopca.

polska

Janeczek

Teraz chcę wam opowiedzieć o Janeczku, bo może jeszcze dotąd o nim nie słyszeliście.

Był raz pewien węglarz, biedny, jak to już bywa, a miał siedmioletniego syna, Janeczka. Węglarz dawno już owdowiał i sam musiał troszczyć się o syna. Chłopiec jednak nie bardzo chciał się uczyć, wolał paść kozy, i bardzo lubił chodzić po lesie. To byłoby i wszystko. Lata biegły i Janeczek wyrósł na dorodnego młodzieńca.

Pewnego razu, jak zwykle, zapędził kozy do lasu, zresztą mniejsza o to, dokąd, tak że nawet na obiad nie wrócił do domu. A kozy, jak to kozy, łąziły i szukały sobie czegoś smacznego do poskubania, bo - jak wiecie - te wybredne stworzonka byle czego nie jedzą. Janeczek zrobił sobie tymczasem z gałązek ogródek, nasadził w nim kwiatków, nanosił w czapce wody i troskliwie je popodlewał. Wtem przyszło mu do głowy, czyby nie poszukać w lesie czarodziejskiego kwiatu, o którym coś niecoś słyszał. Wierście, że takie rzeczy się zdarzają! I tak, kozy poszły za kozami, a on powędrował głęboko w las. Patrzy, a tu jakiś szary ptaszek frunie z zagajnika ku niemu, jakby chciał coś powiedzieć. To przyfrunie, to znów nieco odleci, jakby chciał Janeczka gdzieś zaprowadzić. Coś dziwnego! Czego mógł chcieć ten ptaszek? No cóż, Janeczek poszedł za nim, i tak doszedł do miejsca, w którym natrafił na jakiś otwór. Czyżby to była jakaś pieczara? Nie wiadomo, co by to mogło być! Janeczek rozglądnął się, a tu ani drogi, ani ścieżki.

Nie wiedząc, co dalej, zaczął się zżymać:

- Do licha z tą ptasią gawiedzią! Teraz już w ogóle nie wiem, gdzie jestem!

W tym momencie furknął mu ptaszek nieomal przed samym nosem, z gałązką w dzióbku. Tę gałązkę rzucił Janeczkowi prosto pod nogi, a potem pofrunął do szczeliny w skale, tam siadł, no i siedzi. A przy tym świergoce tak jakoś osobiwie.

Nasz miły Janeczek zrozumiał radę ptaszka, wziął gałązkę i uderzył nią trzy razy w skałę, i skała natychmiast rozwarła się. Chwilę patrzył zdumiony, co to się dzieje, ale potem zebrał się na odwagę i wszedł do środka, bowiem tacy jak on chłopcy zawsze wszystko chcą wybadać. Z początku nic nie widział, bo nagle zrobiło się ciemno, poczuł tylko, że znalazł się w jakimś nieznanym miejscu. Za chwilę zrobiło się znów jasno i wtedy zobaczył wokoło pełno wspaniałych kwiatów, takich, jakich jeszcze nie widział nigdy w życiu. Wśród tych kwiatów uwijało się mnóstwo małych ludzików, a ani jeden nie był większy niż półlitrowy dzbanek. Roilo się tam niczym w mrowisku, wszyscy uwijali się zajęci jakąś robotą. Janeczek patrzył na to z zapartym tchem, aż oczy wyszły mu na wierzch ze zdziwienia.

W oddali stał szklany zamek, a tak błyszczał i lśnił, że od blasku kłuło w oczy. Wszystko to trwało już sporą chwilę, gdy wtem zjawiała się przed nim dziewczyna, jakby wyrosła spod ziemi. Głowę miała całą w złocie. Spytała Janeczka:

- Czego tu szukasz u nas?

Zdziwił się jeszcze bardziej i dopiero po chwili odpowiedział:

- No, cóż, szukam szczęścia - bo po prostu taka właśnie myśl wpadła mi do głowy.

- W takim razie chodź ze mną, to coś dostaniesz. Mamy tam coś dla ciebie

- powiedziała dziewczyna. Potem poprowadziła go za rękę, i gdy tak razem szli, Janeczek spytał:

- Jak się nazywasz?

- Nazywają mnie Celinka. Mam jeszcze dwie siostry, a ja jestem tą, która przywraca zdrowie.

- Czyżbyście tu byli chorzy? - zdziwił się Janeczek.
- Skądże! Czegoś takiego nawet nie znamy. My tylko pomagamy tym, o, tam, w górze.
- Jak to jest możliwe?
- Nie troszcz się o to! Masz tu małe ziarenko. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, wtedy upuść je na ziemię, a zjawię się natychmiast. Radzę ci tylko, dobrze go strzeż! - To rzekłszy dała mu ziarenko wielkości migdała.

Po jakimś czasie, idąc tak razem, przyszli do drugiego ogrodu. I tutaj było mnóstwo kwiatów, ale jeszcze piękniejszych niż poprzednio. W tym tu ogrodzie rządziła starsza siostra Celinki, której na imię było Milenka. Ta z kolei przywracała wzrok. W swoim ogrodzie tak się krzątała, że było jej wszędzie pełno: fruwała na szklanej gałązce i rozsypywała wokół perły. A błyszcząły tak, że wyglądały jak ogniste iskierki, jakby kto gwiazdy porzrzucał. Leżało ich w tym ogrodzie tak dużo, że można by je zbierać koszami. Janeczkowi bardzo się te perły spodobały. „Ach, gdyby tak dała mi jedną na pamiątkę”. No, i Milenka rzuciła mu jedną perłę. Gdy już ją miał w ręku, rzekła:

- Tylko uważaj, dobrze jej strzeż! Gdybyś mnie kiedyś potrzebował, upuść ją na ziemię, a natychmiast się zjawię.

Teraz również Milenka poszła z nimi. Niebawem doleciały ich śmiechy i śpiewy.

- Co to takiego? Słyszę śpiew! - odezwał się Janeczek.
- Idziemy do naszej najstarszej siostry. Nazywa się Lilianka i jest panią skarbów.

Gdy znaleźli się już na miejscu, zaczął rozglądać się dokoła, bo był ciekaw tych skarbów. Lilianka tymczasem zerwała rozkwitłą różę, dała mu ją i powiedziała:

- Weź ją i schowaj do kieszeni. Tę różę daruję ci na pamiątkę.

Ledwo schował kwiat do kieszeni, a tu coś mu brzękło. Zaraz też kieszeń zrobiła się tak ciężka, że musiał ją podtrzymywać.

Dziewczęta oprowadzały go jeszcze tu i tam, ale nagle opadła go ogromna tęsknota za rodzinnymi stronami. Spadła na niego jak z jasnego nieba, i już nie pragnął niczego więcej, jak tylko znaleźć się znowu w domu.

- Pewno ci się tu nie podoba? - spytały wszystkie trzy naraz.
- Tego bym nie powiedział - odparł - ale chętnie byłbym już w domu.
- No, nie będziemy cię zatrzymywać. Wracaj! Ale strzeż pilnie tych rzeczy, któreśmy ci dały!

Nagle zrobiło się ciemno wokół, Janeczek nawet nie spostrzegł, jak to się stało, i w tymże momencie znalazł się u wyjścia z pieczary, przy owej skale. W następnej chwili już był na zewnątrz pieczary. Szary ptaszek czekał tam na niego, zerwał się i pofrunął przed nim, wskazując drogę z powrotem. Janeczek rażno pobiegł za nim i wkrótce stanął u progu swego domu. Był pewny, że ojciec bardzo się ucieszy, gdy mu wysypie pieniądze. Patrzy, a tu drzwi zamknięte. Nie ma węglarza. Także kozy znikły. Może ojciec poszedł szukać syna w lesie?

Janeczek był rad, że znowu jest w zwyczajnym świecie, i w domu. Dom jednak, gdy go sobie obejrzał, wydał mu się bardzo ubogi i pusty. „Co mnie czeka?” - zadumał się. - „Żyć w biedzie aż do śmierci?” Wtedy postanowił:

„Ach, co mi tam, idę w świat!”

Szczerze mówiąc, nie możemy wziąć mu tego za złe. Janeczek zawiązał sobie pieniądze w węzełek i ruszył w świat. A jak przystało na wędrowniczka - z kijem w ręce.

Wędrował i wędrował, od jednego miasta do drugiego. Wszędzie zatrzymywał się nieco, aby posłuchać różnych nowinek. Tak zaszedł do stolicy, gdzie mieszkał król. Wszystko okryte tu było czarnym całunem, wokoło żałoba, jak przed wielkim pogrzebem. Zapytał pierwszego z brzegu człowieka, którego spotkał, co się tu dzieje. Wtedy ten mu opowiedział:

- No, cóż, mamy ciężką żałobę. Królowa jest bardzo chora i nie ma takiego lekarza, który by jej mógł pomóc. Biedaczka, pewno już długo nie pożyje.

Janeczek usłyszawszy to, pomyślał: „Może bym zgłosił się do króla? Może pomogłoby to ziarenko?” Zastanawiał się chwilę, ale potem zdobył się na odwagę i skierował się ku zamkowym schodom. Tam przedstawił się jako lekarz z Indii. Straż wpuściła go, i tak znalazł się w zamku. Tam zawiedli go przed króla.

- Ach, mój kochany, złoty młodzieńcze, sam już nie wiem, co robić. Takich jak ty, było tu już z pięćdziesięciu. Wątpię, czy coś zdziałasz. Ale skoro przybywasz z tak dalekich stron, spróbuj. Jeśli ją uzdrowisz, nie żał mi będzie nawet połowy królestwa.

Janeczka wprowadzono do komnaty, gdzie leżała królowa. Ach, ludzie, co to był za smutny widok! Gorzej już być nie mogło, wyglądała jak samo cierpienie. Janeczek poprosił wszystkich, aby opuścili komnatę i nie przeszkadzali.

Gdy już został sam z królową, upuścił na ziemię ziarenko. Ledwo spadło, zjawiła się przed nim owa złota dziewczyna, Celinka, i pyta cichutko:

- Czemu mnie wołasz?

- Jeśli możesz, uzdrów królowę! - poprosił.

Celinka podeszła do łoża, wzięła królowę za rękę, uściśnęła trzy razy i pocałowała tak leciutko, jakby musnęła kwiatek. Zanim Janeczek się obejrzał, już jej nie było. Królowa poruszyła się i spróbowała wstać. Poczuli się tak lekko, że chciała wyjść z łóżka. Tylko czyniła to tak, jakby niczego wokół siebie nie poznawała, tak, jakby była niewidoma. Wtedy Janeczek szybko wyciągnął perłę, upuścił ją na podłogę, brzdęk - i natychmiast stanęła przed nim Milenka, ta druga z sióstr, i spytała tak samo cichutko: - Czemu mnie wołasz?

- Królowa jest już wprawdzie zdrowa, ale przez chorobę straciła wzrok.

Mogłabyś jej pomóc? - prosił.

Milenka podeszła do królowy, zwilżyła palec śliną i potarła nią trzy razy skronie i oczy niewidomej, trzykroć tu, i tam. Zanim się spostrzegł, Milenki już nie było, i nie zdążył jej podziękować.

Królowa natychmiast otwarła oczy. Patrzy, a tu przed nią stoi prześliczny młodzieniec, Janeczek. Z radości nie mogła nawet słowa wydobyć. Ale i po co tu słowa! Wieść o

uzdrowieniu natychmiast obiegnę cały zamek. Wszyscy biegali tam i z powrotem, było dużo zamieszania i radości, ale najbardziej cieszył się król. Gdy się już nieco uspokoił, rzekł:  
- Na całym świecie nie ma takiej rzeczy, której bym ci odmówił, bowiem to, coś uczynił, jest więcej warte, niż całe królestwo!

Wziął ich oboje za ręce, złączył je i dodał:

- Kochane dzieci, życie w szczęściu aż do samej śmierci!

I tak wszystko skończyło się, że lepiej nie mogło. Odbędzie się wesele, jakiego jeszcze nikt nie widział i nie ujrzy, a trwało cały miesiąc. Gdy zaś się skończyło, wzięli do siebie starego węglarza i żyli potem szczęśliwie bardzo długie lata.

czeska

## Słoneczny koń

Był raz kraj, smutny jak cmentarz i ciemny jak noc, bo w tym kraju nigdy nie świeciło słońce. Ludzie byliby całkiem zdani na łaskę i niełaskę sów i nietoperzy, gdyby król nie miał konia ze słońcem na czole. Od tego słońca promieniał dokoła jasny blask, dlatego też oprowadzali owego konia po całym kraju.

Nagle koń znikł i w całym kraju zapanowały głębokie ciemności. Nastąpiła straszliwa bieda i nawet sam król bardzo martwił się, co to będzie z jego krajem. Zebrał więc swoją armię i ruszył na poszukiwanie konia.

Po wielu trudach dotarł aż do granic swego kraju, ale konia nigdzie nie było. Szedł więc dalej, i tak przyszedł do jakiejś zapadłej, samotnej chatki. W tej chatce zastał siedzącego przy stole człowieka, który czytał w otwartej przed sobą wielkiej księdze. Człowiek ów ujrzawszy króla podniósł się i rzekł:

- Właśnie czytam o tobie. Szukasz Słonecznego Konia. Ale daremny twój trud, nigdzie go nie znajdziesz. Zdać się lepiej na mnie, jestem Mądry, więc pomogę ci odzyskać zgubę. Daj mi tylko jednego sługę, którego sam sobie wybiorę, ty zaś wracaj do domu. Nie może kraj twój zostać w tych ciemnościach bez króla.

Król odparł na to: - Otrzymaś za to sowitą nagrodę, jeśli tego dokonasz, uratujesz bowiem mnie i moich poddanych od zagłady. - To rzekłszy udał się ze swoją armią w drogę powrotną, zaś z Mądrym został sługa, którego ten sobie wybrał. Owemu słudze wskazał jakieś miejsce w kacie, a sam usiadł przy stole przed swoją księgą. Skoro świt, byli już obaj w drodze. Szli

długo, bardzo długo, przemierzyli sześć krajów zatrzymując się dopiero w siódmym, i to przed samym królewskim zamkiem. Rządzili tutaj trzej bracia, synowie czarownicy, którym matka wyszukała trzy siostry za żony. Mądry rozkazał słudze ukryć się za skałą, sam przemienił się w zielonego ptaszka i pofrunął ku oknu najstarszej siostry. Tak długo pukał i trzepotał, aż mu otworzyła. Lubiła ptaszki, pogłaskała go i tak mówiła: - Ach, ptaszku, jakiś ty piękny! Gdyby mój mąż był w domu, bardzo by się tobą ucieszył, ale on wraca dopiero wieczorem. Musi doglądać jednej trzeciej królestwa.

Mądry już wiedział, co chciał wiedzieć. Wtem wpadła czarownica i chciała ptaszka udusić. Już sięgała po niego swoimi długimi, szponiastymi palcami, ale ptaszek zamienił się szybko w człowieka i, zanim się obejrzała, już go nie było. Potem znowu zamienił się w zielonego ptaszka i pofrunął do okna drugiej siostry. Pukał tak długo, aż mu otworzyła. Ona też lubiła ptaszki, pogłaskała go i tak mówiła: - Ach, ptaszku, jakiś ty piękny! Gdyby mój mąż był w domu, bardzo by się tobą ucieszył, ale on wraca dopiero jutro wieczorem. Musi doglądać dwóch trzecich królestwa.

Mądrym nie trzeba było więcej. Także i tym razem wpadła zniecierpliwiona czarownica, żeby go udusić. Już sięgała po niego swoimi długimi, szponiastymi palcami, ale ptaszek szybko przemienił się w człowieka i, zanim się obejrzała, był już za drzwiami.

Mądry zamienił się jeszcze raz w zielonego ptaszka i pofrunął ku oknu trzeciej, najmłodszej siostry. Długo pukał, zanim mu wreszcie otworzyła. Ta trzecia jeszcze bardziej lubiła ptaszki, pogłaskała go i tak mówiła: - Ach, ptaszku, jakiś ty piękny! Gdyby mój mąż był w domu, bardzo by się tobą ucieszył, ale on wraca dopiero pojutrze, bo musi doglądać trzech części królestwa. Mądry wiedział teraz już wszystko, co chciał wiedzieć. Ale o mało co byłoby się tym razem źle skończyło. Starucha wpadła jak szalona, żeby go złapać. Szybko przemienił się w człowieka i znikł, czarownica zdołała go jednak rozpoznać. Pobiegł do swego sługi i przykazał mu zakupić na trzy dni żywności. Sam zaś uciekł co tchu z miasta i ukrył się w górach, bowiem wiedział, że starucha nie będzie żartować. Sługa gnał z całych sił za swoim panem i, dopędziwszy go w górach, powiedział, że tam, w mieście, zaczęła się już oblawa za zbiegiem. Potem ruszyli dalej w drogę, aż doszli do mostu, przez który musieli wracać synowie czarownicy, jeśli chcieli dostać się do domu. Mądry położył kłodę w poprzek mostu, po czym obaj ukryli się. Pod wieczór usłyszeli tętent konia. To wracał najstarszy król. Na moście potknął się jego koń o kłodę.

- Co za nicpoń zwał mi tę kłodę na drodze?! - krzyknął.

- Ja ją zwałem! Jakim prawem nazywasz mnie nicponiem? - odparł Mądry i wyskoczył spod mostu.

- Zapłacisz mi za to głową! - i król wyciągnął miecz. Wtedy Mądry dobył swego miecza i zaczęli się bić. Mądry wygrał - król padł. Martwego przywiązał do konia i puścił go wolno, aby zaniósł zwłoki swego pana do domu. Sam zaś wrócił do swego sługi pod most i tam czekali dalej.

Teraz nadjechał drugi król. Także i jego koń potknął się o ową kłodę.

- Hej, co za nicpoń zwał mi tę kłodę tu na drodze?!

- Ja ją zwałem! Dlaczego nazywasz mnie nicponiem? - krzyknął Mądry i wyskoczył spod mostu.



- Za to, i za przelaną tu krew zapłacisz mi głową! - i król wyciągnął miecz.

Wtedy Mądry dobył również swego miecza i zaczęli się bić. Także i ten król został pokonany. Martwego przywiązał Mądry do konia, potem trzepnął go i pchnął na drogę ku miastu. Sam zaś ukrył się znów pod mostem, gdzie czekali do następnego wieczora.

Trzeciego wieczoru wracał najmłodszy król. Ten jechał na Słonecznym Koniu. Koń jednak nie potknął się o kłodę. Król spostrzegł, że na moście czerwieni się od krwi.

- Hej! - zawołał. - Co za łotr to zrobił? Czyja to krew?

- Ja to zrobiłem, a to jest krew twoich braci! - krzyknął Mądry i wyskoczył spod mostu z obnażonym mieczem. Zaczęli się bić.

Walczyli, i walczyli, aż połamały im się miecze, ale jeden drugiego nie zdołał pokonać. Wtedy Mądry rzekł:

- Mieczami teraz już niczego nie rozstrzygniemy. Wiesz co, zamieńmy się w koła od wozu i potoczmy się z góry w dół, jeden z tej góry, drugi z przeciwnej.

- Dobrze! - przystał król. - Ja będę ciężkim kołem od wozu, a ty będziesz sobie lekkim kółkiem.

- Ej, nie tak! To ty będziesz lekkim kółkiem, a ja tym ciężkim.

Król się zgodził. Weszli na przeciwległe pagórki i stoczyli się w dolinę.

Koło od wozu taką siłą trzasło w to lekkie kółko, że rozbiło je w kawałki.

Pierwszy wyskoczył Mądry i zawołał:

- Wygrałem! Pokonałem cię!

- Wolnego, braciszku! - rzekł król i stanął przed nim. - Nawet palca mi nie zwichnałeś! Wiesz co, zamieńmy się w płomienie i niech jeden drugiego spali; ja będę czerwonym płomieniem, ty - niebieskim.

- Ej, nie tak! - odparł Mądry. - Ty będziesz niebieskim, a ja czerwonym.

Król przystał na to.

Zamienili się w płomienie i jeden drugiego prażył długo i niemiłosiernie.

Nie mogli się jednak pokonać.

Gdy się tak zmagali, nadszedł ni stąd, ni zowąd stary żebrak.

- Ojczulku - rzekł błękitny płomień - przynieście wody i zalejcie czerwony płomień, dam wam za to grajcara!

Staruszek poszedł i już niesie wodę.

- Ojczulku, dam wam guldena, jeśli zalejcie błękitny płomień - rozległo się od strony czerwonego.

Żebrak tak właśnie zrobił, bo przecież gulden był więcej wart od grajcara. I już po królu!

Mądry złapał Słonecznego Konia, dosiadł go i, pięknie podziękowawszy staruszkowi, zawołał sługę i razem ruszyli w drogę. Wędrowali i wędrowali. Stara wiedźma nie dała jednak za wygraną. Chodziła z jarzącymi się ślepiami, niewiele robiąc sobie zresztą z lamentu trzech synowych, aż raz tupnęła nogą, potem wsiadła na pogrzebacz, wzięła wszystkie trzy synowe pod pachę i - hop! - frunęła w powietrze.

Tymczasem Mądry ze swym sługą wędrują, wędrują, przez nagie góry, przez dzikie pustkowia, bez jedzenia i picia, bowiem żywność dawno im się skończyła. Zwłaszcza sługę nękał dokuczliwy głód. Patrzą, a tu nagle ni stąd, ni zowąd, tam, gdzie dotąd nie rósł nawet najmniejszy owoc, stoi wspaniała jabłoń. Sługa poderwał się i pobiegł po kilka jabłek.

- Nie rwij! Nie rwij! - wołał za nim Mądry. - Z konia dosięgnę więcej jabłek! - przyskoczył do drzewa i rąbnął je mieczem. Trysnęła purpurowa krew i jabłoń się zwała.

- Widzisz?! - To samo stałoby się z tobą, gdybyś ugryzł choćby jeden tylko kęs jabłka - rzekł Mądry. - Ta jabłoń, to była najstarsza królowa, którą czarownica postawiła nam na drodze, żebyśmy się otruli tymi jabłkami. No, ale już po niej!

Nie uszli daleko i zobaczyli studnię, w której woda lśniła niczym kryształ.

- Ach! - westchnął sługa - napiłbym się wody, to oszukam głód.

- Poczekaj, sam zaczerpnę - rzekł Mądry. Dobył miecza i wsadził go aż po rękojeść do studni. Woda zaczerwieniła się od krwi.

- Popatrz! To samo stałoby się z tobą! To była druga królowa, którą czarownica postawiła nam na drodze, żeby nas otruci.

Szli dalej i nie trwało długo, gdy spostrzegli przed sobą cudny krzak róży. Sługa chciał powąchać przynajmniej i odetchnąć pięknym zapachem. Ale Mądry ściał szybko mieczem wszystkie róże i krew trysnęła wokół.

- Widzisz, to była najmłodsza królowa, ta miała nas otruci swoim zapachem.

No, ale udało się! Czarownica, choćby nawet miała pęknać od złości, teraz już na nic więcej się nie odważy!

- Dosyć już chyba wycierpieliśmy - rzekł sługa - ten koń słusznie nam się należy.

- Słusznie, albo i nie, to jeszcze nic pewnego - odparł Mądry.

- Co by się jeszcze mogło zdarzyć? - wątpił sługa.

Ledwo to wyrzekł, nagle zjawił się jakiś mały chłopiec z uzdą w ręce. Zanim się spostrzegli, był już przy nich, trzasnął ową uzdą Mądrego tak, że aż się przewrócił na ziemię, w oka mgnieniu skoczył na konia i odjechał.

- A widzisz, nie mówiłem ci, że to jeszcze nic pewnego?

- Rzeczywiście - rzekł sługa. - Ach, gdybym go dostał w swoje ręce! Może byśmy go dogonili! - nalegał.

Lecz Mądry tylko się uśmiechnął: - Daremny trud, nie dogonisz go nigdy! Dam ci lepszą radę: wracaj teraz z powrotem, jeszcze będziesz miał po drodze roboty po uszy. Na mnie już czas ruszyć za tym małym czarownikiem po słonecznego Konia.

I tak się rozstali. Mądry zawrócił i udał się za czarownikiem. Wkrótce dogonił go i zaczął iść za nim. Mały obejrzawszy się, zapytał: - Dobry człowieku, skąd idziesz

- Z dalekiego kraju - odpowiedział Mądry.

- A dokąd zmierzasz?

- Idę szukać roboty.

- Znasz się choćby trochę na koniach?
- Jakżebym się nie miał znać, sam miałem kiedyś konia!

Czarownik rad z tej odpowiedzi, przyjął go za koniarczyka. Gdy już znaleźli się w zamku czarownika, Mądry zaprowadził Słonecznego Konia do stajni odtąd dbał o niego tak, jak o swego własnego. Czarownik rozmyślał teraz już tylko nad tym, jak by tu, mając już Słonecznego Konia, zdobyć jeszcze piękną księżniczkę mieszkającą w zamku na morzu. A tak był zadufany w sobie, że choć sam był czarownikiem, wcale nie domyślał się, kim naprawdę jest jego koniarczyk. Powierzył mu z całym zaufaniem konia, i w ogóle wszystko. Pewnego razu przywołał go i rzekł: - Słuchaj, jesteś wprawdzie dobrym i mądrym parobkiem, ale jeśli nie zdobędziesz mi księżniczki z morskiego zamku, czeka cię śmierć!

A trzeba wam wiedzieć, że ten zamek był zbudowany na wysokiej topoli sięgającej aż do nieba, i w ogóle nie było do niego dostępu. Nie zwlekając zabrał się Mądry do przygotowań: wziął okręt, załadował na niego różnych kosztowności, przede wszystkim mnóstwo wstążek, wspaniałych tkanin i bogatych strojów, a co było najpiękniejsze, to powiesił na zewnątrz. Księżniczka spostrzegła okręt i posłała służącą, aby spytała, czy to wszystko jest na sprzedaż. - Naturalnie, na sprzedaż! Do wyboru i koloru! Niech księżniczka tylko przyjdzie, obejrzy sobie, i wybiera. Sprzedam tanio!

Księżniczka zeszła na statek, przebierała we wstążkach i tkaninach, a potem wybrała to, co jej przypadło do gustu. Nie zauważyła przy tym, że statek tymczasem szybko zaczął oddalać się od zamku. Dopiero, gdy już chciała odejść, spostrzegła, co się stało.

- Wiem już - rzekła - dokąd mnie wieziecie. Lecz jeśli jesteś dobrym człowiekiem, nie zostawiaj mnie tam zbyt długo, już lepiej - zawieź mnie do tego króla, dla którego trudziłeś się, żeby odzyskać Słonecznego Konia!
- Wierz mi - rzekł Mądry - zgadzam się z tobą, że tak byłoby najlepiej, ale chodzi o to, żebyś przedtem wykryła, w czym tkwi siła czarownika.

Teraz, w najlepszej już zgodzie dobili do brzegu. Czarownik czekał tam na nich, zacierał ręce i aż skakał z radości, gdy zobaczył księżniczkę pewny, że teraz jest już w jego mocy. Dziewczyna zaczęła wesoło trajkotać, tak długo szczebiotała niczym jaskółka kręcąc się koło niego, dopóki jej nie wyjawiał, że tam, za zamkiem, w górach, stoi wysokie drzewo; pod tym zaś drzewem, na łące, pasie się jeleni; w tym jeleniu jest kaczka, zaś w tej kaczce złote jajko. - A w tym jajku tkwi cała moja siła, bo to jest moje serce. Tylko nikomu o tym nie mów! Będzie nam dobrze tutaj, będziemy sobie jeździć na Słonecznym Koniu.

Księżniczka jednak nie zgodziła się dosiąść razem z nim konia. Gdy czarownik zasnął, pobiegła do Mądrego i wszystko mu opowiedziała. Poszedł w góry, zastrzelił jelenia, wyjął z niego kaczkę, z kaczki jajko, a to jajko wypił. Tak skończyła się moc czarownika, który teraz był już tylko małym, słabym dzieckiem. Jego moc posiadał Mądry. Nie zwlekając zabrał księżniczkę na Słonecznego Konia i razem udali się w drogę do króla. I tak dojechali do granic królestwa. Tu spotkali owego sługę, który nie mógł zdobyć się na to, żeby przekroczyć granicę

i wejść ze światła w to ciemne królestwo. Bał się też przynieść złe wiadomości. Bardzo rad przyłączył się więc do Mądrego i księżniczki.

A kiedy blask idący od Słonecznego Konia padł na kraj, wszystek lud wyszedł im naprzeciw. Sam król biegł jak na skrzydłach, nie wiedząc, co czynić najpierw: powitać odzyskanego konia, czy podziwiać piękną księżniczkę.

No, i wszystko skończyło się pomyślnie. Mądry nie tylko że oddał Słonecznego Konia, i odtąd już znowu było jasno, ale przyprowadził jeszcze piękną narzeczoną młodemu królowi. Powitań i radości było co niemiara. Ludzie obnosili Mądrego na rękach. Król ofiarował mu połowę królestwa. On jednak niczego nie chciał przyjąć.

- Wystarczy mi - rzekł - moja chatka i moja księga. Dzięki za wszystko, panujcie szczęśliwie!

Pożegnał się i poszedł.

słowacka

Ropucha

xxBył raz pewien bogaty gospodarz, miał wielką i piękną zagrodę - i dwóch synów. Gdy już się zestarzał, postanowił jednemu z synów przekazać majątek.

Wezwał więc ich i tak rzekł:

- Ten z was, który przyniesie od swej narzeczonej piękniejszy pierścień, otrzyma gospodarstwo.

Starszy bardzo się ucieszył, bowiem miał już narzeczoną, zadowolony zatem rażno udał się w drogę. Ale młodszy był smutny, bo nie miał narzeczonej. Poszedł do ogrodu, za szopę, i tam się rozplakał.

Patrzy, a tu skacze duża, gruba ropucha i pyta:

- Chłopcze, czego płaczesz?

- Jakże nie mam płakać - mówi - skoro ojciec ma piękne gospodarstwo i chce dać je temu z nas dwóch, który od swej narzeczonej przyniesie piękniejszy pierścień.

- Nie płacz - mówi na to ropucha - chodź ze mną!

Zaprowadziła chłopca do pieczary. Gdy znaleźli się w bogatej komnacie, wręczyła mu taki piękny pierścień, że całe wnętrze napełniło się blaskiem.

Chłopiec wziął dar i zaniósł do domu.

Ojciec rzekł do starszego syna:

- Synu, pokaż, coś przyniósł!

Syn rozwinął papier, a był w nim pierścień lichy i zardzewiały.

- A ty? - spytał młodszego syna.

On również pokazał swój pierścień. Lecz ten błyszczał tak, że w całej izbie zrobiło się jasno.

Ale ojciec nie był jeszcze zadowolony i zażądał:

- Kto przyniesie od swej narzeczonej piękniejszą jedwabną chustkę, ten otrzyma gospodarstwo.xy

xxStarszy wybiegł zadowolony, ale młodszy znów płakał w ogrodzie za szopą.

I znowu zjawiała się duża, gruba ropucha i spytała:

- Dlaczego płaczesz?

- Jak nie mam płakać - odparł chłopiec - ojciec ma duże piękne gospodarstwo i chce je dać temu, kto przyniesie od swej narzeczonej piękniejszą jedwabną chustkę.

- Nie płacz - rzekła ropucha - chodź ze mną!

I znów zaprowadziła go do pieczary. Tam dała mu jedwabną, lśniąca chustkę. Chłopiec wziął ją i zaniósł do domu.

Ojciec pyta:

- Starszy synu, pokaż, co masz!

Ale ten miał tylko brudną szmatkę.

- Młodszy synu, a ty?

Drugi syn pokazał jedwabną chustkę, pięknie lśniąca.

Ale i to nie wystarczyło ojcu, więc rzekł:

- Kto z was przyprowadzi piękniejszą narzeczoną, ten otrzyma gospodarstwo.

Starszy wybiegł uradowany, ale młodszy znowu płakał w ogrodzie za szopą.

I tym razem przyszła ropucha i zapytała:

- Chłopcze, dlaczego płaczesz?

- Jak nie mam płakać - odparł - ojciec ma duże gospodarstwo i ten z nas je dostanie, kto przyprowadzi piękniejszą narzeczoną.

- Nie płacz - rzekła ropucha - chodź ze mną!

I znów zaprowadziła go do pieczary. Była tam dziewczyna cudnej urody. Ropucha zaczęła ją ubierać. Przyodziła ją we wspaniałe jedwabne szaty, ale na wierzch nałożyła jej zwykłą codzienną sukienkę.

Także starszy brat przyprowadził narzeczoną. Ta miała na sobie wspaniałą, bogaty strój.

- Synu, zatańcz z narzeczoną! - rzekł ojciec do starszego syna.

Gdy zaczęli tańczyć, rozluźniły się zapięcia u jej sukni, i cały piękny strój spadł z niej. Została tylko w brudnej odzieży.

Potem zwrócił się ojciec do młodszego:

- Teraz ty zatańcz ze swoją narzeczoną!

Młodzieniec ruszył dziewczyną w tany, a tańczył tak, że zapięcia u jej sukienki rozluźniły się jedno po drugim. Gdy skromna odzież spadła, ukazała się wspaniała jedwabna suknia.

Ojciec zdumiał się, a potem rzekł do młodszego:

- Dostałeś od narzeczonej piękniejszą pierścionkę, przyniosłeś piękniejszą chustkę, przywiodłeś urodziwszą narzeczoną. Ty otrzymasz gospodarstwo.

Starszy brat rozgniewał się i zawołał:

- Nie, niech los rozstrzygnie!

Ale ojciec nie zgodził się na to i zdecydował stanowczo:

- Nie trzeba! Twój młodszy brat wygrał, on dostanie majątek.

łuzicka

O biedzie

Było raz dwu sąsiadów, jeden nazywał się Kukielka, a drugi Kukieleczka. Kukielka był bardzo bogaty, a Kukieleczka bardzo biedny. Mieszkała u niego na piecu Bieda, podobna do sowy i co tylko chłop zarobił, to mu zjadała, albo odnosiła bogaczowi. Zgniewał się Kukieleczka, bo tak Bieda wypróżniła mu kąty, że nie było w domu ani kawałka chleba, zabrał z sobą żonę, strug i kawał deski, i wynieśli się do lasu.

Gdy to Bieda spostrzegła, woła za nimi:

- Hej, a dokąd idziecie?

- A, dosyć mamy biedy, idziemy do lasu.

Bieda roześmiała się i powiada, że jeszcze przed nimi tam będzie.

Gdy doszli do rzeczki, położyli w poprzek niej deskę, przeszli przez wodę, potem deskę zabrali, ale obejrzeni się, widzą, że Bieda goni za nimi, a niesie na plecach kłodę drzewa.

Dobiegła do brzegu, przerzuciła kłodę, przepawiła się po niej przez wodę, a za chwilę była przy nich w lesie.

Patrzy Bieda, Kukiełeczka ciosa drewniane klinki. Zapytała:

- Po co robisz te klinki?

Kukiełeczka na to:

- Widzisz tę wypróchniałą jodłę? Schowam się przed tobą do dziupli, a otwór zabiję klinkami, bo mi życie przy tobie zbrzydło.

Bieda w śmiech:

- Ha, ha, toć ja pierw do jodły wskoczę i tam na ciebie będę czekać.

I jednym susem wskoczyła do dziupli. Kukiełeczka czym prędzej złapała deskę, zatkał otwór i zabił klinkami. Potem wrócili z żoną do domu, a Biedę zostawili w dziupli. Już zaraz po drodze im się poszczęściło, bo znaleźli worek z pieniędzmi i odtąd wszystkiego mieli dość i byli bogaci.

Ale Kukiełeczka co jakiś czas chodził do lasu, oglądał dziuplę i pobijał klinki, aby Bieda nie wyszła. Podpatrzył to Kukiełka, pomyślał, że sąsiad w spróchniałej jodle trzyma schowany skarb. Poszedł, wybił kliny. Bieda wyskoczyła z dziupli i przeniosła się na stałe do Kukiełki. Teraz Kukiełeczka był bogaty, a Kukiełka zbiedniał.

polska

Łabędzianka

W pewnym kraju, koło Smoleńska, albo gdzieś w tamtych stronach, był mały lasek a dalej, w rozległej dolinie rozpościerały się wielkie, pańskie bory.

Mieszkał w nich myśliwy ze swoją żoną i synem, który mógł mieć jakieś osiem czy dziesięć lat. Nikt do nich nie zaglądał, bo mieszkali daleko na uboczu. Po przeciwległej stronie było duże jezioro. Woda z tego jeziora przywracała zdrowie, więc ludzie chętnie po nią przychodzili.

Pewnego razu myśliwy zachorował. Pomyślał o owej wodzie i zapragnął jej się napić. Był już późny wieczór, i jak tu posłać kogoś w taką ćmę do jeziora? Żonie pójść nie pozwolił, bał się również o syna. Chłopiec jednak był odważny, więc powiedział:

- Tato, ja pójdę!

Zabrał dzban i pobiegł do jeziora.

Przyszedłszy na brzeg, schylił się, żeby nabrać wody. Wtem coś zaszeleściło mu pod stopami. Podniósł to, i w świetle księżycy zobaczył, że trzyma w ręce jedwabną sukienkę, złotą koronę, złote buciki i złoty pasek. Zabrał to wszystko, zaczerpnął wody, i już miał wracać do domu, gdy wtem wyskoczyło coś z jeziora. Patrzy, i widzi dwa łabędzie, które zaczęły latać nad nim i klekotać. Przestraszył się i szybko pobiegł do domu.

Tutaj oddał matce znalezione rzeczy:

- Popatrz, mamó, co za kosztowności! Czyje one mogą być? Leżały na brzegu, więc je wziąłem.

Gdy tak rozmawiali, zapukało coś do okna. Podeszli ze światłem i zobaczyli dwa wielkie łabędzie, które dobijały się do nich dziobami. Usłyszeli także płacz dziecka. Wybiegli na dwór, a tu stoi para łabędzi i mała dziewczynka, tak około sześciu, siedmiu lat. Zaczęli ją wypytywać, żeby się czegoś dowiedzieć, ona jednak jakby nie umiała im odpowiedzieć. Objęła tylko oba łabędzie za szyje, całowała je i tuliła się do nich. Potem łabędzie odleciały, a dziewczynka została. Zabrali ją więc do siebie, do domu. Była prawie naga, w samej tylko koszulinie, i wciąż jeszcze płakała. Wypytywali ją, kim jest i skąd, ale nie usłyszeli odpowiedzi. Wreszcie coś powiedziała, ale nie potrafili jej zrozumieć. W końcu gospodyni zaprowadziła dziewczynkę do łóżka.

Zaraz nazajutrz udała się do miasta z wiadomością, że znalazła się jakaś dziewczynka, być może, bogatego, pańskiego rodu. Niestety, nie rozumieją, co ona mówi, widać, pochodzi z jakiegoś dalekiego kraju, może z Japonii, a może z Chin, lub jeszcze skądinąd. Dano ogłoszenie do gazet, nawet do zagranicznych, lecz nikt się nie zgłosił. I tak dziewczynka została u nich. Dali jej imię Łabędzianka, to znaczy łabędzia dziewczynka, bo pochodziła od łabędzi. Synowi ich było na imię Karliczek.

Dzieci chodziły razem do szkoły. Dziewczynka nauczyła się ich mowy, ale i Karliczek poznał mowę Łabędzianki.

Tymczasem myśliwy wciąż jeszcze chorował. Zastępował go w pracy parobek. Dziwił się, że Łabędzianka często przynosi do domu złote bransolety, kolczyki, lub inne kosztowności ze złota.

Pewnego dnia Karliczek i Łabędzianka wracając ze szkoły usłyszeli strzał.

Dziewczynka poderwała się:

- Karliczku, pewnie nasz parobek ustrzelił jakąś dziczyznę na obiad!

Pobiegli nad jezioro, a tam parobek właśnie oglądał martwego łabędzia, i szukał, czy nie ma czego na głowie, na skrzydłach, w piórach, czy nie znajdzie może jakichś kosztowności. Zobaczywszy dzieci, zostawił łabędzia i uciekł. Łabędzianka podbiegła i zaczęła rzewnie płakać:

- Mamó, mamó, moja kochana mamó!

Płakała bez końca. Rodzice zabrali dziewczynkę i Karliczka do domu i płakali razem z nią, bo pamiętali, że to łabędzie przyprowadziły ją do nich; nie mieli wątpliwości, że zabity łabędź to była jej matka.



Następnego dnia gospodyni poszła znowu do miasta, żeby załatwić pogrzeb, piękny pogrzeb, bo ten łabędź to była z pewnością królowa. Ale ksiądz powiedział, że to niemożliwe. Obojętnie, kim ten łabędź był naprawdę, tu jednak znalazł się jako łabędź i kościelnego pogrzebu nie można mu sprawić. Zrobili więc zwykłą trumnę, wykopali koło domu grób i pochowali tam łabędzia. Na grobie postawili krzyż, a Łabędzianka nazbierała w lesie kwiatów, oplótła nimi mogiłę i obficie zlała ją łzami.

Czas mijał, i gdy dziewczynka miała już dwanaście lat, nadeszła pora przystąpić do komunii. Dostała na tę okazję piękną sukienkę. A gdy się w nią ubrała, gospodyni przypomniała sobie o kosztownościach, które Karliczek kiedyś znalazł nad jeziorem. Przyniosła je ze strychu, gdzie były schowane, i pokazała je Łabędziance.

- Ależ to wszystko jest moje! - zawołała.

Matka przybrała ją w te kosztowności. Aż uciecha była popatrzeć, jak ładnie wygląda. Lecz gdy matka przewiązała ją paskiem, dziewczynka zamieniła się w łabędzia, zakrakotała i wyfrunęła przez okno. Okrążyła jeszcze raz zagrodę i tylko zaklekotała, bowiem jako łabędź nie mogła już mówić. Potem odleciała w swoje rodzinne strony.

A Karliczek? Cóż miał teraz robić? Nie potrafił już żyć bez Łabędzianki, był bardzo nieszczęśliwy i chciał pójść jej szukać. Rodzice nie wiedzieli już w końcu, co z nim począć. Matka miała brata, który był sztygarem w kopalni. Posłali zatem Karliczka do niego na naukę, żeby wyuczył się za górnika. Może wtedy zapomni o swoim smutku. Był teraz u wuja i został górnikiem, a po trzech latach nauki sztygarem. Jako sztygar miał więcej czasu, mógł też więcej podróżować i poznawać świat. Stale jednak myślał o Łabędziance.

Pewnego dnia, gdy szedł przez wieś, zobaczył przed gospodą trzy wielbłądy. Głowy miały przystrojone wstążkami, a do grzbietów przytroczone siodła. Podszedł bliżej, żeby im się przyjrzeć. Ludzie, którzy przyszli z tymi wielbłądami, opowiadali coś żywo, stojący wokół nich ludzie jednak nic z tego nie rozumieli. Tylko Karliczek zrozumiał, o czym mówią. Byli to posłowie cesarza, ojca Łabędzianki. Opowiadali, że cesarz stracił żonę i córkę, że obie zaginęły. Dlatego też rozesłał posłów na wszystkie strony, aby je odnaleźli, lub przynajmniej dowiedzieli się czegoś o nich. Jakaż była radość przybyszy, że Karliczek rozumie ich mowę. Opowiedział im, że córka ich cesarza spędziła u nich cztery lata, lecz potem odfrunęła jako łabędź i teraz z pewnością będzie już w domu. Na koniec prosił ich, żeby zabrali go z sobą, bo bardzo chciałby zobaczyć się z Łabędzianką. Posłowie oczywiście zgodzili się bez wahania, zostawili sporo pieniędzy jego rodzicom, posadzili go na wielbłąda i ruszyli w drogę.

Jechali wiele tygodni, aż dojechali do Pekinu w Chinach, czy gdzie on tam leży. Poszli prosto do cesarza i powiedzieli mu, że to jest ten chłopiec, u którego była Łabędzianka. Bowiem Karliczek nie znał nawet jej prawdziwego imienia, mówił na nią po swojemu: Łabędzianka. U boku cesarza stali dwaj słudzy. Trzymali w ręku pawie pióra i oganiali go przed muchami i przed kurzem. Jeden z nich tak się zasluchał, że przez nieuwagę musnął cesarza piórkiem. Nieszczęścia wprawdzie nie było, pawie pióro jest przecież mięciutkie, no, ale cesarz - to cesarz, tu trzeba uważać! Władca wpadł w gniew i wydał rozkaz, żeby słudze natychmiast odcięto rękę. Potem jego gniew skierował się ku Karliczkowi:

- Ciebie też ukarzę! Każę cię zamknąć za to, żeś tak długo trzymał moją córkę!

Teraz jednak Karliczek rozgniewał się i zawołał:

- Co?! Chcesz mnie ukarać za to, że moi rodzice tak troszczyli się o Łabędziankę! Zasłużyłem raczej na nagrodę!
- Nno, tak, masz rację. Powiedz, czego żądasz, a spełnię twą prośbę.
- W nagrodę daj mi tego sługę, nie chcę niczego więcej.
- Weź go sobie!

Karliczek poszedł, i zabrał sługę ze sobą. A sługa ów mieszkał na przedmieściu. Obok jego chatki stała budowla, w której palono zwłoki. Karliczek zamieszkał razem z tym sługą w jego chatce. Łabędzianka tymczasem wyszła za męża. Lecz ani Karliczek nic o niej nie wiedział, ani ona nie miała żadnych wieści o nim. Pewnego dnia jej mąż udał się na polowanie. Tam dopadł go dziki zwierz i rozszarpał na śmierć. W tym kraju panował zwyczaj, że jeśli zmarł mąż, to żonę palono żywcem razem z jego zwłokami, jeśli żona - wtedy palono również męża. Tak więc i Łabędzianka miała być spalona.

Sługa dowiedziawszy się o tym, rzekł do Karliczka:

- Wiesz co, spróbujmy ją uratować!
- Dobrze, ale jak?
- No - mówi sługa - jeśli wykopimy tunel, od mojej chaty do tej budowli, gdzie palą zwłoki, sprawa musi się udać.

Karliczek okazał się tutaj mistrzem:

- Znam się na tym, jestem górnikiem. Kopimy tunel!

Zabrali się do kopania podziemnego przejścia, od chaty aż do tamtej budowli, górą zostawiając akurat tyle ziemi, żeby się nie zarwało pod tym paleniskiem. Potem już tylko czekali na dzień, w którym Łabędziankę miano spalić. Całe miasto okryło się żałobą, gdy wiadomość o miejscu spalenia.

Gdy kondukt przechodził już koło ich chaty, Karliczek otworzył górne okienko i krzyknął: „Łabędzianko!” Poznała go natychmiast. On tymczasem pędem pobiegł po schodach w dół, a potem tunelem, aż do miejsca ciepłopalenia. A tam, u góry, na zewnątrz, już odbywał się obrzędowy ceremoniał; brama się otworzyła, wepchnięto Łabędziankę i podpalamo ogień. W tym momencie Karliczek uderzył motyką w górny pułap, tunel się zarwał, a Łabędzianka spadła szczęśliwie w dół.

- Wspaniale! Jesteś cała! Uratowana!

Puścili się pędem przez tunel i szybko wydostali się na zewnątrz. Cesarz pogrążony w żalości wrócił do domu. Całe miasto dzieliło z nim żałobę. A Karliczek i Łabędzianka byli bardzo szczęśliwi, że znowu są razem. Chłopiec jednak obawiał się, że cesarz może się o tym wszystkim dowiedzieć. Za taki czyn groziła kara. Zastanawiał się, czyby nie spróbować dostać się do domu przez morze. Wreszcie zwierzyli się słudze z tego zamiaru. Ten zabrał się zaraz do przygotowań: postarał się o wielbłądy i załadował na nie wszystko potrzebne do drogi. Potem zaprowadził ich aż do morza. A że nie mieli okrętu, znalazł wąski bród i przeprowadził

ich. Gdy już znaleźli się po drugiej stronie morza, wesoło ruszyli w rodzinne strony. A gdy przybyli do domu, zapanowała wielka radość.

Wkrótce odbyło się uroczyste wesele, i tak zostali mężem i żoną, i żyło im się cudownie.

Ojciec oddał swoje rewiry Karliczkowi i młodzi chodzili sobie często do lasu na spacer.

Stary cesarz w Chinach żył dalej w głębokiej żałobie.

- Żebym miał choć przyjaciela - mówił. - Ale nie mam na całym świecie nikogo! Co mi po tych wszystkich bogactwach! Gdyby mi ktoś powiedział, że choć jedno z moich dzieci żyje, oddałbym mu za to pół królestwa i tyle złota, ile by tylko uniósł.

Usłyszał to sługa i zaczął rozważać w duchu: „Jeśli mu powiem prawdę, być może, każe mnie uwięzić, i wtedy wszystko na nic”. Widząc jednak, że cesarz nie ustaje w żałości, poszedł do niego i poprosił, żeby raczył go wysłuchać, bowiem przynosi ważną wiadomość. Przedtem jednak spytał cesarza, czy go poznaje.

- Jakże nie miałbym cię poznać! Jesteś przecież owym sługą, któremu kazałem odciąć rękę.

- To prawda, lecz poza tym służyłem wam wiernie, panie, i nigdy was nie oszukałem!

- Tak, rzeczywiście. Ale co to ma wspólnego z ową ważną wiadomością? - Cesarz się zniecierpliwił.

- A jednak ma coś wspólnego, miłościwy panie. Ponieważ nigdy was nie oszukałem, tym bardziej musicie mi teraz uwierzyć: Wasza córka żyje!

Ale wszystko, co sługa przedtem powiedział, nie zdało się na nic, bo cesarz nie uwierzył, był bardzo wzburzony, że tak śmiano go oszukać. Przecież na własne oczy widział, jak prowadzono córkę na spalenie i jak podpalono stos. Wyciągnął nawet pistolet i chciał z miejsca zastrzelić sługę. Ten jednak starał się na wszystkie sposoby udobruchać cesarza, powołując się na swoją wierną służbę u niego. Chciał nawet zaprowadzić go do córki. Cesarz zgodził się wreszcie, bowiem odrobina nadziei jest też nadzieją.

- Dobrze, jedziemy! Jeśliś mnie oszukał, stracisz życie, lecz jeśli mówisz prawdę, otrzymasz obiecaną nagrodę: pół cesarstwa i pieniędzy, ile uniesiesz!

Wzięli trzy wielbłądy, żywność, kosztowności i klejnoty, i udali się do kraju, w którym mieszkał Karliczek. A czy wiedzieli, w którą stronę jechać? Oczywiście, bo sługa wypytał już przedtem dokładnie o wszystko cesarskiego posła, z którym przyszedł był Karliczek. Szczęśliwie przeprawili się przez morze, a potem pytali o drogę do Smoleńska.

Gdy już byli blisko lasu, Karliczek i Łabędzianka obchodzili właśnie swój rewir. Przez lornetkę obserwowali wszystko wokół.

Nagle odkryli coś, czego przedtem nigdy tam nie było.

- Do licha! - zawołał Karliczek zaskoczony. - To są takie same wielbłądy, jak te w waszym kraju!

- Och, to jest mój ojciec! - Uradowała się Łabędzianka.

Lecz Karliczkowi krew zastygła w żyłach:

- O nieba, teraz będzie źle!

Chwycił strzelbę i stanął za drzewem, żeby zastrzelić cesarza.

- Co robisz, Karliczku! - przeraziła się Łabędzianka.

- Dlaczego nie zostawi nas w spokoju? On chce ciebie zabrać!

Łabędzianka przyskoczyła do niego i wyrwała mu strzelbę:

- Nie bój się, nie uczyni tego! On mnie kocha, szuka nas, chce być z nami!

Tak więc czekali na cesarza, a on, biedak, gdy ich zobaczył, upadł na kolana. Podbiegli ku niemu, powitali go, a cesarz ścisnął ich i całował bez końca. Potem zaprowadzili go wraz z towarzyszem do myśliwskiej chatki, gdzie nastąpiły powitania z rodzicami Karliczka. Wszyscy bardzo się radowali a sługa razem z nimi. Miał obiecane pół cesarstwa i pieniądze, jak tylko wrócą w swoje strony.

Potem w leśniczówce wyprawiono wesele, jeszcze wspanialsze niż poprzednio. Wszyscy byli szczęśliwi, a najbardziej Karliczek i Łabędzianka.

czeska

Berona

Gdzieś w siedemdziesiątym siódmym kraju, za czerwonym morzem, za dębową skałą, tam, gdzie świat jest podparty deskami, żeby się ziemia nie zawaliła, żył raz pewien król. Ten król miał ogród, a w tym ogrodzie drzewo, które tak pięknie pachniało, że drugiego takiego nie było na całym świecie.

Czy to drzewo rodziło jakie owoce, tego nikt nie wiedział. Król jednak chciał się koniecznie dowiedzieć, więc każdego, kto tylko przyszedł do niego, prowadził do owego drzewa i pytał, kiedy i jakie owoce ono wyda. Lecz ani miejscowi, ani obcy nie potrafili zaspokoić jego ciekawości, nikt też nie potrafił choćby tylko zgadnąć, jak to jest. Wtedy król rozkazał zwołać z całego kraju wszystkich ogrodników, jasnowidzów i mędrców. Zebrali się, obejrzelili drzewo, ale nic, nic nie potrafili o nim powiedzieć.

Wreszcie jakiś przygarbiony staruszek poprosił o głos i rzekł:

- Jakie owoce rodzi to drzewo, tego nie wie nikt z nas, bowiem takiego drzewa jeszcze nikt nie widział. Chciałbym wam jednak coś powiedzieć, co już jako mały chłopiec słyszałem od pewnego starca, a o czym dotąd nikomu nie mówiłem. Otóż to drzewo podobno każdej nocy o godzinie jedenastej wypuszcza pąki, które kwadrans po jedenastej zakwitają, za piętnaście dwunasta mają złote owoce, a o dwunastej ktoś je zrywa, tylko nie wiadomo kto.

Gdy staruszek skończył, król rzekł:

- Och, to byłoby warto zbadać. Jeśli tak jest, zbierzemy owoce, bowiem drzewo stoi w moim ogrodzie i jest moje. Leczą kto odważy się podjąć tego zadania?

- Ja - odezwał się najstarszy królewicz. Postanowiono, że już najbliższej nocy będzie pilnował drzewa.

Nadszedł wieczór i królewicz udał się do ogrodu; zabrał sporo wina i pieczonego mięsika, żeby mu tam było przyjemnie. Co chwilę spoglądał na drzewo, długo jednak nic się nie działo, nawet listek się nie poruszył. Wreszcie bije jedenasta, drzewo wypuszcza pąki; bije kwadrans po jedenastej, pąki rozwijają się we wspaniałe kwiaty; o pół do dwunastej kwiaty zamieniają się w małe, błyszczące jagódki; te jagódki pęcznieją i rosą, a piętnaście przed dwunastą stają się złotymi jabłkami, które lśnią jak słońce.

Królewicz z otwartymi ustami patrzył na to dziwne zjawisko, a gdy na koniec zobaczył złote jabłka, skoczył je zerwać. Już był przy drzewie, gdy wtem zaczęło się nagle straszliwie błyskać i grzmieć, nadleciały czarne chmury i lunął deszcz; królewicza owionął Wiatr Snu; tak że natychmiast zasnął i nic już więcej nie wiedział. Zbudził się dopiero rano. Drzewo stało puste; a po złotych jabłkach, ani po tym kimś, kto je pozrywał w czasie owej burzy, ni śladu.

Smutny udał się do ojca i opowiedział, co mu się przydarzyło.

- No, skoro wróciłeś z niczym - rzekł młodszy brat - to teraz ja pójdę pilnować drzewa. Złapię tego, kto przychodzi po jabłka.

Król się zgodził. Już o zmroku poszedł młodszy do ogrodu. Zrobił sobie dobrą wieczerzę z wina i pieczeni. Naokoło była cisza. I znowu, gdy wybiła jedenasta, drzewo zaczęło wypuszczać pąki; gdy wybiło kwadrans po jedenastej, pąki rozwarły się we wspaniałe kwiaty; gdy wybiło pół do dwunastej, kwiaty zaczęły zamieniać się w małe, błyszczące jagódki, które na jego oczach zaczęły pęcznieć, i rosły, rosły; za piętnaście dwunasta całe drzewo błyszczało od złotych jabłek. Królewicz podbiegł je zerwać. Wtem wokół drzewa zrobiło się straszliwie zimno, że aż dzwoniło w powietrzu, wszystko ścięło się lodem, i do tego jeszcze zapanowały ciemności. Królewicz nie mógł nawet kroku zrobić, ślizgał się po lodzie i upadał. A gdy jeszcze dmuchnął na niego, Wiatr Snu, natychmiast zasnął jak nieżywy. Zbudził się dopiero rano, a tu drzewo puste, ani śladu jabłek. Wstyd mu było pójść do ojca, ale cóż miał robić, trzeba było wszystko opowiedzieć, jak było.

Król dziwił się, ale też i gniewał. Prawie już stracił nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek dowie się, kto zrywa te złote jabłka, i gdzie się one podziewają.

Teraz przyszedł do ojca najmłodszy syn, ten, na którego król dotąd prawie wcale nie zwracał uwagi, bo nie miał zwyczaju chwalić się tak jak jego bracia. Zajmował się tylko grą na flecie, a grać umiał pięknie.

- Ojciec - rzekł - pozwól, żebym ja teraz poszedł pilnować drzewa, może będę miał więcej szczęścia niż moi bracia.

- Cóż ty potrafisz; jeżeli nawet twoi bracia nic nie zdziałali, daj spokój, nie nudź mnie, bo się rozgniewam - powiedział król.

Ale najmłodszy nalegał i nie przestał prosić, dopóki ojciec się nie zgodził. Wieczorem poszedł do ogrodu i zabrał ze sobą flet. Siadł w pobliżu drzewa i grał, aż echo niosło.

Wybiła jedenasta. Drzewo wypuszcza pąki - on gra dalej; bije kwadrans na dwunastą, pąki rozkwitają; bije pół do dwunastej, kwiaty zamieniają się w małe błyszczące jagódki, te pęcznieją, rosną, aż o trzy na dwunastą stają się wspaniałymi, błyszczącymi jabłkami. On gra dalej, coraz piękniej i piękniej.

O dwunastej rozlega się szum i nadlatuje dwanaście białych gołębi; opuszczają się na drzewo i zamieniają się w piękne dziewczęta, zaś najpiękniejsza wśród nich - to księżniczka.

Królewicz zapomniał o flecie, zapomniał też o złotych jabłkach, patrzył tylko, oczarowany nie widzianą dotąd pięknnością. Złota dziewczyna pozrywała złote jabłka, po czym rzekła do niego:

- Dotąd tylko ja je zrywałam, teraz na ciebie kolej. Zrywałam je o północy, ty będziesz zrywał złote jabłka w samo południe.

- Ktoś ty, i skąd przybywasz? - spytał królewicz.

- Jestem Berona z Czarnego Miasta - powiedziała, po czym znikła.

Chłopiec długo jeszcze jej wypatrywał, potem spoglądał na drzewo, czy może tam jej nie ma, ale wszędzie było pusto. Po jakiejś chwili udał się do domu. Ujrawszy ojca, zawołał już z daleka:

- Widziałem, widziałem wszystko, teraz już wiem!

Ojciec bardzo się zdziwił i uradowany zapytał:

- Jeśli wszystko wiesz, to gdzie są złote jabłka?

- Złotych jabłek nie mam, ale będę je miał! Jabłka zrywała co noc piękna, złota Berona z Czarnego Miasta. Ale odtąd codziennie w południe jabłka będą moje - tak mi przyrzekła.

Ojciec poklepał syna i pochwalił go, że tak się dobrze spisał, cieszył się też na owe złote jabłka.

Odtąd królewicz codziennie przynosił złote jabłka i król był bardzo rad. Tak trwało długi czas.

Królewicz chodził jednak wciąż zamyślony, z dnia na dzień stawał się coraz bardziej niespokojny, bo stale rozmyślał tylko o Beronie. Miał nadzieję, że spotka ją znowu któregoś razu u jabłoni. Niestety, już więcej się to nie zdarzyło. Z czasem nawet złote jabłka przestały go cieszyć. Poprosił przeto ojca, żeby pozwolił mu pójść w świat. Król długo nie chciał się zgodzić na rozstanie z najukochańszym synem, ale w końcu ustąpił, bo miał nadzieję, że syn pozbędzie się smutku.

Królewicz żwawo przygotował się do drogi. Zabrał z sobą jednego sługę, uzbroił dobrze siebie i jego, wziął żywności na drogę, potem pożegnał się z rodzicami i braćmi, wsiadł na konia i pojechał.

I tak nasi wędrowcy jechali przez góry, rzeki, pola, przez kraje i przez morza, przewędrowali cały świat, z jednego końca na drugi. Nie znaleźli jednak Czarnego Miasta, również i o Beronie ani widu, ani słyhu. Byli już bardzo zmęczeni, wydali wszystkie pieniądze, mimo to wciąż jeszcze szukali Czarnego Miasta w nadziei, że trafią, choćby na jakiś ślad. Tak wreszcie

przyszli na jakiś zamek. Ten zamek należał do czarownicy, której córką była właśnie złota Berona. Czarownica podeszła do bramy i spytała grzecznie, czego sobie życzą.

- Przychodzimy - odparł królewicz - zapytać, czy nie wiadomo tu czego o Czarnym Mieście i o złotej Beronie.

- Hm, moje dzieci, szukacie śladu Berony - rzekła czarownica.

- Berona przychodzi codziennie około południa kąpać się w moim ogrodzie.

Tam możecie ją spotkać, jeśli chcecie.

Następnego dnia około południa poszedł królewicz do ogrodu. Wtedy czarownica zawołała po kryjomu owego sługę i powiedziała mu, żeby także poszedł do ogrodu i, uprzedziwszy swego pana, postarał się przedej od niego zobaczyć Beronę. Obiecała mu nagrodę, potem dała mu flet i rzekła:

- Jak tylko zobaczysz Beronę, zacznij grać, żeby twój pan mógł od razu do niej trafić.

Królewicz chodził samotnie po ogrodzie tu i tam, a sługa już wcześniej tam był i wypatrywał Berony. Gdy wybiła dwunasta, przyleciało dwanaście białych gołębi i zamieniło się w dziewczęta, a najpiękniejsza z nich to była właśnie Berona. Sługa oczarowany ich urodą o mało co zapomniał o poleceniu czarownicy. Przypomniawszy sobie dopiero po chwili i zaczął grać. W tym momencie królewicz zapadł w głęboki sen. Piękna Berona podeszła ku niemu, miło popatrzyła, i znikła.

Wtedy dopiero obudził się; a gdy dowiedział się, że była tu złota Berona, że przyglądała mu się przyjaźnie, rozgniewał się na sługę, że go nie obudził. Sługa żałował wprawdzie, że jego panu tak się nie powiodło, ale o flecie nawet nie wspomniawszy.

Następnego dnia, gdy królewicz wybierał się do ogrodu, czarownica znów przywołała sługę, wzięła go na bok, szepnęła mu coś do ucha, wcisnęła coś do ręki i znów dała mu flet. Tak więc sługa wiedział już, z której strony nadejdzie Berona. Udał się tam i stanął na czatach.

Usłyszawszy szum nadlatujących gołębi i spostrzegłszy, że w oddali coś zamigotało złotym blaskiem, zaczął grać. Wtedy jego pan znów zapadł w głęboki sen. Berona podeszła do śpiącego, popatrzyła na niego przyjaźnie, ale wzrok jej był smutny, i znikła. Gdy królewicz się obudził i dowiedział, że Berona znowu tu była, bardzo się rozgniewał na siebie za to, że zasnął, a na sługę, że go nie obudził. Co się stało, to się stało, postanowił za trzecim razem nie zasnąć, żeby nie wiem co się działo.

Trzeciego dnia około południa poszedł znowu do ogrodu, przechadzał się tam i z powrotem, przecierał oczy, żeby tylko nie zasnąć. Nic jednak nie pomogło, bo sługa znów był przekupiony przez czarownicę. Jak tylko Berona zjawiała się w ogrodzie, zaczął głośno grać, i jego pan znowu zapadł w tak mocny sen, że można by go nawet krajać w kawałki. Złota Berona podeszła ku niemu i rzekła ze współczuciem:

- Mój ty niewinny biedaku! Śpisz, nieświadom, kto ci stoi na drodze do szczęścia. Z oczu jej potoczyły się perły zamiast łez.

Potem nazrywała kwiatów i obsypała go nimi, zaś do sługi powiedziała:

- Powiedz twemu panu, żeby swój kapelusz powiesił o jeden hak niżej, wtedy mnie zdobędzie.

Spojrzała jeszcze raz smutno na królewicza i znikła. Zaraz potem obudził się i spytał, czy była Berona, i skąd wzięły się te kwiaty wokół niego. Sługa opowiedział mu, jak było. Królewicz, bardzo zgnębiony zamyślił się głęboko. Stało się oczywiste, że w ten sposób nie osiągnie celu. Opuścił zamek czarownicy, ale wciąż od nowa łamał sobie głowę, co Berona miała na myśli dając mu taką radę. Nie potrafił jednak zgadnąć. Aż raz przyśniło mu się w drodze, że przyszła do niego i powiedziała: „Dopóki twój sługa będzie przy tobie, niczego nie osiągniesz, bo działa ci na szkodę”.

Pomału stawało się jasne, co powinien był uczynić, lecz ilekroć pomyślał o tym, że miałby słudze ściąć głowę, wzdragał się i nie mógł się na to zdobyć. Sługa tymczasem coraz bardziej wodził go za nos i nie było dnia, żeby mu czegoś nie zrobił na złość. Gdy wreszcie go złapał, sługa postawił się hardo. Wtedy królewicz wpadł w gniew, złapał miecz i zabił go. Ciało sługi pochłonęła ziemia. Teraz wędrował sobie sam, przez góry i doliny.

Pewnego dnia usłyszał okropny wrzask, że aż echem niesło się po górach. Pobiegł w tym kierunku i znalazł się na małej łączce. A tam trzech diabłów biło się tak, że strzępy leciały wokół.

- Hej, o co się tak bijecie? - zawołał.

- O dziedzictwo po naszym ojcu! - wyjaśnili. - O ten oto płaszcz, o te buty, i o ten bat!

- Czyście rozum stracili, bić się o zwyczajny płaszcz, buty i bat?

- Właśnie! Bo to nie są takie sobie zwyczajne rzeczy: jeśli zarzucisz na siebie ten płaszcz, wtedy nawet sam diabeł cię nie zobaczy; jeśli obujesz te buty, uniosą cię w powietrze i możesz fruwać; gdy zaś świsniesz tym batem, natychmiast znajdziesz się tam, gdzie zechcesz. Każdy z nas chce mieć te rzeczy, ale wszystkie razem, bowiem każda z osobna nie ma tej mocy.

- Dobrze, pomogę wam rozstrzygnąć ten spór! Biegnijcie wszyscy

trzej, o, tam, na tę górę, a rzeczy zostawcie tu. Który z was - na mój znak - przybiegnie tu pierwszy, ten otrzyma rzeczy.

Głupie diabły zgodziły się na to i - hop! - pobiegły ku górze. Królewicz tymczasem zarzucił na siebie płaszcz, wdział buty, świsnął batem i wyraził życzenie, żeby znaleźć się w Czarnym Mieście. W oka mgnieniu przeleciał ponad wieloma krajami i stanął przed bramą Czarnego Miasta. Zrzucił płaszcz, zdjął buty, i wtedy spostrzegła go jedna z dziewcząt z orszaku złotej Berony. Pobiegła szybko do swojej pani i opowiedziała jej, kogo widziała. Berona jednak nie chciała w to uwierzyć, bo nie mogła sobie wyobrazić, jakim sposobem królewicz mógł się tu znaleźć. Posłała drugą dziewczynę, aby zobaczyła, czy to prawda. Ta, wróciwszy, oznajmiła, że to istotnie prawda. Berona posłała jeszcze trzecią dziewczynę, ale i ta wróciła z tą samą wiadomością. Wtedy pobiegła sama przed bramę, żeby przekonać się na własne oczy. Gdy zobaczyła ukochanego, posypały jej się z radości perły ze złotych oczu.

A tu już i przybiegły owe trzy diabły z wielkim wrzaskiem:

- Oddaj, co nie twoje! Dawaj płaszcz, buty i bat!

Królewicz rzucił im to wszystko, diabły capnęły swoje rzeczy i odleciały.

Teraz dopiero zaczęły się powitania ze złotą Beroną. Potem zaprowadziła go do pałacu i pokazała mu całe swoje królestwo. Gdy już wszystko obejrzel i minęła radość pierwszych



powitań, pobrali się. On został królem, żyli potem razem szczęśliwie i długo - jeden Bóg wie, jak długo.

słowacka

### Piękna siostra

Pewnego razu byli sobie ojciec i matka. Mieli synka i córkę. Dziewczynka była bardzo ładna. Gdy się uśmiechała, zakwitła na jej wargach róża, gdy czesała włosy, sypały się z nich złote gwiazdki, a gdy myła ręce, złote perły owijały się wokół jej przegubów.

Wkrótce zmarła matka, a ojciec wziął sobie drugą żonę. Macocha przywiodła z sobą córkę, która była bardzo brzydka. Nowa matka nie cierpiała dzieci męża. Chłopiec, gdy podrośł, musiał pójść na służbę. Najął się u pewnego pana za woźnicę. Bardzo jednak tęsknił za swoją śliczną siostrzyczką. Kazał więc namalować jej portret i zawiesił go w stajni na drzwiach. I zawsze, kiedy tylko tu przychodził, był wesół, a gdy wychodził, był smutny.

Spostrzegł to jego pan i zapytał któregoś razu, dlaczego jest wesół, gdy wchodzi do stajni, a smutny, gdy z niej wychodzi.

Z początku woźnica nie chciał mówić, potem jednak rzekł:

- W domu została moja śliczna siostrzyczka, ale mam jej portret w stajni.

Gdy wchodzi i patrzę na jej portret, wtedy jestem wesół, gdy zaś wychodzę, smucę się, bo muszę ją opuścić.

- Przynieś mi ten portret! - powiedział pan.

Woźnica spełnił rozkaz. Panu bardzo spodobało się dziewczę, więc zapytał:

- Czy twoja siostra jest rzeczywiście taka piękna?

- Jeszcze piękniejsza niż na portrecie! - odparł brat wzruszony i przejęty.

- Weź konie i powóz, i przywieź tu swoją siostrę, chciałbym ją pojąć za żonę!

Gdy chłopiec zjawił się w domu i opowiedział, po co przyjechał, macocha i jej córka także postanowiły pojechać do owego pana. Wsiedli do powozu i pojechali. Po drodze trzeba było przebyć szeroką i głęboką rzekę. Wtedy rzekł braciszek do siostrzyczki:

- Nie wychylaj się, żeby ostry wiatr nie zniszczył ci policzków!

Siostra jednak nie zrozumiała brata i zwróciła się zapytaniem do macochy:

- Co mówił braciszek?

- Każe ci się wychylić przez okno powozu i popatrzeć na piękną rzekę!

Dziewczę wychyliło się, a wtedy macocha wypchnęła je z powozu do wody.

Tam dziewczyna zamieniła się w kaczkę i pofrunęła w daleki świat.

A pan czekał cierpliwie, czekał już dość długo. Gdy wreszcie nadjechał powóz, pobiegł ku niemu i poprosił dziewczynę, aby się uśmiechnęła. Lecz ukazały się tylko żółte zęby. Kiedy się czesała; robactwo sypało się jej z włosów. A gdy myła sobie ręce, brud opadał całymi płatami.

- Co za kłamca z tego woźnicy! - oburzał się pan i zapytał macochę o radę, co uczynić z chłopcem.

- Powieś go na żerdzi w kominie! - poradziła podstępna i zła macocha.

Tak też pan uczynił.

Gdy nadeszła noc, do uwięzionego brata przyfrunęła siostrzyczka w postaci kaczki, przyniosła mu białą koszulę i skarżyła się:

- Kwa, kwa, kochany braciszku, jeszcze będę przylatywać tu przez dwie noce, a potem już nigdy, nigdy nie powrócę - i odfrunęła.

Drugiej nocy zjawiała się znowu i rzekła:

- Kwa, kwa, kochany braciszku, przylecę jeszcze tylko jeden raz, a potem już nigdy!

Ale służba, która przy kominie pełniła straż, wszystko słyszała i opowiedziała to swemu panu. Dlatego też na trzecią noc sam postanowił pilnować i czekać na przybycie kaczki. Nadleciała znowu i skarżyła się:

- Kwa, kwa, kochany braciszku, och, już nigdy więcej cię nie ujrzę!

Gdy to wyrzekła, pan chwycił ją za skrzydło i spytał, czy nie ma dla niej ratunku. Odparła:

- Moja nóżka jest skuta mocnym łańcuchem; jeśli zdołasz przeciąć go za jednym zamachem, odzyskam ludzką postać, i będę wolna.

Jednym potężnym ciosem rozerwał łańcuch i oto stanęła przed nim przepiękna dziewczyna. Rozkazał jej, aby się uśmiechnęła, a tu róża zakwita na jej wargach; rozkazał, aby uczesała swe włosy a tu spadają złote gwiazdki i sypią się z jej głowy; rozkazał, aby umyła ręce, a tu sznury złotych, wspaniałych pereł wiją się wokół jej przegubów.

Pan bardzo się uradował, ujął ją za jedną rękę, brata za drugą, i tak poszli do jego komnaty. Potem zapytał macochę, co teraz należy uczynić. A ona, myśląc, że chodzi o dziewczynę, odparła:

- Przywiąż ją dzikiemu koniowi do ogona i przepędź do ciemnego lasu!

- Jak rzekłeś, tak się też z tobą stanie! - powiedział pan do macochy.

Ale siostrzyczka prosiła o łaskę dla macochy i jej córki. Odesłano je więc do domu.

Pan pojął piękną dziewczynę za żonę, a brat został przy nich, by służyć im radą i pomocą. Teraz już nie tęsknił za swoją piękną siostrą.

łużycka

## O dwunastu miesiącach

Była raz pewna matka, która miała dwie córki; jedną własną, a drugą pasierbicę. Swoją własną bardzo kochała, zaś pasierbicy, Maruszki, nie mogła ścierpieć, bo ta była o wiele ładniejsza niż jej Holena.

Maruszka nie zdawała sobie sprawy ze swej urody, nie domyślała się więc, dlaczego macocha ją tak źle traktuje. Musiała wykonywać wszelką robotę: zmiatać izbę, gotować, pracować, szyć, prząść, tkąć, dbać o krowy. Holena natomiast tylko się stroiła i leniuchowała. Maruszka jednak chętnie pracowała, była cierpliwa, a dokuczanie siostry i macochy znosiła niczym jagniątko. Jednak z dnia na dzień było gorzej, i to tylko dlatego, że Maruszka była coraz piękniejsza, a Holena coraz brzydsza. Matka zastanawiała się: „Po co mi chować w domu taką piękną pasierbicę? Chłopcy przyjdą w swaty, zakochają się w Maruszcze, i nie zechcą Holeny”. Od tej chwili matka i Holena zaczęła rozmyślać, jakby tu pozbyć się Maruszki. Kazały jej głodować, biły ją, wymyślały różne udręki, które przyzwoitemu człowiekowi nawet nie wpadły do głowy. Pewnego dnia, a była to połowa stycznia, zachciało się Holenie fiołków.

- Hej, Maruszko - rozkazała - przynieś mi z gór bukietek fiołków, chciałabym je przywiązać do paska, nacieszyć się ich zapachem!

- Ojej, siostrko kochana, co ci przyszło do głowy? Czy kto kiedy słyszał, żeby głęboko, pod śniegiem kwitły fiołki?

- Ty darmozjadzie, ty nierobie, na co sobie pozwalasz! Rozkazuję ci!

Zbieraj się stąd! A jak nie przyniesiesz fiołków, dostaniesz lanie! - groziła Holena.

Matka wypchnęła Maruszkę na dwór i zamknęła mocno drzwi. Dziewczę poszło z płaczem w góry. Śnieg leżał wysoko, nigdzie ani ścieżki. Długo błądziła, głód jej dokuczał, trzęsła się z zimna i pragnęła już tylko śmierci. Wtem ujrzała w oddali ogień. Udała się w tym kierunku i zaszła na szczyt góry. Wokół potężnego ognia leżało dwanaście kamieni, a na każdym z nich siedział mężczyzna. Trzech było już siwowłosych, trzech młodszych, trzech - jeszcze młodszych, a trzech najmłodszy byli najpiękniejsi. Wszyscy milczeli i spoglądali w ogień. Tych dwunastu mężów to było dwanaście miesięcy. Na czele siedział Styczeń, miał siwe włosy, siwą brodę i trzymał w ręce laskę. Maruszka przeraziła się i stanęła pełna zdumienia, ale potem zdobyła się na odwagę, podeszła bliżej i poprosiła:

- Kochani ludzie, czy mogłabym ogrzać się przy waszym ogniu? Trzęsę się z zimna!

Styczeń skinął głową i zapytał:

- Dlaczego tu przysłaś, moja córko? Czego tu szukasz?

- Szukam fiołków - odparło dziewczę.  
- Ależ teraz nie pora na fiołki, przecież leży śnieg! - powiedział Styczeń.

- Oczywiście, wiem o tym, ale moja siostra Holena i moja macocha rozkazały mi przynieść fiołków. Zbiją mnie, jeśli ich nie przyniosę. Drodzy ludzie, powiedzcie mi, gdzie ich szukać!

Wtedy wstał Styczeń, podszedł do najmłodszego miesiąca, wręczył mu laskę i rzekł:

- Bracie Marcu, siądź na pierwszym miejscu!

Marzec usiadł i machnął laską nad ogniem. Wtem płomienie buchnęły wyżej, śniegi stajały, drzewa zaczęły się zielenić, pod bukami wyrosła trawa, w trawie zakwitły stokrotki, zrobiła się wiosna. W zaroślach, w trawie, schowane w listowiu, wszędzie zakwitły fiołki i, zanim Maruszka się obejrzała, wokoło był istny niebieski kobierzec.

- Zrywaj, Maruszko, prędko zrywaj! - naglił Marzec.

Maruszka zrywała, aż uzbierał się duży bukiet. Potem grzecznie podziękowała miesiącom i uradowana pobiegła do domu.

Holena zdziwiła się, dziwiła się i macocha, gdy Maruszka wróciła z fiołkami. Otwarty jej drzwi i zapach fiołków nappełnił izbę.

- Gdzieś ich nazrywała? - zapytała ze złością Holena.

- Na samym szczycie góry, tam kwitną, jest ich tam dosyć - odpowiedziała Maruszka.

Holena wzięła fiołki, zatknęła je za pasek, wachała, dała też matce powąchać, ale Maruszcze - nie.

Nazajutrz Holena wylegiwała się na piecu. Zachciało jej się poziomek.

Natychmiast zawołała siostrę:

- Hej, Maruszko! Przyniesz mi z gór poziomki!

- Ależ siostrko kochana, gdzie ja teraz znajdę poziomki? Czy ktoś słyszał, żeby pod śniegiem rosły poziomki?

- Ach, ty darmozjadzie, ty nierobie, nie masz nic do gadania, jeśli ja rozkazuję! Precz z tobą! Jeśli mi ich nie przyniesiesz, zabiję cię! - groziła zła Holena. Macocha wypchnęła Maruszkę za drzwi i zawarła je mocno.

Dziewczę poszło z płaczem do lasu. Śnieg leżał wysoko, nigdzie nawet ścieżki. Długo błądziła, męczył ją głód, trzęsa się z zimna. I znowu ujrzała w oddali ogień. Radośnie pobiegła w tym kierunku. Wokół ogromnego ognia siedziało dwanaście miesięcy, na czele Styczeń.

- Dobrzy ludzie, mogę ogrzać się przy waszym ogniu? Trzęsę się z zimna - prosiła Maruszka.

Styczeń skinął głową i zapytał:

- Dlaczego znów przyszedłeś, czego szukasz?

- Szukam poziomek - odparła.

- Jest przecież zima, w śniegunie rosną poziomki! - rzekł Styczeń.

- Oczywiście, wiem o tym, ale Holena i macocha taki dały rozkaz, i jeśli go nie wykonam, chcą mnie zabić. Ludzie kochani, proszę was, powiedzcie mi, gdzie znajdę poziomki?

Wtedy wstał Styczeń, podszedł do miesiąca, który siedział naprzeciwko, dał mu laskę do ręki i rzekł:

- Bracie Czerwcu, siądź na pierwszym miejscu!

Czerwiec siadł na pierwszym miejscu, na kamieniu, i machnął laską nad ogniem. Płomienie buchnęły wysoko w górę, śnieg szybko się stopił, ziemia się zazieleniła, drzewa wypuściły liście, zakwitło mnóstwo kwiatów, zrobiło się lato. A pod bukami, jakby kto nasiał białych gwiazdek. W oka mgnieniu zrobiły się z nich poziomki, szybko dojrzały i, zanim Maruszka się obejrzała, był już istny czerwony kobierzec.

- Rwij, Maruszko, prędko rwij! - rozkazał Czerwiec.

Maruszka rwała, dopóki nie napełniła fartuszka. Potem grzecznie podziękowała i pobiegła wesoło do domu.

Holena dziwiła się, dziwiła się i macocha, gdy zobaczyły Maruszkę z poziomkami.

- Gdzieś ich narwała? - spytała Holena.

- Tam, na samym szczycie góry, tam rosną pod bukami.

Holena wzięła poziomki, najadła się do syta, macocha też najadła się do syta, ale Maruszcze nic nie dały.

Trzeciego dnia Holena miała apetyt na jabłka.

- Hej, Maruszko, jazda w góry, chcę czerwonych jabłek!

- Ależ siostró kochana, skąd mam w zimie wziąć jabłek?

- Ty darmożjadzie, ty nierobie, nie odpowiadaj, jak ci rozkazuję!

Pójdiesz natychmiast, a jeśli nie znajdziesz jabłek, skończę z tobą! - groziła Holena.

Macocha ze złością wypchnęła Maruszkę na dwór i zamknęła za nią drzwi.

Dziewczę pobiegło z płaczem do lasu. Śnieg leżał wysoko, nigdzie nawet ścieżki. Ale dziewczę już nie błądziło, pobiegło prosto na szczyt góry, tam, gdzie palił się ogień, wokół którego siedziało dwanaście miesięcy ze Stycznem na czele.

- Dobrzy ludzie, mogę ogrzać się przy waszym ogniu? Trzęsę się z zimna - prosiła, i zbliżyła się do ognia.

Styczeń skinął głową i zapytał:

- Dlaczego znów przysłaś, czego szukasz?

- Szukam czerwonych jabłek - odparła.

- Jest przecież zima, teraz nierosną jabłka! - powiedział Styczeń.

- Oczywiście, wiem o tym, ale Holena i macocha rozkazały mi przynieść czerwonych jabłek, w przeciwnym razie - koniec ze mną! Ludzie kochani, proszę was, powiedzcie mi, gdzie je znajdę!

Wtedy podniósł się Styczeń, podszedł do starszego miesiąca, wręczył mu laskę i rzekł:

- Bracie Wrześniu, siądź na pierwszym miejscu!

Wrzesień zasiadł na najwyższym kamieniu i machnął laską nad ogniem. Ogień rozgorzał czerwienią, śnieg znikł, ale drzewa nie pokryły się listowiem. Nie było też wiele kwiatów, na zboczu kwitł tylko podróżnik, czerwieniły się drobne goździki, w dolinie kwitł zimowit jesienny, a pod bukami były wysokie paprocie i gęsty barwinek. Maruszka jednak wypatrywała tylko jabłek. Wreszcie zobaczyła jabłoń, a na niej wysoko wśród gałęziczerwone jabłuszka.

- Spiesz się, Maruszko, natrzęś szybko jabłek! - popędzał Wrzesień.

Maruszka potrząsała jabłonią, spadło jedno jabłko, potrząsała jeszcze raz, spadło drugie.

- Spiesz się, Maruszko, biegnij już do domu! - wołał Wrzesień.

Dziewczę z miejsca posłuchało i pobiegło do domu.

Zdziwiła się Holena, dziwiła się i macocha. Szybko otwarły drzwi i Maruszka dała im oba jabłka.

- Gdzieś je zerwała? - zapytała Holena.

- Na wysokiej górze, tam rosną, a jest ich jeszcze sporo.

- To dlaczego nie przyniosłaś więcej? Pewno zjadłaś je sama po drodze? - łajęła Holena.

- Siostró kochana, nie zjadłam nawet kęsa. Jak potrząsałam drzewem, spadło jedno jabłko, jak potrząsałam drugi raz, spadło drugie. Więcej już nie pozwolili mi trząść, tylko kazali szybko biec do domu - opowiedziała Maruszka.

- Bodaj by cię diabli! - złościła się Holena i chciała bić Maruszkę. Ta jednak uciekła z płaczem do kuchni. Łakoma Holena dała jej spokój i zabrała się do jabłka. A wydało jej się tak smaczne, że pomyślała, iż czegoś równie dobrego jeszcze nie jadła. Matce też smakowało. Każda zjadła po jednym jabłku, i miały apetyt jeszcze na więcej.

- Mamo, daj mi mój kożuch! - powiedziała Holena - pójdę sama w góry. Już ja znajdę to miejsce i dam sobie tam z nimi radę, choćby nawet mieli na mnie krzyżeć.

Matka na próżno odradzała. Holena ubrała się w kożuch, wzięła chustkę na głowę i udała się w góry. Śnieg leżał wysoko, nigdzie nawet ścieżki. Holena błądziła, błądziła długo, ale jej chciwość gnała ją naprzód. Wtem w oddali ujrzała ogień. Pobiegła w tym kierunku i tak znalazła się na szczycie góry. A tam na dwunastu kamieniach siedziało dwanaście miesięcy. Holena przeraziła się, ale szybko się otrząsnęła z tego, podeszła do ognia i wyciągnęła ręce, żeby się ogrzać. Ani nie poprosiła o pozwolenie, ani nie pozdrowiła.

- Czego chcesz, i czego tu szukasz? - zapytał ponuro Styczeń.

- Dlaczego pytasz, stary głupcze! Wcale nie musisz wiedzieć - odpowiedziała opryskliwie, obróciła się i poszła w las.

Styczeń wstał i machnął laską nad głową. Niebo pociemniało, ogień przygasł, śnieg zaczął padać tak gęsto, jakby kto sypał z pierzyny, mroźny wichur powiał w górach. Holena nie mogła zrobić ani kroku dalej, błądziła, aż ugrzęzła w śnieżnych zaspach.

Matka czekała na nią, spoglądała niecierpliwie na drzwi i wychodziła na próg, ale Holena nie wracała. „Czy jej te jabłka tak bardzo smakują, że nie chce od nich odejść? Muszę sama zobaczyć, gdzie ona jest” - postanowiła. Wzięła kozuch, chustkę na głowę i poszła. Na dworze było wszystko zasypane śniegiem, nigdzie ścieżki. Wołała Holenę, ale nie było odpowiedzi. Błądziła, a śnieg padał, i lodowaty wicher dął w górach. Maruszka ugotowała obiad, oprzątnęła krowy, lecz ani Holena, ani macocha nie wróciły. „Gdzie mogą być tak długo?” - rozmyślała i, siadłszy do kołowrotka, przędła, dopóki się nie ściemniło. A tu wciąż jeszcze nie wracają, ani Holena, ani matka. „Ojej, z pewnością coś im się stało” - pomyślała i pełna obaw wyglądała przez okno. Gwiazdy błyszczały, ziemia lśniła białym blaskiem, ani śladu człowieka. Smutna zamknęła okno. Nazajutrz rano czekała ze śniadaniem, potem z obiadem, na próżno. Holena i macocha zamarzyły w górach. I tak dobrej Maruszcze został domek, krowa i kawałek pola. Dostała też dobrego męża i żyła z nim spokojnie i szczęśliwie.

słowacka

O dziewczynie i o królewiczu w krowiej skórze

Był jeden ojciec, który miał trzy córki. Pewnego razu bardzo zachorował i umyślił sobie, że pomogłaby mu do zdrowia woda ze studzienki, co stała za wsią. Mówi do córek:  
- Gdybym dostał wody z tej studni, zaraz by mi się polepszyło.

Najstarsza córka powiada:  
- Ojczy, ja ci tej wody przyniosę!

I poszła, ale kiedy chciała zaczerpnąć wody, w studni coś zawołało:  
- Nie dam ci wody, póki mi nie obiecasz, że będziesz moją i zostaniesz u mnie!

Dziewczyna zląka się:  
- Co to może być! Nic nie widzę, i nie wiem, kto ty jesteś! Powiedz, kim jesteś?

Wróciła do domu i mówi:  
- Ojczy, tej wody nie można zaczerpnąć.

Odezwała się druga córka:

- Kiedyś ty nie przyniosła, to ja pójdę!

Ale i z nią było to samo, i ona wody nie dostała. Wtedy wybrała się trzecia córka, ta najmłodsza. Przyszła do studni, a tam coś woła:

- Jeśli mi przysięgniesz, że będziesz moją, nabierzesz wody, która uzdrowi ojca.

Ona na to:

- Dobrze, przysięgnę ci.

I nabrała wody, zaniosiła ojcu, a on zaraz ozdrowiał, a wszyscy się ucieszyli.

Wieczorem, kiedy się ściemniło, przywlokła się przed sień jakaś poczwara w krowiej skórze i stuka do drzwi. Nie było rady, najmłodsza, choć przestraszona, musiała iść otworzyć, a to coś tak śpiewa:

Zrób, jakoś mi powiadała,  
gdyś ode mnie wodę brała:  
moją miłą musisz być,  
pójdź mi otworzyć.

Wpuściła go do izby, dała mu jeść, a gdy wszyscy pokładli się spać, potwór zdjął z siebie krowią skórę i okazało się, że był to panicz tak piękny, że chyba na całym świecie nie znalazłby się drugi taki.

Kiedy nadeszła północ, włożył znów na siebie krowią skórę, bo musiał wracać z powrotem do wody, do tej studni. Ale nazajutrz wieczorem znów przyszedł, a ona teraz już nie bała się i otworzyła mu z radością. Tego wieczoru powiedział jej, że jest zaklętym królewiczem, i że ona może go wybawić, tylko żeby nikomu o tym nie mówiła.

Ona jednak nie wytrzymała i opowiedziała wszystko swojej matce. Na trzecią noc, jak znów przyszedł, matka udała, że idzie spać, poczekała aż on zdejmie z siebie skórę, potem chwyciła ją i wrzuciła do rozpalonego pieca. On zerwał się i woła:

- Gdzie moja skóra?

Matka usłyszawszy to przybiegła do nich i przyznała się, że wrzuciła ją do pieca. Wyjęli zaraz skórę, ale cóż - od gorąca cała się skurczyła. Naciągali ją obydwójce, nic nie pomogło, nie mógł już się w nią zawinać. Rozeszli się w wielkim żalu, w głębokim bólu. Na pożegnanie powiedział dziewczynie, że za karę musi iść teraz na resztę pokuty aż za czerwone morze, zaś ona, jeśli chce go odnaleźć, musi przedtem zedrzeć żelazne buty, zetrzeć laskę okutą żelazem i napłakać pełny kotlik łez.

Więc ona kazała sobie zrobić buty żelazem podkute, żelazną laskę i kotlik żelazny, i poszła go szukać. Płakała o niego we dnie i w nocy, a łzy kapały do kotlika. Zawędrowała do lasu bardzo daleko, gdzie była mała chałupka.

Puka do drzwi. Jakaś stara babka wyszła na próg i pyta:

- Dzieweczko, czego tu chcesz?

Dziewczyna poprosiła babkę o nocleg.



- Moje dziecko, nie mogę cię przenocować, bo mój mąż to Miesiączek, obcych nie lubi, a choćbym cię schowała do kątką za piec, to i tak cię znajdzie, jak poświeci - mówiła babka.

No, ale że dziewczyna nie chciała odejść, więc ją przyjęła. Wraca Księżyc i woła od progu:

- Tfu, parparusza, śmierdzi mi tu ludzka dusza! Mów, kogo tu masz!

- No, przenocowałam jedną dziewczkę, która chodzi po świecie i szuka swego miłego. Czyś go czasem gdzie nie widział? Pięknego królewicza?

- Nie, nie widziałem, ale niech idzie do mego brata. Moim bratem jest Słoneczko, co wszędzie świeci, tylko że do niego trzeba iść jeszcze sto mil!

Rano Księżyc odprowadził ją za las, pokazał drogę i dał jej orzech, przykazując surowo, żeby go dobrze schowała. Idzie ona, idzie, a ciągle płacze, a łyżką kapią do kotlika. Przyszła do wielkiego lasu, znalazła małą chałupkę, w której świeciło się światło. Zapukała do drzwi. Na próg wyszła stara babka i zapytała:

- Kto tu puka?

- Ja, babciu, chodzę po świecie, szukam swego miłego, szukam daremnie.

- Tutaj ptaszek nie doleci, miesiączek nie doświeci, wiaterek nie dowieje, a tyś tu przyszła?

- Już i żelazną laskę startam, i żelazne buty zdarłam, i kotliczek łez napłakałam, a, swego miłego znaleźć nie mogę. Pozwól mi, babciu, przenocować.

W nocy mąż tej starej - a było nim Słoneczko - wrócił do domu; poświecił za piec i powiada:

- Tfu, parparusza, śmierdzi mi tu ludzka dusza. Mów, kogo tu masz!

Babka na to:

- Nocuje tu jedna dziewczyna, która chodzi po świecie i szuka swego miłego. Czyś go czasem nie widział? Pięknego królewicza?

- Nie, nie widziałem, ale niech idzie do mego brata. Moim bratem jest Wiatr, co po całym świecie wieje, może on coś będzie wiedział. Mieszka sto mil stąd!

Odprowadził ją i dał jej orzech. Poszła dalej i płakała, aż znowu zaszła do lasu, gdzie znalazła chałupkę, w której świeciło się światło. Puka do drzwi i znów stara babka wyszła jej otworzyć:

- Kto tu puka? Gdzieś ty zawędrowała! Toć tu miesiąc nie doświeci, ani słoneczko, zając też tu nie dobiegnie, a tyś przyszła?

- Babciu, szukam po świecie swego miłego. Byłam już u Księżycy, byłam u Słoneczka i Słoneczko mnie przysłało tu, do Wiatru, że może Wiatr mi znajdzie miłego.

I poprosiła o nocleg, choćby w kącie za piecem, choćby najskromniejszy.

O północy przyszedł Wiatr i woła:

- Tfu, parparusza, śmierdzi mi tu ludzka dusza! Mów, kogo tu masz!

- Nocuje tu jedna dziewczka, która szuka swego miłego. Nie widziałeś go gdzie?

- Nie widziałem, ale zaraz jutro puszczę się burzą po świecie, może go gdzieś zobaczę.

Zawołali ją potem na wieczerzę i jedli kurę.

- Pozbieraj te wszystkie kosteczki, dobrze schowaj, przydadzą ci się później - powiedział Wiatr i dał jej jeszcze orzech, po czym wyszedł w wielkiej burzy. Kiedy wrócił, powiada tak:  
- Twój miły jest tam, w wielkim zamku, ale mieszka z nim inna pani. Idź jednak do niego, może go odzyskasz, jeśli wiele przeszkód przezwyciężysz.

Powędrowała do tego zamku, a zamku pilnował wielki pies. Dała psu kości, przepuścił ją. Potem poprosiła, żeby ją wzięli na służbę, choćby do pasienia gęsi. Rano wyгнаła gęsi na łąkę i otworzyła pierwszy orzech.

Były w nim bardzo piękne srebrne szaty. Jak je pani zobaczyła, tak jej się spodobały, że prosiła gęsiarkę, żeby jej te szaty sprzedała.

Ale dziewczyna powiedziała:

- Mogę pani te szaty darować, jeśli za to będę mogła przebyć z panem jedną noc.

Pani zgodziła się, ale dała panu takiego czarodziejskiego napoju, że spał jak martwy.

Dziewczyna przemawia do niego, prosi, woła i płacze:

- Mój złoty, mój miły, pamiętasz, jak razem naciągaliśmy krowią skórę?

Jam żelazne buciki podarła, żelazną laskę starła, kotlik łez napłakałam, zanim cię znalazłam. On nic, śpi twardo. Ale pod oknem stał na warcie żołnierz, który słyszał jej narzekania i bardzo się dziwił, co też to może znaczyć. Rano powtórzył wszystko swemu panu. Wtedy pan domyślił się, że to musi być ta dziewczyna, która wybawiła go z zaklęcia. Gęsiarka zaś nie mogąc do samego rana wydobyć od niego słowa, pognęła gęsi na łąkę. Tam rozłupała drugi orzech - były w nim szaty ze złota. Pani znów je zobaczyła, spodobały jej się, i znów następna noc minęła tak jak pierwsza, znów żołnierz powtórzył swemu panu, co słyszał pod oknem. Trzeciego dnia dziewczyna rozłupała trzeci orzech - były w nim szaty diamentowe. Teraz król wicz miał się na baczości. Kiedy mu dawali napoju na sen, udał, że pije, ale do ust go nie wziął.

Przyszła do niego wieczorem gęsiarka, całuje go i płacze:

- Mój najmilszy, złoty, kochany, coś miał być moim mężem!

Pamiętasz, jak tę krowią skórę razem rozciągaliśmy? Jam sobie dała zrobić żelazne buciki, żelazną laskę, żelazny kotlik, jam żelazne buciki zdarła, żelazną laskę starła, kotlik łez napłakała, a znaleźć cię nie mogłam! Teraz cię znalazłam i słówka od ciebie nie mogę wydostać.

Wtedy pan chwycił ją w objęcia, ucałował i powiada rozradowany:

- Tyś mnie z zaklęcia wybawiła, od dzisiaj jesteś tu panią, cały dwór będzie ci służył!

Rano woła pani:

- Gęsiarko, wstawaj gęsi paść!

Pan powiada:

- Nie ma tu gęsiarki, tylko pani, teraz ty będziesz gęsiarką.

Odtąd już żyli spolem aż do śmierci.

polska

## O złotej dziewczynie, która wzięła się z jajka

W dawnych czasach, w jakimś angielskim mieście, żył pewien król, który miał tylko jednego syna, imieniem Senpeter. Gdy już dorósł do żeniaczki, powiedział ojcu, że chce taką żonę, jakiej nigdy jeszcze nie było ani pod słońcem, ani przy księżycu, ani na wietrze, ani pod gwiazdzistym niebem. Takiej to właśnie żony chce poszukać. Uprosił u ojca jednego pachółka na towarzysza i razem ruszyli w świat.

Wędrowali przez góry, przez doliny. Pewnego dnia na szczycie jakiejś góry spotkali staruszkę.

- Dobry wieczór, babuleńko!

- Szczęść Boże! Weź ten tu widelec i podeprzyj mi powieki, żebym mogła zobaczyć, coś ty za jeden. Witaj, Senpetrze z Anglii! Czego ci trzeba?

- Proszę cię, babuleńko, powiedz mi, czy znasz taką dziewczynę, jakiej nigdy jeszcze nie było ani pod słońcem, ani przy księżycu, ani pod gwiazdzistym niebem? Takiej właśnie szukam na żonę.

- Jaśnie królewiczu, nie wiem ja o takiej, wie natomiast moja siostra, którą znajdziesz na sąsiednim szczycie góry. Ona powie ci, co masz czynić.

Powędrowali dalej, a wieczorem byli już u celu.

- Dobry wieczór, babuleńko!

- Szczęść Boże! Skąd jesteście? Weź ten tu widelec i podeprzyj mi powieki! A, witam, witam, Senpetrze!

- Babuleńko, czy słyszałaś coś o takiej dziewczynie, jakiej nigdy jeszcze nie było pod słońcem, nigdy przy księżycu, nigdy pod gwiazdzistym niebem i jakiej nigdy jeszcze nie owiał wiatr?

- Wiem, moje dzieci! Niedaleko stąd na łące stoi krzywa wierzba, pod tą wierzba siedzi kura, a pod tą kurą są trzy jajka. Kto o dwunastej godzinie weźmie stamtąd jedno z tych jajek, zdobędzie piękną złotą dziewczynę.

Nie zwlekając poszli do owej kury. O dwunastej godzinie królewicz wziął jedno jajko, zaś jego sługa zabrał pozostałe dwa. Kura poderwała się i zaczęła pędzić za nimi zionąc ogniem, tak że musieli uciekać, co sił w nogach. Gdy już znaleźli się u owej staruszki, dała im taką radę:

- Mój synu, jak zajdziesz do wytwornej gospody, zamów trzysta różnych potraw. Jeśli ich tyle właśnie nie będzie, wszystko na nic, dziewczyna umrze i nie będziesz jej miał.

Znowu szli, przez góry i doliny, aż przyszli do pewnego miasta, gdzie była wytworna gospoda. Królewicz polecił towarzyszowi:

- Wejdz i spytaj, czy moglibyśmy dostać trzysta potraw!

Oberżysta powiedział, że tak. Gdy już przygotował potrawy, zawołał królewicza:

- Wszystko gotowe - według życzenia!

Wtedy królewicz sięgnął do woreczka i wyciągnął jajko, potem chwycił nóż i rozkroił je. Z jajka wyskoczyła dziewczyna, cała złota, od stóp do głów. Obejrzała jedzenie, ale brakowało dwudziestu potraw. Padła nieżywa. Królewicz z przerażenia nie wiedział, co robić. Dobył szabli, jego towarzysz chwycił bagnet, podważyli deski u podłogi i tam złożyli dziewczynę. Potem szybko opuścili gospodę.

- Przyjacielu, wracam! Tam, u kury, zostały jeszcze dwa jajka, wezmę jedno, choćbym miał to życiem przyplącić! - rzekł królewicz.

- A ja nie idę - odparł towarzysz - bo to jajko mam tutaj! Ale dam ci je dopiero wtedy, jak będziemy w innym kraju.

- Pokaż, nie wierzę! - nalegał królewicz.

I towarzysz pokazał mu jajko.

Znowu wędrowali, przez góry, przez doliny, aż przyszli do innego kraju, gdzie w pewnym dużym mieście znaleźli piękną gospodę.

- Panie gospodarzu, dostaniemy tu trzysta potraw? Tylko każda musi być inna!

Oberżysta powiedział, że dostaną. Zaraz zabrał się do roboty, sprowadził wiele kucharek i przygotował jedzenie. Gdy było już gotowe, zestawił mnóstwo stołów, bo myślał, że tu przyjdzie jeść cała armia. Po wniesieniu potraw oznajmił:

- Wszystko gotowe!

Królewicz przyjrzał się, istotnie było tego dużo.

- Rozbijmy jajko!

A gdy towarzysz nie sprzeciwił się, wziął nóż i rozkroił je. Wyskoczyła znowu złota dziewczyna, od której w całej gospodzie pojaśniało jak od blasku ognia. Rozejrzała się i stwierdziła, że brakuje dziesięciu potraw. Padła nieżywa. Jak za pierwszym razem, tak samo i teraz złożyli dziewczynę pod podłogę. Królewicz był smutny i płakał. Gdy już się uspokoił, towarzysz odezwał się:

- Nie płacz, jest jeszcze jedno jajko, ale to ostatnie jajko dam ci dopiero, jak będziemy w naszym kraju.

I znów udali się w dalszą drogę. Gdy już znaleźli się we własnym kraju, przybyli do pewnego miasta. Towarzysz szybko odszukał gospodę.

- Panie gospodarzu, czy moglibyśmy dostać trzysta potraw, ale każdą inną?

- Wedle mnie, nawet czterysta i, oczywiście, każdą inną!

Oberżysta zabrał się do warzenia potraw, a królewicz i jego towarzysz zasiedli przy stole. Gdy już jedzenie było gotowe, ustawiono na długich stołach talerze, a każdy z inną potrawą.

- Czy to jest wszystko? - chciał się upewnić królewicz.

- Wszystko!

- Rozbij teraz jajko, mój przyjacielu - zwrócił się królewicz do towarzysza. Ten stłukł jajko i znowu wyskoczyła z niego złota dziewczyna. A taki blask bił od niej, że pojaśniało w całej gospodzie.

Dziewczyna zbliżyła się do królewicza, objęła go i powiedziała:

- Jestem twoja do śmierci!

Potem wzięła łyżkę i kosztowała z każdej potrawy. Królewicz był bardzo szczęśliwy, że wreszcie zdobył piękną, złotą księżniczkę. Teraz już we troje ruszyli do domu. Był to ostatni dzień ich wędrówki. Po drodze wstąpili na krótki odpoczynek do królewskiego dzierżawcy. Poprosili o mleko, masło i chleb. Po posiłku wyszli do ogrodu trochę odpocząć, bo było bardzo gorąco. Królewicz i jego towarzysz położyli się w cieniu jabłoni i obaj zasnęli. Zaś do złotej księżniczki, która nie spała, podeszła dzierżawczyni i powiedziała:

- Łaskawa księżniczko! Czy nie zechciałabyś obejrzeć naszych pięknych kwiatów w ogrodzie?

Dziewczyna zgodziła się i poszła z ową kobietą. Gdy zbliżyły się do studni, dziewczę spytało:

- Co to jest?

- To jest głęboka studnia. Gdy jedno wiadro schodzi na dno, drugie idzie w górę - objaśniała kobieta.

Księżniczka spojrzała w wodę i w tym momencie dzierżawczyni zepchnęła ją do studni. Złota dziewczyna jednak nie utonęła lecz zamieniła się w złotą rybkę.

A co z dzierżawczynią?

Stała się bardzo bogata, szybko ustroiła własną córkę w kosztowne szaty i posadziła ją przy królewczu w ogrodzie. On jednak nie domyślił się niczego, tylko jego sługa od razu spostrzegł, że to nie była owa dziewczyna z jajka. Bał się jednak powiedzieć o tym swemu panu.

Potem udali się razem w drogę i przyszli do domu, do ojca. Królewicz poślubił dziewczynę, i po siedmiu latach mieli już trzyletniego synka.

Zostawmy ich teraz i wróćmy do studni.

Pewnego dnia król zapragnął z tej właśnie studni napić się wody, bo była chłodna i zdrowa.

Posłał po nią owego młodzieńca. No, i jedno wiadro w dół, drugie w górę, i gdy wyciągnął spuszczone wiadro, wraz z wodą złapała się w nie złota rybka. A była to właśnie złota dziewczyna!

Że zaś nikt dotąd jeszcze nie widział takiej ryby, postanowiono upiec ją królowi.

Ryba była już oskrobana z łuski, gdy do kuchni weszła dzierżawczyni, która teraz opiekowała się dzieckiem królewicza i swej córki. Zaczęła krzyżeć, że każdy, kto skosztuje tej ryby, umrze. Chwycili więc rybę i wrzucili ją w ogień, a razem z nią wszystkie łuski, jakie tylko

zostały po oskrobaniu - oprócz jednej, która spadła na podłogę i schowała się w szparze między deskami.

Nazajutrz przy zamiataniu kuchni chłopak zgarnął ją do śmieci i razem z nimi wyrzucił na gnój. Następnego dnia urosła tam piękna grusza z cudownymi złotymi gruszkami.

Gdy stary król wstał i zobaczył przez okno, że cały jego dwór tonie w jasnym blasku, ucieszył się, że wyrosło na jego dworze takie piękne drzewo.

Ale dzierżawczyni też je zobaczyła. Bardzo przerażona powiedziała do córki:

- Jeśli nie zetniemy tej gruszy, koniec z nami, bo to jest ta właśnie dziewczyna, którą zepchnęłam do studni!

Rozkazały żołnierzom natychmiast ściąć i spalić gruszę. Wtem zerwał się wiatr i jeden wiórek wyfrunął poza bramę i zamienił się tam w mały, złoty krzyżyk.

Wkrótce potem przechodziła tamtędy pewna stara, uboga kobieta, wracając z kościoła.

Spostrzegła krzyżyk na drodze, podniosła go, wzięła ze sobą do domu i powiesiła go na gwoździu. W tym momencie usłyszała głos:

- Ach, matulu, jestem bardzo głodna, już siedem lat nic nie jadłam!

Kobieta przerażiła się, nie wiedząc kto to powiedział. Obróciwszy się zobaczyła przed sobą złotą dziewczynę, która tak do niej powiedziała:

- Matulu kochana, za to, że znowu ożyłam, będę w przyszłości troszczyć się o ciebie, daj mi tylko coś do zjedzenia!

Kobieta miała tylko jedno ugotowane jajko i to jajko zjadły obie.

Potem dziewczyna powiedziała:

- Matulu, chcę zarobić trochę grosza, pošlij mnie do fabryki!

Tak się też stało. Kobieta owinęła dziewczynie głowę mizerną chuścina i ubrała ją w stare suknie.

A tego właśnie dnia, gdy pierwszy dzień była w pracy, przyszedł królewicz obejrzeć sobie fabrykę. Zatrzymał się przy niej i z ciekawością zapytał:

- Miła, śliczna dziewczyno, skąd się tu wzięłaś? Takiej urody jeszcze nigdy nie widziałem!

Powinnaś tylko zdjąć chustkę z głowy!

- Nie zrobię tego, mam na głowie strupy! - powiedziała, bo nie chciała, żeby się wydało, że jest złotą księżniczką.

Następnego dnia królewicz przyszedł znowu i od razu skierował się ku niej:

- Miła, śliczna dziewczyno, co ci się śniło?

- Ach, co mi się śniło? Kto by poznał mój sen, zapłakałby, ale co tu opowiadać, to jest zbyt długi sen... Razu pewnego młodzieniec oznajmił swemu ojcu, że pojmie tylko taką za żonę, jakiej nigdy nie było pod słońcem, nigdy przy księżycu, nigdy na wietrze, i nigdy pod gwiaździstym niebem, tak, taką, która nawet się nie urodziła! Przeraził się stary ojciec, bowiem obawiał się, że jeśli syn pójdzie szukać takiej dziewczyny, już nigdy nie wróci...

Królewicz wysłuchawszy tego rzekł:

- Och, dziewczyno, to był piękny sen o mnie! Mów dalej!

- ...Tak się stało, że jednak zdobył tę wspaniałą dziewczynę - jedyną, drugiej takiej nie było na świecie - ale nie potrafił jej uchronić...

Potem opowiedziała mu jednak wszystko co się jej przydarzyło, ale tak, jakby to był sen. W ten sposób poznał królewicz jej życie i swoją własną historię ożenku. Teraz dopiero przejrzał, że to ona jest jego prawdziwą żoną. Wziął ją na ręce i zaniósł do pałacu.

Nazajutrz przywołał tę fałszywą żonę i zasiadł z nią przy stole. Także jej matkę kazał sprowadzić. Potem zwołał dwudziestu czterech doradców i zapytał:

- Na co by zasłużył ktoś, kto by nas dwoje rozdzielił? - Wskazał przy tym na siebie i siedzącą obok żonę.

Ta odparła, że taki ktoś zasłużyłby na to, żeby go posadzić na żelaznym rozżarzonym koniu i przepędzić. Tak powinien by zginąć ów niegodziwiec!

Na to królewicz:

- Jak postanowiłaś, tak niech się stanie!

Żołnierze pochwycili i wyprowadzili fałszywą żonę i jej matkę. Potem królewicz przyprowadził z chatki nie opodal swoją prawdziwą małżonkę, co to siedem długich lat musiała czekać na niego.

Jej cudna uroda radowała każdego, kto tylko spojrzał na nią.

słowacka

Bajka o zaczarowanym szczupaku

Była pewna macocha, która miała córkę i pasierbicę, Kachnę. I, jak to zwykle bywa, swojej córce dogadzała, a pasierbicy nie lubiła. Ta zaś za panią matką również Kachnie dokuczała. Pewnego razu mówi macocha do tej sieroty:

- Weź zaraz kosze, idź do rzeki, nałap ryb, a pamiętaj, żebyś wróciła nim słońko zajdzie, bo jak nie, to mnie popamiętasz!

A tam niedaleko za wsią płynęła rzeka. Poszła dziewczyna nad rzekę, płacze, bo nie wie, jak tych ryb nałapać, aż tu z wody wygląda szczupak.

Łuska na nim błyszczący, ludzkim głosem pyta:

- Czemu płaczesz?

Kachna wszystko opowiedziała o macosze i płacze dalej. On na to:

- Przestań płakać, połóż się i zaśnij. Pomogę ci w kłopotcie, bo wiem o tobie, że jesteś dobra dla wszystkiego stworzenia. Nie wolno ci tylko nikomu mówić o tej pomocy.

Kachna położyła się pod lipą i usnęła, a jak się obudziła, widzi, że jej kosze są już pełne ryb. Sama sobie nie wierząc, podeszła do pierwszego kosza; dotknęła go, a kosz zaraz sam poszedł w stronę Kasinej chałupy. Dotknęła drugiego i trzeciego - to samo. Macocha akurat wyglądała oknem; jak zobaczyła, co się dzieje, wpadła w złość i woła:

- Toś ty taka mądra?! A kto ci ryby dał?

Ale Kachna nic na to.

Macocha znów dała jej robotę:

- Włóż teraz w te kosze brudną bieliznę, idź do wody, upierz, wysusz, wymagluj! Masz na to czas do wieczora, nim słońko zajdzie, żebyś mi tu była z powrotem.

Dziewczyna zabrała kosze nad rzekę i pierze, a tu znów wychodzi z wody ten sam szczupak i pyta:

- Czemu płaczesz?

Kachna opowiedziała mu i płacze dalej. Szczupak mówi:

- Przestań płakać, połóż się i śpij!

Kachna położyła się pod lipą i zasnęła, a kiedy się obudziła, patrzy - bielizna czysta, równo poskładana i wymaglowana leży już w koszach. Dotknęła ręką jednego kosza, drugiego i zaraz wszystkie same powędrowały do chałupy.

Macocha stała na progu; jak zobaczyła upraną bieliznę, zakipiła od złości i tak powiada:

- Masz tu dziurawą łyżkę, idź do rzeki i nie wracaj prędzej do domu, dopóki tą łyżką nie nabierzesz pełnej konewki wody.

Co było robić? Wzięła łyżkę i konewkę, idzie nad rzekę i płacze. Ale macocha była ciekawa, kto tam Kachnie pomaga, wybiegła z chałupy i po cichu skrada się za dziewczyną, żeby na własne oczy zobaczyć, co też się tam będzie działo.

Jak dziewczyna zaczęła dziurawą łyżką nabierać wody do tej konewki i nisko się schyliła, wtedy macocha podeszła do niej z tyłu i chciała strącić ją do rzeki. W tej chwili szczupak jednym susem wyskoczył z wody i popchnął babę, że sama wpadła do głębi. Szczupak strząsnął z siebie łuskę i przemienił się w ślicznego królewicza.

Potem ożenił się z Kachną, wyprawili wspaniałe wesele i żyli długo i szczęśliwie.



polska

## O bracie-baranku i dziewczynie zaklętej w kaczkę

Było dwoje dzieci, Jaś i Marysia. Gdy im umarła matka, ojciec ożenił się drugi raz; ale macocha ciągle dzieciom dokuczała, wyrzekała na nie, nie dawała jeść i chciała pozbyć się ich z domu. Ojciec bardzo się tym trapił i umyślił sobie, że najlepiej będzie, jak wyprowadzi je do lasu, może znajdzie się ktoś, kto się nimi zaopiekuje lepiej niż macocha.

Jak sobie pomyślał, tak i zrobił. Jednego dnia powiada:

- Chodźcie, dzieci, pójdziemy do lasu. Ja będę rąbać drzewo, a wy będziecie zbierać wiórki, i pomożecie mi.

Wziął siekierę, piłę, wystrugał też umyślnie dużą pałkę i poszli. Zaprowadził ich głęboko w las, kazał im usiąść na pniaku, dał im po kromeczce czarnego chleba z masłem i tak mówi:

- Siedźcie tu sobie, a żeby wam się nie przykrzyło, macie chleb, jedzcie sobie i czekajcie na mnie. Ja idę niedaleczko rąbać drzewo, a jak urąbię, to was zawołam. Wtedy przyjdziecie zbierać wiórki.

I poszedł. Za chwilę słyszą dzieci, jak coś w lesie stuka „stuk, stuk”, jakby kto rąbał drzewo. Myślały, że to ojciec drzewo rąbie i siedziały, czekając aż ich zawoła. Czekają całą godzinę, czekają dwie, a tu nic, ojca jakoś nie widać. Marysia mówi przerażona do Jasia:

- Wiesz ty, Jasiu, co? Ja się boję.

- Nie bój się, chodź pójdziemy szukać taty.

Wstali i idą za głosem tego stukania. Przyszli pod to drzewo, skąd dochodził stuk, patrzą, a to pałka, którą ojciec wziął z sobą, stuka o gałęzie i nikogo nie ma.

- Rety, Maryś, będzie trzeba spać w lesie, bo nas tato zostawił i o nas zapomniał!

Marysia zaczęła płakać, ale Jaś ją pocieszał:

- Nie bój się, Maryś, miesiącek świeci, widno, chodźmy dalej, nic nam się nie stanie.

I poszli. Wędrowali całą noc lasem i nic im się nie stało, nawet żadne o kamień się nie potknęło. Nad ranem, jak się zaczęło trochę rozwidniać, wyszli z lasu na pole.

- Wiesz co, Maryś - mówi Jaś - jeść mi się chce!

- Cóż ci dam, kiedy nic nie mam - siostra na to.

Idą dalej, i przyszedli nad wodę, nad płytką sadzawkę. - Wiesz co, Maryś, pić mi się chce - rzekł Jaś.

Siostra na to:

- Popatrz, widzisz? W wodzie leży barani rożek, sięgnij po niego i napij się z niego wody.

Jaś wyciągnął go i napił się z niego, i w tejże chwili stał się barankiem, bo ten rożek był zaczarowany. Marysia widząc to rozplakała się, bo się go wystraszyła. On jednak rzekł:

- Nie bój się, siostrzyczko, będę zawsze przy tobie, tak jak dotąd i żadna zła przygoda cię nie spotka.

Marysia przestała się bać i znów szli razem. Zaszli na łąkę, a na tej łące stała kopa siana. A że byli bardzo zmęczeni, zagrzebali się w to siano, położyli się i zasnęli. Przespali tak cały dzień i całą noc, obudzili się dopiero, gdy już słońce było wysoko na niebie.

Właśnie wtedy przejeżdżał tamtędy, drogą koło tej łąki, jakiś bogaty pan. Wtem z jego powozu wyskoczył pies, pognął wprost ku tej kopie siana i zaczął okropnie ujadać. Pana zastanowiło to, kazał furmanowi zatrzymać powóz i zobaczyć, co też tam może być.

Furman poszedł, ale obejrzał siano tylko z wierzchu, wrócił i mówi:

- E, nic nie ma, co by tam było.

Pies jednak nie przestawał szczekać, więc pan poszedł sam, popatrzył i znalazł dziewczynkę z barankiem. Spytał ją, kim jest i skąd, i co za jedna, co tu robi. Marysia na to:

- Tatuś wyprowadził nas do lasu i zostawił, bo w domu macocha bardzo nas biła.

Opowiedziała mu również o swoim braciszku i o baranim rożku, a że spodobała się bardzo panu, wziął ją z sobą do dworu, bo była ładna, a przy tym i przymilna, i mądra. Pozostała u niego we dworze, a gdy wyrosła, pan powiedział, że chciałby, żeby została jego żoną. Ale ona odparła:

- Jestem, panie, tylko biedną dziewczyną, znalazłeś mnie przecie na sianie. Nie mógłbyś to poszukać sobie lepszej żony?

Ale on nie zważał na nic i ożenił się z Marysią. Po jakimś czasie urodził im się synek. A w tym dworze była kucharka i jej córka, w tym samym wieku co Marysia. Kucharka bardzo chciała, żeby pan wziął za żonę jej córkę, zazdrościła młodej pani, a że przy tym była czarownicą, więc postanowiła postawić na swoim.

Pewnego razu, gdy Marysia leżała chora w łóżku, kucharka podeszła do niej i wbiła jej szpilkę w ucho, tak że pani zmieniła się zaraz w kaczkę i wyfrunęła oknem na staw. Czarownica położyła swoją córkę w łóżku na miejsce Marysi i zrobiła tak, że z twarzy była całkiem podobna do Marysi.

Pan przyszedł, zastał w łóżku chorą; twarz niby ta sama, ale z jej grymasów i z mowy zaraz poznał, że to nie jest jego żona, że coś się musiało tu stać, tylko że tak naprędce trudno mu było dojść do tego, co by to mogło być. Nic jednak nie mówił.

A baranek, który dawniej siedział wciąż przy siostrze, teraz siadł przy kołysce i pilnował dziecka.

Któregoś dnia pan zauważył, że baranek bierze dziecko na rogi i niesie nad staw; nie zdziwił się temu zbytnio, bo i dawniej baranek brał nieraz małego na rogi i bawił się z nim. Baranek tymczasem przyszedł nad staw i woła:

- Maryś, Maryś, chodź, bo dzieciątko płacze!

Kaczka wyszła z wody, zamieniła się w kobietę i nakarmiła dziecko, potem wróciła do stawu i znów stała się kaczką. Baranek przyniósł synka z powrotem, jak gdyby nigdy nic, a gdy pan go spytał, gdzie był, powiedział, że poszedł z dzieckiem pod topolę, bo tam chłód i świeże powietrze.

Pan nic już więcej nie powiedział, ale do tej zmienionej żony prawie wcale się nie odzywał. Czarownica zauważyła, że pan jakby coś podejrzewał, ale nie traciła nadziei, że wszystko będzie dobrze i że nikt nie pozna się na tym, co się stało. Baranek tymczasem codziennie chodził z dzieckiem nad staw, matka co dzień karmiła swego synka, aż wreszcie panu podpadło: po co ten baranek ciągle zabiera dziecko nad wodę. W tym coś musi być!

Pewnego razu zaczął się niedaleko nad stawem i, ukryty za drzewem, wypatrzył, jak matka wypływa do synka i jak potem znów przybiera postać kaczki i wraca do wody. Myśli, co by tu zrobić. Wreszcie kazał zabić wołu i zdjąć z niego skórę. Nazajutrz włożył tę skórę na siebie i niby to pasł się nad stawem, ale uważał i czekał. Baranek znów przyszedł z dzieckiem i woła:

- Maryś, chodź, bo dzieciątko płacze!

Kaczka znów wypłynęła, stała się kobietą i wzięła dziecko na rękę. Wtedy pan zrzucił z siebie skórę, skoczył, schwycił ją i od razu wyrwał szpilkę zza ucha Marysi. Potem udali się razem do domu.

Marysia opowiedziała mu wszystko o kucharce i swojej przygodzie. Pan kazał czarownicę i jej córkę stracić i odtąd żył już z żoną długo i szczęśliwie, zaś baranka zatrzymali na zawsze u siebie.

polska

O wężowym królu

Dawno temu żyła we wsi bardzo biedna kobieta, która miała trzy córki.

Wszystkie były ładne, ale najładniejsza była najmłodsza z nich, Helena.

Raz poszły dziewczęta kąpać się w stawie, a ubranie zostawiły na brzegu pod płotem. Gdy się wykapały, wyszły z wody, biegną się ubrać i patrzą, a tu na koszuli najmłodszej z nich siedzi wielki- wąż. Na głowie miał koronę, która świeciła jak słońce, choć to było w nocy. Starsze

siostry przelewały się, porwały swoje ubrania i uciekły do domu, najmłodsza zaś ze strachu schowała się do wody i nie wiedziała, co robić.

Odezwał się wąż ludzkim głosem:

- Nie bój się, nic złego ci nie zrobię! Czy chcesz być moją żoną?

Ona na to, przezwyciężywszy strach i wstręt:

- Chcę.

Wtedy wąż plusnął w wodę i znikł. Dziewczyna ubrała się, pobiegła do domu i opowiedziała wszystko matce i siostrze.

Na drugi dzień rano zajeżdża przed chatę złota karetka, zaprzężona w cztery konie, na koźle siedzi lokaj z wężową głową i woła do kobiety:

- Dawaj, matko, córkę!

Kobieta prędko ubrała najstarszą w piękną suknię i we wstążki i wsadziła do karety. Nie minęło pół godziny, karetka wraca, a w niej córka.

Matka pyta:

- No i co?

- A, nic, nie chciał mnie, ale dał mi sto dukatów.

Teraz matka kazała drugiej córce ubrać się i jechać. Ale i ta po pół godzinie wróciła i przywiozła matce sto dukatów. W końcu ubrała matka trzecią córkę, uczesała w warkocze, wplotła jej wstążki, na szyję włożyła korale, pocałowała i wsadziła do karety.

Niedługo jechali i karetka wtoczyła się w wodę, żelazne drzwi się otworzyły i wjechali w korytarz. Było tam jasno jak w dzień a dalej stał pałac, który błyszczał jak słońce. Przed nim był tron, a na tronie siedział król wężów w koronie na głowie. Naokoło kręciło się mnóstwo wężów i usługiwało mu. Król kazał dziewczynie siąść koło siebie i przedstawił ją wężom. Te zaraz zaczęły znosić miód, ryby, chleb, masło, mleko. Jedli obydwójce i Helena nic się nie bała. Potem król zszedł z tronu i oprowadził ją po całym pałacu, po różnych bardzo pięknych pokojach. Były tam złociste kanapy, krzesła i łóżka. W jednym z pokoi stały w kącie fajki. Król podszedł, wziął fajkę, nałożył tytoniu i zapalił.

Helenie bardzo się w pałacu podobało. Wiele rozmawiała z wężowym królem, który okazał się bardzo miłym i dobrym władcą. Każdy dzień starał się uczynić innym, podczas miłych zabaw dni prędko mijały.

Czas biegł i Helenie na niczym nie zbywało. Mieszkała tam już siedem lat i dochowała się synka. Chłopiec był ładny ale miał wężową twarz. Ojciec mówił, że odda mu po sobie panowanie.

W końcu Helena zatęskniła za domem i któregoś dnia mówi do męża:

- Wiesz co, siedem lat już nie widziałam matki, chciałabym do niej pojechać i pokazać jej naszego synka.

- No, to jedź, ale pamiętaj, że wolno ci tam być tylko przez noc i, zanim słońce pokaże się na niebie, musisz wracać do pałacu.

Gdy się ściemniło, siedli obydwój do karety i zajechali przed chatę. Matka bardzo ucieszyła się zobaczywszy córkę tak pięknie ubraną, i ślicznego wnuka. Częstowała chłopca, czym tylko mogła, ale on nic nie chciał jeść. Przed odjazdem tylko zostawił babce i obu ciotkom po sto dukatów, a gdy zaczęło nad ranem świtać, siadł z matką do karety i pojechali. Matka i obie starsze siostry widziały jeszcze, jak kareta wjechała w wodę, jak żelazne drzwi się otworzyły, a potem wszystko znikło.

polska

O chłopie, co szedł pytać się słońca, gdzie jego kura niesie jajka

Był raz chłop i baba, oboje starzy i bardzo biedni. Nie mieli nic, tylko małą chałupkę, maleńki chlewik i jedyną kurkę w oborze, o której nawet nie wiedzieli, gdzie im znosi jajka. Długo i wszędzie ich szukali, wreszcie chłop postanowił pójść i zapytać o to słońca. Myśleli tak: „Słonko wszędzie świeci, wszystko wie, może nam powie, gdzie nasza kura znosi jajka”.

Wybrał się chłop w drogę, idzie, idzie, a tu stoi sobie polna grusza i pyta go:

- Dokąd idziesz?

Chłop na to:

- Mam jedną kurę i nie wiem, gdzie mi ona znosi jajka; idę do słońca spytać je o to.

Grusza powiada:

- Ach, przyjacielu, spytajże tam i o mnie, spytaj. Kwitnę co roku, a nigdy nie mam owoców.

Chłop przyrzekł spytać o to słońca i idzie dalej, a tu w gaju stoi chałupa. Wszedł tam, prosi, żeby go przenocować. Gospodyni pyta:

- Dokądże to idziesz?

Chłop powiada:

- Mam jedną kurę i nie wiem, gdzie mi ona znosi jajka. Idę do słońca spytać je o to.

Prosi więc ta baba:

- Ach, przyjacielu, spytajże tam i o mnie, spytaj. Mam dwie córki, obie pracowite, urodziwe, a nie mogą wydać się za męża.

Nazajutrz chłop ruszył dalej w drogę, idzie, idzie, aż zaszedł nad wielką rzekę. Stanął i medytuje, jak by się tu dostać na drugi brzeg.

Wtem ryba wyjrzała z wody i pyta go:

- Dokąd idziesz, człowieku?

On jej na to:

- Mam jedną kurę i nie wiem, gdzie mi ona znosi jajka; idę do słoneczka spytać je o to.

Ryba powiada:

- Mój przyjacielu, spytajże tam i o mnie, spytaj. Inne ryby pływają, nurkują aż do dna rzeki, a ja wciąż pływam po wierzchu i nigdy nie mogę zejść na dno.

Chłop mówi:

- Przewieź mnie przez wodę, to się spytam.

Ryba go przewiozła, on jej podziękował i idzie dalej. Idzie, idzie, słoneczko grzeje coraz mocniej, coraz jaśniej, aż w końcu woła do niego:

- Nie podchodź tu, bo tu bliżej nie dojdiesz, tu tak gorąco, że spaliłbyś się! Ale ja wiem, po co ty idziesz do mnie. Słuchaj uważnie: kura znosi jajka na kalenicy, na szczycie dachu, ma tam już dwie kopy jaj; wracaj do domu i zabierz je sobie. Owa grusza, co cię prosiła, żebyś się dowiedział, dlaczego nie rodzi owocu, ma pod korzeniami zakopane pieniądze - dziesięć wozów. Jak tylko ktoś te pieniądze wykopie, owoce będą się rodzić. Dziewczyny nie mogą wydać się za męża, bo jak wynoszą z domu śmieci, to wyrzucają je na wprost słoneczka, a słońce tego nie lubi! Jak się zmieniają, to i mężów znajdują. Zaś ryba, co pytała, dlaczego nie może zejść na dno, pójdzie na spód, jak zje człowieka, ale nie mów jej tego od razu, dopiero wtedy, jak już przewiezie cię na drugi brzeg i jak już oddalisz się kawałek, boby cię zjadła. Teraz już wiesz wszystko.

Chłop pięknie podziękował słoneczku, uklonił się do ziemi i wraca. Idzie, idzie, przyszedł nad wodę, a tu ryba już na niego czeka.

Chłop mówi jej tak:

- Przewieź mnie na drugi brzeg, a jak już tam będę, to ci powiem, czego się dowiedziałem.

I ryba przewiozła go. Chłop oddaliwszy się kawałek woła:

- Musisz wpierw zjeść człowieka, wtedy pójdziesz na dno!

Ryba dała dzikiego susa za nim, ale on już był daleko. Mogła się tylko miotać w wodzie z wściekłości.

Potem przyszedł do chałupy w gaju, powiedział gospodyni, co mają robić jej córki, żeby dostały mężów. Kobieta bardzo się ucieszyła, chciała go jak najlepiej ugościć i czym obdarować, ale chłop za wszystko podziękował i ruszył dalej, bo mu się już śpieszyło do domu.

Idzie, idzie, doszedł do gruszy w polu. Wytłumaczył jej, co i jak, a ona prosi go, żeby sam koniecznie wydobyl ten skarb. Wykopał więc spod jej korzeni pieniądze i grusza z miejsca okryła się owocem. Chłop wziął konia i wóz, nabrał skarbów i wrócił do domu. Odtąd oboje z babą byli bogaci. Jajka od swojej kury też oczywiście znaleźli pod kalenicą.

polska

O dwu dziewczynach, złej i dobrej

Jednej dziewczynie źle było w domu. Macocha jej dokuczała, przyrodnia siostra miała zawsze ładne sukienki, a ona cierpiała biedę, nieraz była i głodna. Poszła kiedyś do lasu na jagody i zabłądziła. Chodzi po boru, ciemno już się robi, a tu drogi wcale nie widać; zaczęła płakać. Wtem idzie jakaś pani i pyta:

- Czego płaczesz? Nie znajdziesz tu drogi, już stąd nie wyjdiesz, ale może byś chciała iść do mnie na służbę?
- Czemu nie. Jeśli pani zechce mnie wziąć, chętnie pójdę.

I wzięła ją ta pani do siebie na służbę. Idą lasem i przyszły nad dużą rzekę. Pani mówi do niej:

- Przenieś mnie przez wodę.
- Bardzo chętnie, jeśli tylko uniosę.
- Na pewno uniesiesz.

Dziewczę wzięło tę panią i niesie, ale pani była leciutka jak piórko, że jak dziewczyna weszła do wody, to nie tonęła. Przeszły przez rzekę i zaszły do domku tej pani, a tam prócz dwóch piesków i dwóch kotków nie było więcej nikogo.

Pani kazała gotować jedzenie. Dała dziewczynie jedno ziarno grochu i jedno ziarno jęczmiennej kaszy. Dziewczę zdziwiło się, ale bez sprzeciwu zrobiło, co jej kazano. Gotuje to jedno ziarno grochu i jedno kaszy, patrzy, a z tych dwu ziarenek zrobiły się pełne garnki. Potem powiada pani tak:

- Nic tu nie będziesz innego robić, tylko gotować i zmywać garnki, czesać pieski i kotki, i dawać im jeść.

Dziewczyna była bardzo dobra dla zwierzątek, doglądała ich i dogadzała im, jak mogła, nawet jeśli pani kazała: „kotku, idź, zawrzyj okiennice” - wtedy ona szła i robiła to za kotka czy pieska, spełniając za nich każdą posługę.

Tak przebyła u tej pani rok. Po roku mówi jej pani:

- Wiernie służyłaś mi przez cały czas, teraz możesz wracać do domu. W nagrodę możesz sobie wziąć, co zechcesz.

Pieski i kotki podpowiedziały jej, żeby wzięła sobie najbrzydszą skrzynię z komory, więc ona poprosiła o taką najbrzydszą skrzynię. Pani dała jej tę skrzynię, ale powiada:

- Skrzynia ciężka, do domu daleko, a i drogi nie znasz, zaprzężemy pieski i kotki, niech cię odwiozą.

Pieski i kotki wiozły skrzynię i tak wciąż mówiły:

Przed nią brzęk, za nią brzęk, a we środku złota pęk!

Wreszcie zajechali przed dom. Jak macocha zobaczyła taki dziwny zaprzęg i taką brzydką skrzynię, dalejże w śmiech:

- Jaką też ta dziewczyna dostała paskudną skrzynię!

Ale gdy skrzynię otwarli, okazało się, że była pełna złota i rozmaitych pięknych ubrań.

Bardzo zazdrościli dziewczynie tych bogactw; nie trwało długo i macocha kazała swojej córce wziąć dzbanek, iść do lasu na jagody i głośno płakać.

Poszła teraz ta druga do lasu. Chodzi po lesie, płacze, aż tu idzie ta sama pani i pyta:

- Czego płaczesz? Stąd już nie wyjdiesz, bo tu nie ma żadnej drogi, ale jeśli chcesz, to chodź do mnie na służbę.

- Czemu nie, pójdę.

I poszły razem. Szły przez las i napotkały rzekę.

- Przenieś mnie przez wodę - mówi ta pani.

Dziewczyna na to:

- Nie przeniosę, bo pani jest za ciężka, boję się też, żebym się nie utopiła!

Weszły w wodę. Pani szła suchą nogą, ale dziewczyna zaczęła tonąć. Wtedy pani podała jej laskę i dopiero tak wyciągnęła ją z wody.

Jak przyszły do domu, pani kazała jej zgotować jeść. Dała jej jedno ziarno grochu i jedno ziarno kaszy, ale dziewczyna odparła opryskliwie, że to mało:

- Co z tego ma być?! Tego nawet dla kota nie starczy!

Pani dała jej więcej ziarenek, ale gdy zaczęła je gotować, zrobiło się tego tak dużo w garnkach, że kipiało bez końca, wreszcie było tego prawie po pułap.

Innym razem kazała pani pieskowi zawrzeć okno. Piesek prosi dziewczynę, żeby zrobiła to za niego. Ale ona odmówiła:

- Komu kazali, ten niech idzie!

I tak było ciągle. Psy i koty wychudły, aż całkiem zbiedniały. Wreszcie minął rok. Pani powiada:

- Rok już minął jak tu jesteś, teraz musisz już iść. Jakiej chcesz nagrody za twoją służbę?



Ona mówi, że chciałaby skrzynię, ale nie byle jaką, tylko najładniejszą.  
- Dobrze, ale sama pewnie jej nie uniesiesz, zaprzęgnij kotki i pieski, to cię odwiozą.

Zaprzęgła i pojechała, a zwierzątka wciąż powtarzały w drodze:

Przed nią brzęk,  
za nią brzęk,  
a we środku gadów pęk!

Gdy stanęli na miejscu, macocha czekała już przed domem, uradowana, że jej córka taka mądra, że taką piękną skrzynię pełną bogactwa wiezie. Czym prędzej otwiera skrzynię, a tu w niej same żmije, jaszczurki i węże. Chciała uciekać, ale gady ją obstąpiły, powłaziły na nią i zjadły.

Koniec, już po niej.

polska

O pięknej i brzydkiej dziewczynie

Był sobie bogaty wdowiec, który miał piękną córkę. Niedaleko nich mieszkała biedna wdowa z brzydką córką. Wdowiec pojął ją za żonę. Ale od tej chwili dziewczęciu nie wiodło się dobrze, bowiem macocha była zawistna o jej urodę.

Pewnego razu rzekła do męża:

- Postarałbyś się o jaką robotę dla swej córki!

Mąż posłuchał jej i znalazł dla córki pracę u gospodarza. A że droga była daleka, poszli oboje.

Gdy już tak szli jakąś godzinę, spotkali przy drodze świnię. Ta zawołała:

- Podrap mnie, dziewczynko, podrap mnie trochę! Gdy będziesz wracać, podaruję ci za to ślicznego prosiaczka!

Dziewczyna spełniła prośbę.

Godzinę później spotkali na drodze kobyłę. Ta rzekła:

- Oczyszć mnie, dziewczynko, oczyszć mnie troszkę! Gdy będziesz wracać, podaruję ci za to źrebaczka!

Dziewczyna spełniła i tę prośbę.

I znowu, po godzinie drogi, ujrzeni w ogrodzie jabłoń. Jabłoń mówiła:

- Potrząśnij mną, potrząśnij! Gdy będziesz wracać, podaruję ci za to pełny fartuszek pięknych, czerwonych jabłek!

Dziewczę spełniło prośbę i potrząsnęło jabłonią.

Po godzinie drogi napotkali gromadkę dziewcząt, zajętych przy stawie płukaniem płótna.

- Pomóż nam w pracy, mamy jeszcze tyle roboty! Gdy będziesz wracać, otrzymasz od nas skrzynię pełną płótna! - prosiły.

Dziewczyna pomogła im.

Niedługo potem przyszedli do zagrody, gdzie miała pracować.

Gospodarz zapytał:

- Z kim chcesz spożywać posiłki: z psami i kotami, czy z ludźmi?

- Z psami i kotami!

Psy i koty dostawały tutaj bułeczki z mlekiem, natomiast ludzie - tylko suchy chleb.

- A gdzie chcesz sypiać? - zapytał gospodarz. - Z psami i kotami, czy z ludźmi?

- Ach, zostanę z psami i kotami.

A te spały w miękkich łóżkach, zaś ludzie - na twardych ławach.

Po roku służby zapytał gospodarz:

- Jaką skrzynię chcesz za swoją pracę: nową, czy starą?

- Wolałabym starą - rzekła dziewczę.

W starej skrzyni było pełno srebra i złota, a w nowej zaś tylko węże i ropuchy.

Dziewczyna powędrowała do domu.

W drodze spotkała dziewczęta, którym kiedyś pomogła. Dostała od nich skrzynię pełną najpiękniejszego płótna.

Potem przyszedła do jabłoni, którą kiedyś otrząsnęła, i tutaj dostała pełny fartuszek czerwonych jabłek.

Z kolei kobyła obdarowała ją żrebakiem, a świnia prosięciem.

I tak, idąc, wkrótce była już w swoich stronach. Macocha już z daleka ujrziała idącą dziewczynę. Rozkazała kogutowi:

- Wskocz na dach i zapiej: „Nasz brudas wraca do domu niesie same węże i ropuchy!”

Kogut wskoczył na dach i zapiał:

- Kukuryku! Nasza panienska wraca ze skrzynią pełną srebra i złota!

Rozzłościło to macochę. Złapała koguta i zabiła go.

Ale on jednak miał rację...

Gdy dziewczę weszło do izby i pokazało otrzymane bogactwa, macocha bardzo się zdziwiła i rzekła do męża:

- Zaprowadź również i moją córkę do tego gospodarza!

Tak też się stało.

Po jakiejś godzinie dziewczyna ujrzała na drodze świnię, która prosiła:

- Ach, podrap mnie, dziewczynko, podrap mnie troszkę! Gdy będziesz wracać, podaruję ci za to ślicznego prosiaczka!

- Głupie zwierzę - odparła dziewczyna - podrap się samo!

I poszła dalej.

W godzinę później spotkała kobyłę. Ta rzekła:

- Oczyszć mnie, dziewczę, oczyszć mnie troszkę! Gdy będziesz wracać, podaruję ci za to źrebaczka!

- Głupie bydło! - odparła dziewczyna - oczyszć się samo!

I poszła dalej.

Po godzinie drogi przechodziła koło ogrodu, gdzie stała jabłoń. Jabłoń wołała:

- Potrząśnij mną, potrząśnij! Gdy będziesz wracać, podaruję ci za to fartuszek pełen czerwonych jablek!

- Mam co innego do roboty niż potrząsanie starym drzewem - odparła i poszła dalej.

I znowu szła godzinę. Na koniec doszła nad staw, gdzie dziewczęta płukały płótno.

- Kochana - prosiły - pomóż nam wypłukać płótno, bardzo nam się śpieszy, a jeszcze tyle do roboty!

- Nie jestem taka głupia! - odparła dziewczyna i poszła dalej.

Wkrótce przyszła do gospodarza. Ten zapytał:

- Z kim wolisz spożywać posiłki: z psami i kotami, czy z ludźmi?

- Nie będę przecież jadła z tymi obrzydliwymi psami i kotami! Chcę siedzieć przy stole, z ludźmi! - odparła.

Ale ludzie dostawali tutaj suchy chleb, a psy i koty bułeczki z mlekiem.

- A gdzie chcesz spać: u psów i kotów, czy u ludzi? - pytał dalej gospodarz.

- Oczywiście, u ludzi! - odrzekła.

Ale ludzie spali na twardych ławach, natomiast psy i koty w miękkich łóżeczkach.

Gdy już minął rok służby, zapytał gospodarz:

- Jaką skrzynię chciałabyś dostać jako zapłatę: starą czy nową?

- No, przecież nie starą! - powiedziała dziewczyna.

Ale nowa skrzynia pełna była węzów i ropuch, zaś w starej było złoto i srebro.

Dziewczyna wyruszyła do domu.

Najpierw przyszła nad staw, gdzie dziewczęta płukały płótno. Dostała od nich potężne baty.

Jabłoń wychłostała ją gałęziami, kobyła kopnęła ją, a świnia ugryzła.

Przyszła do domu rozbita, obolała i kulawa.

Matka ujrzała ją już z daleka i rozkazała kogutowi:

- Wskocz na dach i zapiej: „Nasza piękna córka wraca do domu ze srebrem i złotem!”

Kogut wskoczył na dach i zapiał:

- Kukuryku! Nasz brudas wraca z węzami i ropuchami!

Gospodyni się rozzłościła, złapała koguta i zabiła go.

Ale on jednak miał rację!...

Łużycka

O dobrej betuszce i złej baruszce

Była pewnego razu biedna dziewczynka imieniem Betuszka, bardzo dzielna, i pracowita. Wieczorem zaganiała gąski z pastwiska do domu, w ręce trzymała gałązkę i tak sobie śpiewała:

- Hej, gąseczki, hej, kto dziś będzie ze mną spać?

Nagle wyskoczył zza muru jakiś człowieczek i zawołał:

- Ja, moja panienko!

- No, spróbuj przyjść - zażartowała Betuszka.

Zapędziła gąski do domu i najpierw zadbała o zwierzątka: gąskom dała wody, pieskowi nakruszyła chleba do kawy, kotkowi naląła mleka do miseczki, kogutkowi i kurce nasypała ziarenek, a dopiero potem pomyślała o sobie. Najadłszy się pozmywała naczynia, przygotowała sobie łóżko do spania, zamknęła lufcik i położyła się spać. O północy zapukał ktoś do okna:

- Kto tam?!

- Ja, panienko, człowieczek, otwórz!

Dobra rada złota warta. Tylko kto tu poradzi, co robić. No, chyba zwierzątka, bo kto lepiej?

- Gąski, piesku, kotku, kogutku, kurko, otworzyć?

- Tylko się nie śpiesz! - radziły. - Nie otwieraj mu, zanim nie nanosi sitem wody do kadzi.

Człowieczek nosił wodę, i nosił, ale nie dał rady. Wtem wybiła pierwsza i musiał wracać tam, skąd przyszedł.

Następnej nocy był znowu. Co teraz? Tym razem zwierzątka miały inną radę:

- Nie otwieraj mu, zanim nie pozbiera jagieł i maku aż do ostatniego ziarnka. Wczoraj Baruszka od sąsiadów w złości pomieszała jagły z makiem i rozsypała je w ogrodzie.

Jasne, że takiej pracy nikt nie zdoła wykonać w jednej chwili i do tego w nocy, gdy na krok nic nie widać. Nawet ów człowieczek! Wybiła pierwsza i znów musiał wrócić tam, skąd przyszedł.

Trzeciej nocy znowu: puk, puk w okienko. „Czy Betuszka otworzy?”

- Nie ma mowy, źle byś na tym wyszła! - ostrzegły zwierzątka.

- Nie otwieraj mu, zanim nie postawi ci nowej chatki, ładnej, wygodnej i przytulnej!

Człowieczek zabrał się do roboty, budował i budował, a gdy już pokrył dach gontami, wybiła pierwsza i znów musiał wrócić tam, skąd przyszedł.

Rankiem budzi się Betuszka: „Ho! ho! w takim ślicznym domku będzie się dobrze mieszkać!”

Ale i Baruszka się obudziła. Mieszkała sobie bogato, ale była zła i leniwa. Z zazdrości pobladła i szybko pobiegła do Betuszki:

- Kto zbudował ten nowy dom?

- Ach, ktoś tam, jakiś człowieczek. Jak pędziłam wieczorem gąski z pastwiska, śpiewałam sobie; wtedy on powiedział, że przyjdzie w nocy.

- Co ma ona, to i ja muszę mieć! - postanowiła Baruszka.

Późnym popołudniem popędziła dla pozoru gąski na pastwisko, ale wkrótce zawróciła z nimi do domu. Po drodze tak śpiewała:

- Hej, gąseczki, hej, kto dziś będzie ze mną spać?

Wtem zza muru wyskoczył człowieczek i zawołał:

- Ja, panienko!

- To przyjdź!

Baruszka zamknęła gąski, ale nie dała im wody. Także pieska, kotka, kogutka i kurkę zostawiła o głodzie, sama tylko porządnie się najadła i napiła. Nic też nie posprzątała w izbie, i poszła spać.

O północy puka ktoś do okna:

- Kto tam?!

- Ja, panienko, człowieczek!

„Wpuścić go?” - zastanawiała się Baruszka. Dla pewności spytała zwierzątek:

- Gąski, piesku, kotku, kogutku, kurko, otworzyć?

- Sama jadłaś, sama piłaś, teraz sama sobie radź!

I Baruszka otworzyła. Człowieczek wpadł do izby, porwał Baruszkę i uniósł ją z sobą. Od tego czasu nikt jej już więcej nie widział.

Może musi gdzieś służyć i uczyć się, jak być dobrą dla zwierząt i ludzi.

czeska

## O czerwonobrodym królu i złotowłosce

To, co wam teraz chcę opowiedzieć, zdarzyło się naprawdę! A działo się w owych dawnych czasach, kiedy... no, zobaczycie - bać się nie ma czego!

A zatem, co to było, i kiedy było?

Było to wtedy, gdy prosięta jeszcze chodziły w butach, żabki w czepkach na głowie, kiedy osły ostrogami brzęczały po ulicach, a zające same trąbiły chartom pobudkę. Hej! A jak dziewczętom dobrze się wiodło! Pieski zmywały za nie naczynia, kotki wycierały, gęsi izbę zamiatały, ryby prały bieliznę w strumyku, a raki ją płukały. Wtedy każde dziewczę mogło z założonymi rękami siedzieć przy ciepłym piecu i nie bać się, że nie będzie chodziło w czepku jako mężatka.

Ale nie martwcie się, dziewczęta! Prosięta znowu zaczną nosić buty, żaby założą czepki, a osły znowu będą pobrzękiwać ostrogami na ulicach. Jeszcze dojdzie do tego, że nie będziecie musiały zmywać naczyń, zamiatać izby i prać bielizny. Będziecie sobie siedzieć, i każdej z was dostanie się ten, kogo zapragnie jej serce, tak samo, jak to zdarzyło się dziewczynie zwanej Złotowłoską.

A teraz, jak to tam było z tą Złotowłoską?

To właśnie chcę wam opowiedzieć. Jeśli posłuchacie uważnie, wszystko pójdzie gładko. A zatem - słuchajcie!

W siedemdziesiątym siódmym kraju, za szklaną górą, za drewnianą skałą, za słupem ze słomy, żył pewien bogaty król, który miał jedyną córkę, Złotowłoskę. Jej loki błyszcząły jak złote słonko, w jej błękitnych oczach można się było przeglądać jak w zwierciadle. Starających się o jej rękę miała bez liku, ale wyjść nie chciała za żadnego. Najpiękniejszym z nich był król Czerwonobrody, i ojciec chętnie oddałby ją za niego. Ale cóż! Miał tak ogniście czerwoną brodę, że ilekroć na nią spojrzała, przechodziła jej ochota iść za niego. Na próżno ojciec ją namawiał, bo - choć miał czerwoną brodę - był jednak bogaty i pięknej urody. Ale Złotowłoska po prostu nie chciała, nie chciała ani tego, ani nikogo innego. Wreszcie ojciec powiedział: - Moja córko, nie zostaniesz mi tu w domu do późnej starości! Byłby to wielki wstyd! Jednego musisz wybrać, bierz kogo chcesz, masz przecie na każdym palcu z dziesięciu kandydatów!

Złotowłoska uprosiła sobie rok czasu do namysłu. Jak rok minie, wtedy powie, co postanowiła, kogo wybrała.

Któregoś dnia zawołała swoją pokojówkę:

- Chodź, uczesz mnie!

Pokojówka zaczęła ją czesać i - coś wyczesła! Co to mogło być? No, co też to takiego może być na głowie? - Wiesz! Złotowłosa nigdy dotąd jeszcze nie widziała czegoś takiego w swoich włosach. Zaczerwieniła się ze wstydu aż po same uszy, ale zaraz wpadła jej pewna myśl do głowy. Rzeka do pokojówki:

- Słuchaj! Nikomu o tym nie wolno ci pisać nawet słówkiem, bo będzie źle z tobą! A teraz, skoro już mamy to zwierzątko, które nam przecież nic nie zawiniło, zatrzymamy je.

Schowały wesz do szkatułki i karmiły ją, a wesz rosła. Gdy już była ogromna, kazały zdjąć z niej skórę i zrobić mały trzewiczek. Złotowłosa jeszcze raz przykazała służącej, żeby była głucha i niema, choćby nie wiem co się działo.

Tymczasem minął rok i ojciec kazał przywołać córkę. Miała mu powiedzieć, kogo sobie wybrała.

- Ojcie, wyjdę za tego, który zgadnie, z czego jest zrobiony ten oto trzewiczek. Najpierw niech zgadują książęta, a po nich, jeśli nie zgadną, to choćby i żebracy.

No, i stało się według jej woli. Najpierw przybyli książęta, a wśród nich także król Czerwonobrody. Nikt jednak nie potrafił zgadnąć, z czego jest zrobiony trzewiczek. Wtedy król kazał ogłosić, że da swoją córkę pierwszemu lepszemu żebrakowi, jeśli tylko odpowie na to pytanie. Poszli ludzie z całego świata, i też nie potrafili zgadnąć.

Król Czerwonobrody zastanawiał się tymczasem, co tu robić. Przekupił pokojówkę, obiecując jej górę pieniędzy, i ta zdradziła mu wreszcie tajemnicę.

Pewnego dnia przywłókł się pod bramę zamkową stary żebrak na lichym wózku z chudą szkapiną. Służba chciała go przepędzić, nie mając odwagi wpuścić na dziedziniec zamkowy takiego obszarpańca z jego wózkiem. Ale dziad nie dał się przepędzić i oznajmił, że przychodzi tu po narzeczoną, i że zaraz ją zabierze.

Tak się też stało. Żebrak raz tylko rzucił okiem na trzewiczek i powiedział, że jest to coś, co przedtem było na głowie, i nie powinno teraz służyć do noszenia na nogach.

Złotowłosa zaczerwieniła się aż po same uszy i prosiła, żeby tylko dalej nie mówił, woli już raczej pójść z nim.

- Kogoś wybrała, do tego należysz! - potwierdził ojciec.

Musiała ubrać się w zwykłe, proste suknie, a gdy odprawili ślub, żebrak posadził żonę na szkapinę i - wio, koniku! Biegnij, dopóki możesz, a jak padniesz - będzie drugi!

To były ostatnie słowa i - odjechali. Ludzie zbiegli się z wielkiej ciekawości, ale Złotowłosa zasłoniła sobie ze wstydu twarz.

Wlekli się tak i wlekli, aż przybyli na rozległe pola. Pasło się tam stado białych owiec.

Złotowłosa spytała:

- Hej, owczarzu, czyje to owce?

- A czyjeż by miały być?! - Króla Czerwonobrodego! To jest najbogatszy pan, a dobry, że drugiego takiego nie ma pod słońcem!

- O, ja biedna, nieszczęśliwa, gdzie miałam rozum odtrącając go! - westchnęła. - Wszystko to mogłoby być moje! Teraz wlokę się z tym mizernym dziadygą.

Pocłapali dalej i znaleźli się w szerokiej dolinie. Pasło się tam stado krów i baranów.

Złotowłosa spytała:

- Hej, pastuchy, czyje to bydło?

- A czyż by miało być?! - Króla Czerwonobrodego! To jest najbogatszy pan, i do tego dobry! Drugiego takiego nie ma pod słońcem!

- O, ja biedna, nieszczęśliwa, gdzie miałam rozum odtrącając go! - Wszystko to mogłoby być moje! Teraz wlokę się z tym mizernym dziadygą.

Znów ujechali kawałek drogi i znaleźli się w górach. A tam, na łące, biegało mnóstwo źrebiąt.

Złotowłosa spytała:

- Hej, pastuchy, czyje te źrebięta?

- A czyż by miały być?! Króla Czerwonobrodego! To jest najbogatszy pan, i do tego dobry! Drugiego takiego nie ma pod słońcem!

- O, ja biedna, nieszczęśliwa, gdzie miałam rozum odtrącając go! Mogłam być panią tego wszystkiego, a teraz wlokę się z tym mizernym dziadygą.

Gdy już minęli góry, przybyli do wielkiego miasta.

- Czyje to miasto? - znów spytała.

- Króla Czerwonobrodego! - wyjaśnił żebrak.

- Chyba tam mnie nie zaprowadzisz?

- Właśnie tam cię prowadzę, moja żonko! Tam, pod zamkiem, jest moja chata, tam będziemy mieszkać, i dobrze będzie nam się żyło! Ja pójdę żebrac, a ciebie pošlę do roboty na dniówkę. Ja przyniosę, co mi dobrzy ludzie dadzą, ty też coś niecoś zarobisz, i tak będziemy mieć co dnia dobrą wieszczę. Będziemy żyć jak dwa gołąbki na zielonej gałązce. Czy nie tak, duszko moja?

Złotowłosa zalała się łzami i nie mogła wykrztusić ani słowa. On jednak nic sobie z tego nie robił i wprowadził ją do chaty. Rychło rano obudził ją i rozkazał:

- Jak już mówiłem, idę na żebrzy, a ty pójdziesz na zamek. Jeszcze wczoraj wieczorem postarałem się tam o robotę dla ciebie. Będiesz w ogrodzie pielic len, to jest lekka praca. Ale powiadam ci: kilka marchwi i trochę pietruszki wsadzisz po kryjomu do torby. Nie wzdrygaj się! To należy do naszego rzemiosła. A teraz idź! Zamykam chatę, a wieczorem spodziewam się smacznej zupki z marchwi z pietruszką. Będzie już gotowa jak wrócę?

To powiedziawszy podniósł się, zamknął chałupę i poszedł do miasta.

Cóż pozostało Złotowłosce? Poszła do zamku jako wyrobница. Przy bramie czekały na nią inne robotnice,abrały ją z sobą do ogrodu, do robienia porządku, i do plewienia. Podczas pracy opowiadały sobie, że młody król Czerwonobrody będzie się prawdopodobnie żenił, bo kazał wszędzie, w ogrodzie i na zamku, robić wielkie porządki i wszystko przystroić.

Złotowłosa westchnęła sobie głęboko od czasu do czasu, ale nic nie mówiła. Pielila, i pielila, myśląc przy tym o poleceniu męża; gdy nikt nie patrzył, schowała po kryjomu kilka marchwi i trochę pietruszki do torby. Wieczorem, gdy wracali do domu, przy bramie stał ogrodnik i



każda robotnica musiała otworzyć swoją torbę i pokazać, czy czego nie ukradła. U żadnej nic nie znalazł, tylko Złotowłoska miała marchew i pietruszkę. Zbeształ ją ostro i zapowiedział, że za ten dzień nie otrzyma zapłaty, a jeśli nie chce pójść do więzienia, musi to nazajutrz odrobić. A w domu? - Mąż skrzyczał ją, że nie nadaje się do niczego, że nie zna swojego rzemiosła, nawet tej odrobiny zielska nie przyniosła.

I dodał:

- Żebyś mi jutro była pierwsza w robocie, bo jeszcze z twego powodu znajdę się w więzieniu! Król nie lubi żartować!

Gdy nazajutrz przyszła do dworu, podszedł do niej starszy ogrodniczy i ujął ją żartem za rękę:  
- Coś takiego! - powiedział. - Jakie delikatne rączki! Pokaż, czy są tak samo zdatne do roboty, jak do czego innego! - I zakpił: - Patrzcie, ona chce pracować! Przecież to ręce nie do roboty, to są rączki tylko na pokaz!

A że właśnie tamtędy przechodziła pokojówka, posłał z nią Złotowłoskę na zamek. Może przyda się tam do sypania pierza w pierzyny, on takiej robotnicy nie potrzebuje.

Na zamku kazano Złotowłosce sprzątać komnaty. Znowu ciężko sobie wzdychała, bo takich wspaniałości nie widziała nawet w swoim domu.

Po jakimś czasie odwołano ją od tej pracy. Przygotowywano właśnie ślubny strój dla królewskiej narzeczonej. Trzeba było pobrać miarę, więc wszystkie pokojówki, razem ze Złotowłoską, musiały ustawić się w rzędzie i na miarę najpiękniejszej z nich miano szyć ślubną suknię. Pokojówki jednomyślnie wybrały spośród siebie Złotowłoskę, jako najpiękniejszą. Teraz wzięto z niej miarę, potem skrojono szaty; szwaczki szyły i haftowały wszystko złotem, a pracowały bardzo pilnie, bowiem nazajutrz królewska narzeczonej miała wystąpić w tym stroju na tańcach. Dopiero późnym wieczorem zwolniono Złotowłoskę do domu. Gdy wróciła, mąż spytał:

- Czemu tak późno wracasz? Coś zarobiła? Coś przyniosła?

- Jakże mogłam wcześniej wrócić, skoro mnie nie puścili! Jakże mogłam coś przynieść, skoro mi nie dali! - płakała.

- A, to dobre! - łajał żebrak. - Też mi pracowita żona! Z czego mamy żyć, już drugi dzień nic nie przyniosłaś!

Gdy jednak zobaczył, jak bardzo jest rozżalona i smutna, postanowił ją nieco udobruchać:

- No, nie martw się już zanadto! Czasem nawet żebrak ma szczęście. Byłem dziś w kuchni na zamku i dali mi tam coś niecoś, bo piekli właśnie kołacze na wesele. Starczy tego dla nas na wieczerzę.

Wyłożył wszystko z torby, i mieli pełen talerz wspaniałego ciasta. Złotowłosce bardzo smakowało. Takiego dobrego pieczywa nawet w domu nie było. Tej nocy nawet lepiej spała, gdyż widać było, że jej mąż już się nieco udobruchał.

Nazajutrz rano zaczął znowu:

- Pójdziesz dziś prosto na zamek. Przymówiłem się tam dla ciebie o robotę w kuchni.

Opowiedziałem im, że jesteś skrzętna i zręczna; przyłożyli mi zaraz za to więcej jedzenia, i to

lepszego! Nawet tobie wczoraj smakowało! Dziś przygotowują różne smakowite rzeczy na ucztę weselną, która odbędzie się wieczorem. Na tej uczcie wystąpi król ze swoją oblubienicą. Tylko nie zjedz sama wszystkiego. Tu masz garnuszek, schowaj go pod fartuchem, żeby nikt nie widział. A jak ci coś dadzą, wlej trochę do niego. Tylko nie wracaj bez zupy, dawno nie jadłem już ciepłej stawy.

Złotowłoska czuła się dobrze w kuchni. Dawała rady, co i jak przygotować na wieczór. Dzień minął, ani się spostrzegła. A wieczorem miała też i zupę w swoim garnuszku pod fartuchem. Wybierała się właśnie do domu, gdy wszyscy zaczęli ją namawiać, żeby trochę została, popatrzeć chociaż na pierwszy taniec. Służba pchała się do drzwi sali, gdzie było już pełno gości. Zaczynały się pierwsze tańce. Damy i panowie ustawili się parami, tylko oblubieniec był sam. Nagle podszedł ku drzwiom, chwycił Złotowłoskę za rękę i zakręcił nią w tańcu. Zupa z garnuszka chlupnęła jej na całą suknię.

Okropnie się zawstydzila, w sali zrobił się krzyk:

- Ojej, tancerka króla oblała sobie suknię!

Goście przestali tańczyć i powstało wielkie zamieszanie. Złotowłoska w tym zamęcie nawet nie spostrzegła, jak ją pokojówki wepchnęły do bocznej komnaty. Tam zdjęły z niej skromne odzienie i przyniosły złote szaty, które szyto i haftowano poprzedniego dnia. Złotowłoska była całkiem oszołomiona i pytała, co się dzieje. Ale dziewczęta nie zwracały na to uwagi, tylko ją ubierały, przyozdabiały w klejnoty i stroiły. Wkrótce wyglądała jak gwiazda, co spadła z nieba. Gdy już była gotowa, drzwi otworzyły się i wszedł król Czerwonobrody. Z miłym, serdecznym uśmiechem podszedł do niej i rzekł:

- Najdroższa, serce moje, nie poznajesz twego męża z chatki?

Teraz dopiero pojęła wszystko. Pogroziła mu tą rączką, którą kazał jej pielic w ogrodzie, a potem z uśmiechem ujęła jego dłoń. Król przedstawił wszystkim gościom swoją żonę jako ich królową - i wesele trwało aż do rana.

Potem już było wszystko dobrze. A gdy przyjechał jej ojciec do nich w odwiedzin, Złotowłoska całkiem już przywykła do męża i do jego czerwonej brody, która zresztą trochę pociemniała. Złotowłoska była szczęśliwa i tylko jednego pragnęła: żeby jego broda została taka, jaka jest, i żeby nigdy nie posiwiiała.

słowacka

## Mądre rozwiązanie

Był raz pewien król, który wiele jeździł po swoim kraju, dlatego też więcej widział, i wiedział to, co by nigdy nie dotarło do niego, gdyby siedział tylko na swoim zamku. Był wszędzie, wstępował do każdego domu, nawet do najbiedniejszej chałupy.

Raz, gdy jechał przez kraj, przybył do pewnej chatki, w której mieszkała matka z dwunastoma córkami. Król zdumiał się:

- Ojej, jak dużo dzieci! Jak sobie z nimi radzisz? - spytał matkę.

- Ach, i mnie czasem bierze strach, sama nieraz już nie wiem, co będzie dalej. Bardzo ciężko wyżywić tyle dzieci!

Wtedy król spytał, czy nie zechciałaby dać mu jednej z córek.

- No, dobrze - zgodziła się biedaczka z pewnym wahaniem. - Będzie mi wprawdzie tęskno za dzieckiem, ale przynajmniej jedno już będzie zabezpieczone.

Król wręczył matce dukata i oznajmił, że wstąpi po dziewczynę jadąc z powrotem.

Kilka córek było już dorosłych, więc każda z nich miała nadzieję, że król ją właśnie wybierze i poślubi. Zaczęły radzić, która z nich zostanie królewską małżonką. Najstarsza mówiła:

- Ja jestem najstarsza, więc mam pierwszeństwo przed wami, młodszymi!

Druga z rzędu, z isierką nadziei w sercu, tak myślała głośno:

- Poczekajmy, aż jaśnie król wróci. Tacy wielcy panowie mają swoje widzimisię i wybierają, jak im się podoba, nie tak, jak byśmy tego chciały.

Uspokojone tymi słowy uzbroiły się w cierpliwość i czekały.

Król, istotnie, wrócił niebawem. Kazał sobie przedstawić wszystkie córki i zdecydował się zabrać najmłodszą, pięcioletnią Libuszkę. Matka spytała go, dlaczego właśnie chce tę najmłodszą, przecież to jeszcze dziecko. Wtedy król odparł:

- Nie mam własnej córki, więc wezmę tę za swoje dziecko, i wychowam.

Dał matce sakiewkę pieniędzy, siadł do powozu i zabrał Libuszkę ze sobą. Siostry były wprawdzie zawiedzione, bo miały nadzieję, że król ożeni się z jedną z nich, gdy jednak zobaczyły tak dużo dukatów, ucieszyły się i, jak to bywa, zapomniały z czasem o siostrzyczce. A siostrzyczce wiodło się dobrze. Jak tylko przybyła na zamek, ubrano ją jak księżniczkę. Król miał trzech synów, małych chłopców. Wielce uradowani, że teraz mają siostrę, traktowali ją jak udzielną panią, spełniając każde jej życzenie. Nie wiedzieli, oczywiście, że to nie jest ich prawdziwa siostra. I tak pozostało długo. Nawet gdy dorośli już do żeniaczki, wciąż jeszcze uważali ją za rodzoną siostrę.

Pewnego razu jeden z braci polecił woźnicy przygotować powóz, bo Libuszka chciała udać się na przejażdżkę. Służba jednak wiedziała, że to jest obce dziecko, które król skądś przywiózł, i zazdrościła jej takiego szczęśliwego losu.

Woźnica burknął.:

- Że też musimy wysługiwać się tej obcej dziewczynie!
- Coś powiedział?! - natarł na niego królewicz.
- Nic nie mówiłem - woźnica usiłował się wycofać.
- Powiedziałeś przecież coś o jakiejś obcej dziewczynie! Skąd to wiesz?
- Ach, mówię tylko to, co słyszałem: że to nie jest wasza siostra, że król ją skądś przywiózł.

Królewicz pobiegł prosto do swoich braci:

- Wiecie, nasza Libuszka wcale nie jest naszą siostrą! Ojciec przywiózł ją skądś!

Ucieszyła ich ta wiadomość, ale zaraz zaczęli się sprzeczać o Libuszkę, bowiem każdy z nich chciał ją za żonę. Najmłodszy rzekł:

- Jeśli jej nie dostanę, odbiorę sobie życie!

Udali się do króla i powiedzieli mu:

- Właśnie dowiedzieliśmy się, że Libuszka nie jest naszą siostrą!

Król wystraszył się, że teraz już nie będą jej kochać, a oni tu - wszyscy trzej - chcą ją za żonę!

- To niemożliwe! Tylko jeden z was może ją poślubić, nie wszyscy trzej przecież!

Sprawa była trudna do rozstrzygnięcia. Wreszcie tak postanowił:

- Wszyscy trzej pójdziecie w świat i ten z was, który przyniesie coś nadzwyczaj specjalnego, otrzyma ją za żonę. Ale musi to być coś rzeczywiście specjalnego, czego właściwie nie ma w ogóle na świecie!

No, i dobrze. Bracia ruszyli w drogę. Długo wędrowali i niczego takiego nie mogli znaleźć.

Uradzili:

- Tak dalej nie można! Musimy się rozstać. Każdy pójdzie w inną stronę, i kto pierwszy coś znajdzie, wróci tu, do tej gospody i poczeka na pozostałych dwóch. Wtedy dopiero razem pójdziemy do domu.

Bracia rozeszli się, jeden poszedł w prawo, drugi w lewo, a najmłodszy prosto. Najstarszy miał szczęście. Przybył do pewnego miasta, a tam stary handlarz miał do sprzedania wózek. Żądał za niego trzydzieści talarów.

Ludzie dziwili się, mówiąc: „Trzydzieści talarów, to drogo, taki wózek nie jest tyle wart!”

Królewicz przyznał im rację:

- Chyba byście rozum stracili, wydać tyle pieniędzy za taki wózek!

Ludzie zawstydzili się i odeszli. Wtedy on podszedł do handlarza i spytał go po cichu, czy to nie jest może jakiś specjalny wózek.

- Oczywiście! Kto na niego wsiądzie, ten w oka mgnieniu będzie tam, gdzie zechce, szybko niczym wiatr.

Królewicz zapłacił, siadł na wózek i wyraził życzenie znalezienia się w owej gospodzie, z której każdy z nich ruszył w drogę. Za chwilę już tam był.

Drugi brat tymczasem zawędrował do miasta, gdzie właśnie odbywał się jarmark. Na tym jarmarku jakiś staruszek sprzedawał lustro. Było to jego jedyne lustro, a żądał za nie dwadzieścia dukatów. Ludzie mówili:

- To jest dużo pieniędzy za takie małe lustro!

Królewicz przyznał im rację:

- Chyba byście rozum stracili, kupować takie drogie lustro! Dajcie spokój!

Gdy odeszli, spytał handlarza:

- Czy to jest jakieś specjalne lustro?

- Oczywiście! Kto w nie spojrzy, zobaczy wszystko, co zechce!

Królewicz zapłacił mu dwadzieścia dukatów; najpierw chciał się przekonać, czy już któryś z braci wrócił do gospody. Spojrzał w lustro i zobaczył, że jeden z nich już tam jest. Udał się więc najkrótszą drogą do gospody.

Najmłodszy brat nie miał tyle szczęścia. Długi czas nie mógł niczego znaleźć. Wreszcie i on trafił pewnego razu na jarmark. Siedziała tam stara kobiecina i sprzedawała jabłka. Miała ich tylko trzy, a za każde chciała aż sto dukatów!

Nikt nie chciał kupić tych jabłek. Ludzie śmiali się z niej:

- Ha, ha, sto dukatów za jedno jabłko!

Królewicz obawiał się, że ktoś może przed nim kupić te jabłka:

- Och, głupcy, chyba nie kupicie takich drogich jabłek?! - Poczekał aż wszyscy się rozejdą, potem podszedł do kobieciny i spytał ją, czy to są jakieś specjalne jabłka.

- Oczywiście! Jeśli ktoś śmiertelnie zachoruje, że już nikt mu nie będzie mógł pomóc, to po zjedzeniu jednego z tych jabłek z miejsca będzie zdrów jak ryba w wodzie.

Królewicz zapłacił za jabłka, wsunął je do kieszeni i ruszył w drogę ku gospodzie. Najstarszy brat był już zły, że tak długo musieli na niego czekać.

- Co masz? - spytał.

Odparł skromnie, że ma trzy jabłka.

- O, nieba! Tylko trzy jabłka?! Patrz, co ja mam: taaki wózek!

Drugi zaś chwalił się lustrem, które postanowili wypróbować.

- Lustro, pokaż, co się dzieje w domu - rozkazali.

Spojrzeli w nie i zobaczyli, że w domu panuje głęboka żaloba. Okna zamku były zasłonięte kirem, wszystko w czerni, jakby ktoś umarł. Ciężko im się zrobiło na sercu. Wsiedli do wózka, i z szybkością wiatru przylecieli na zamek. Najmłodszy pędem wbiegł po schodach na pokoje, a

tam - król, królowa i Libuszka leżeli złożeni śmiertelną chorobą. Dał każdemu z nich po jednym jabłku i, ledwo je zjedli, wyskoczyli z łóżek, jakby nigdy nawet nie słyszeli o chorobie.

Teraz zaczął się spór o Libuszkę. Każdy z braci pragnął ją dostać.

Najstarszy mówił:

- Gdybym nie miał mojego wózka, nie byłibyśmy tu tak prędko!

Drugi:

- Gdybym nie miał mojego lustra, w ogóle nie wiedzielibyśmy, co się tu dzieje!

Na to trzeci:

- Gdybym nie miał moich jabłek, wszystko byłoby na próżno.

Król nie wiedział jak tu dojść z synami do ładu. Zwołał swoich ministrów i doradców, ale i oni nie potrafili dać dobrej rady. Na rozkaz króla wołano już nawet każdego, kto tylko przechodził tamtędy i pytano go o zdanie. Nie było jednak nikogo, kto by wiedział, jak ten zagmatwany węzeł rozplątać. Trwało tak już kilka dni, gdy wreszcie zjawił się na zamku jakiś zgrzybiały staruszek i oznajmił, że wie, jak tę sprawę rozstrzygnąć.

Zaprowadzono go przed króla.

Starzec pokiwał z namysłem głową, popatrzył wszystkim trzem braciom w oczy i tak rzekł:

- Każdy z was w równej mierze przysłużył się tej sprawie, nikt więcej, nikt mniej. Ale tobie został twój wózek, ty masz swoje lustro, tylko ty, najmłodszy, nie masz nic! Król, królowa i Libuszka zjedli wszystkie trzy jabłka, które miałeś. Będzie sprawiedliwie, jeśli właśnie ty otrzymasz Libuszkę za żonę.

- Hm, tak, to jest najmądrzejsze rozwiązanie - mówiono na zamku, od króla począwszy, poprzez ministrów i doradców, aż po ostatniego sługę. Tak też się stało. Najmłodszy królewicz zabrał się do przygotowania wesela, a starsi... No, cóż, wszelki ból mija z czasem. Wypali się dobrze i już było po zmartwieniu. Potem w sąsiednich królestwach znaleźli sobie żony i wszyscy razem wyprawili wspaniałe weselisko.

czeska

Dwaj bracia

W pewnej wsi żyło dwóch braci. Jeden z nich był bogaty, drugi ubogi. Bogaty byłby może przyjaźnił się z ubogim, gdyby nie to, że miał złośliwą żonę, która nie pozwalała mu na to. Minęło już siedem lat, odkąd pierwszy, bogaty, nogą nie przestąpił progu domu swego uboższego brata.

Pewnego ranka biedak wybrał się z taczka do lasu po drzewo. Żona dała mu resztę jedzenia, jakie miała jeszcze w domu, pół bochenka chleba i pół gomółki sera, żeby miał czym się posilić przy pracy. Dla głodnych dzieci w domu została tylko garstka mąki.

Gdy już nazbierał drzewa i przywiązał je do taczki, siadł sobie i właśnie chciał zjeść to, co mu żona dała. Zabrał się do jedzenia, wtem zjawił się mały chłopiec odziany w szarą suknię, zbliżył się do niego i tak przemówił:

- Pobłogosław Boże wspólny posiłek!

Ubogi odparł:

- Proszę, zbliż się i jedz ze mną!

Natychmiast rozdzielił chleb i ser na dwie części i dał nieznanemu. Ten zjadł z apetytem, po czym powiedział:

- Za to, żeś mnie ugościł i poczęstował, możesz sobie ode mnie życzyć trzech rzeczy, a ja ci je spełnię. Co chcesz, to ci się stanie, tylko nie zapomnij o najlepszym!

Ubogi pomyślał chwilę i rzekł:

- Kiedy tak, to posłuchaj, czego bym sobie życzył. Mam złą, kłótniawą sąsiadkę, która co tylko może, robi mi na przekór. Ledwie moje dzieci pokażą się na dworze, już na nie krzyczy, przepędza je, a nawet bije. Bardzo bym chciał, żeby żyła ze mną w zgodzie.

- Będzie tak - rzekł chłopiec - jeszcze dziś ta kobieta przyjdzie do ciebie.

- Po drugie - rzekł ubogi - mam brata, który już siedem lat u mnie nie był, bo się gniewa.

Bardzo boleję nad tym i chciałbym, żeby się ze mną pogodził.

- Stanie się tak - rzekł chłopiec - jeszcze dziś wieczór brat przyjdzie do ciebie. Jakie jest twoje trzecie życzenie?

- Ha, przed paru laty niczego mi nie brakowało, miałem wszystkiego dosyć.

Mam na strychu wielką skrzynię. Dawniej bywało w niej pełno zboża, teraz stoi pusta.

Chciałbym, żeby była pełna dukatów.

- I to będziesz miał, jeszcze zanim wrócisz do domu.

To powiedziawszy chłopiec zniknął, a biedak wrócił z taczka do domu.

Żona wyszła z chałupy i chciała pozbierać drzewo z taczki. Mąż mówi:

- Pewnie chce się wam jeść, dzieciom i tobie, a i ja zjadłbym coś niecoś.

Idź na strych, weź ze skrzyni garść dukatów, nakup w karczmie chleba, bułek, mięsa i przygotuj wieczerzę.

Żona stoi jak wryta i nie wierzy własnym uszom, nie wie, co na to odpowiedzieć.

Ale mąż powiedział krótko:

- Zrób, jak ci mówię!

- Czyś ty głupi?! Skąd by się w skrzyni wzięły dukaty! Przecież tam nie ma nawet złamanego grosza!

Chłop jednak nie ustępował i trwał przy swoim. Wreszcie kobieta poszła na strych i zajrzała do skrzyni. Zobaczyła tam mnóstwo dukatów. Zgarnęła w zdumieniu jedną garść, potem drugą i trzecią, i niezmiernie rada z tego dostatku, wróciła do izby. Zabrała trzy dukaty, najstarsze dziecko i taczkę, i pojechała kupować.

Jak wracała, dzieci kłótlivej sąsiadki zobaczyły, że biedna Walkowa wiezie na taczce kilka bochenków chleba, parę butelek piwa, ćwierć mięsa wołowego, ćwierć cielęcego, bułki i wiele innych dobrych rzeczy. Prędko pobiegły do domu i powiedziały o tym matce. Ta zdziwiła się wielce, skąd u biedaków taki dostatek i, gdy zaczęło się zmierzchać, posłała dzieci, żeby poszły z tyłu pod okna sąsiadów i ukradkiem podsłuchały, co się tam dzieje.

Gdy Walkowa wstawiła mięso do garnka i postawiła je na ogniu, rzekł mąż:

- Idź no do brata i pożycz kwarty. Będziemy mierzyć dukaty.

Żona poszła. Bratowa była bardzo ciekawa, co też oni będą mierzyć tą kwartą, ale się nie dowiedziała. Oni tymczasem wzięli się do roboty: mierzyli i liczyli dukaty.

- No, to mamy czternaście kwart dukatów - mówi mąż. - Poślij teraz któres z dzieci, niech odniesie kwartę z powrotem.

Kwartę odebrał brat, a że był bardzo ciekawy, do czego im była potrzebna, więc ją dokładnie obejrzał ze wszystkich stron. Patrzy a tu w szparach coś błyska. Bierze nóż, próbuje, a tu wypada z niej dukat. Puka w kwartę, wstrząsa nią, a tu wylatuje jeszcze czternaście złotych dukatów. Teraz już nie wytrzymał z ciekawości, pędzi do brata i woła:

- Jak mierzyliście, zostało w miarce czternaście dukatów, przynoszę je wam z powrotem!

Walek na to:

- Ach, zatrzymaj je, bracie, mamy ich dosyć.

- Jakże to? - pyta brat.

I poczciwy Walek opowiedział mu wszystko. Także dzieci opowiedziały matce, co widziały przez okno.

Zła sąsiadka nie chciała w to uwierzyć i sama poszła się przekonać. A Walek podjął ich szczerze, częstował hojnie zarówno brata, jak i jego żonę.

Potem wrócili do domu i wtedy opowiedział jej wszystko, co usłyszał od brata, w jaki to sposób biedak doszedł do takiego dostatku. Wtedy ona rzekła:

- Ej, to może on się diabłu zapisał?

- Skądże? Za kawałek chleba i sera diabeł nie dałby tyle bogactw!

Zaczęli zastanawiać się i radzić, co by tu zrobić, żeby mieć także tyle dukatów, co ubogi brat.

Wreszcie mąż powiedział do żony:

- Wiesz co, zabiorę jutro chleb i ser, i też pojedę w to samo miejsce, gdzie był mój brat.



Żona dała mu na drogę wielki bochen chleba i dwie gomółki sera. Gdy już znalazł się w lesie, nałożył drzewa na taczki, przywiązał je i siadł, zabierając się do jedzenia. Właśnie wyciągnął chleb i ser, patrzy, a tu idzie chłopiec, tak samo ubrany w szarą suknię, jak mu brat określał, i mówi:

- Pobłogosław Boże wspólny posiłek!

Bogaty odparł:

- Proszę, zbliż się i jedz ze mną!

Obcy podszedł i chłop dał mu połowę chleba i jedną gomółkę sera. Zjedli razem posiłek i wtedy odezwał się gość:

- Za to, żeś mnie ugościł i poczęstował, możesz sobie ode mnie życzyć trzech rzeczy, zapewniam cię, że je spełnię! Bacz tylko, byś nie zapomniał o najlepszym.

Bogaty myślał długo, ale nie był pewien czego żądać, więc rzekł:

- Rad bym poradzić się mojej żony.

- I na to pozwalam - odpowiedział chłopiec - nie musisz nawet wracać tutaj z odpowiedzią. Co sobie dziś, aż do zachodu słońca z tych trzech rzeczy umyślisz, to ci się spełni.

Bogaty wrócił do domu i opowiedział żonie całą rozmowę, jaką miał w lesie z owym chłopkiem.

- Ej, kto wie, czy to prawda. No, ale spróbujmy! Chciej, żeby nasza młoda, siwa krowa, która straciła rogi, znowu je odzyskała.

Ledwie skończyli o tym mówić, a tu biegnie dziewczka z obory i woła z daleka, że siwuli wyrosły piękne, białe rogi.

Pobiegli zobaczyć do obory i, rzeczywiście, tak było. Żona mówi:

- Czy też aby te rogi mocno siedzą?

Zbliżyła się do krowy, chwyciła jeden, kręci, kręci i - róg został jej w ręku! Mąż bardzo się rozgniewał:

- Ledwie co wyrosły, a już ukręciłaś! Żeby ci ten róg do głowy przyrósł!

Ledwo to wymówił, już się tak stało. Zaczęli ciągnąć, szarpać, ale wszystko na próżno. Róg tkwił mocno. Już i cała wieś zbiegła się, patrzą, dziwią się, nikt jednak nie umiał nic poradzić. Słońce tymczasem już się zniżało na niebie i czas mijał.

Mąż stał smutny i myślał głośno:

- Dwie rzeczy już się spełniły. Pozostało jeszcze tylko ostatnie życzenie do spełnienia, nim zajdzie słońce. Tylko w ten sposób mogę uratować żonę.

Krewni jej oblegli go i zaczęli nalegać, żeby użył tego sposobu.

Rad nierad, bardzo markotny, wyrzekł wreszcie te słowa:

- Niech róg wyleci!

I tak spełniły się wszystkie trzy życzenia, i cała chytryść bogaczy nie zdała się na nic. Biedny zaś miał wszystkiego w bród i odtąd mógł żyć w dostatku.

polska

## O kogucie

Jedna gospodyni chowała kogutka i kurkę. Co tylko kogutek znalazł, zawsze dzielił się tym z kokoszką. Pewnego razu kogutek znalazł na drodze złotą obrączkę; kurka mówi do kogutka:  
- Wszystkim się ze mną dzielisz, a tym kółkiem nie chcesz się podzielić?

Kogutek na to:

- Jakże je przełamię, kiedy takie twarde?

A kokoszka:

- No, to chodźmy do kowala, niech nam je przetnie na pół.

Poszli do kowala, a tam właśnie jakiś pan przyprowadził konie do kucia. Jak zobaczył kogutka ze złotą obrączką w dziobku, zawołał swego lokaja i powiada:

- Idź no i weź kogutkowi tę obrączkę!

Lokaj poszedł, wyrwał kogutkowi obrączkę, wskoczył do powozu i pojechali. Ale zanim woźnica zdążył zaciąć konie batem, kogutek już wskoczył na kozioł i woła do pana, żeby mu oddał jego kółko. I zanim pan zajechał do domu, kogutek już tam był, a kiedy pan wszedł do pokoju, kogutek już czekał na niego, siedział na stoliku i wołał:

- Panie, oddaj mi kółko, panie, oddaj mi złote!

Pan zawołał lokaja i rozkazał mu:

- Weź tego durnia koguta, wrzuć do studni, niech się tam utopi!

Złapał lokaj koguta, wrzucił go do studni, studnię zamknął. Na drugi dzień każe pan lokajowi:

- Idź no i zobacz, czy kogut się utopił.

Lokaj poszedł, wraca i powiada, że studnia wyschła, wody w niej ani kropli, a koguta nie ma. Kogut tymczasem wypił wszystką wodę, przybiegł z powrotem do pokoju i znowu woła:

- Panie, oddaj mi kółko!

Pan mówi do lokaja:

- Weź tego durnia, napal w piecu i wrzuc go do piekarnika! Będzie na jutro pieczeń z tego kogutka na obiad.

Lokaj wziął koguta, wsadził go w piec, piec zamknął dobrze. Ale kogut się nie spalił, bo wypuścił z siebie wszystką wodę, którą wypił przedtem w studni, i zalał nią ogień. Pan każe po jakimś czasie lokajowi iść zobaczyć, czy kogut już się upiekł. Lokaj poszedł, odemknął piec, a tu jak nie buchnie z pieca nagrzana woda, zalała całą kuchnię i lokaja, a kogut frunął do pokoju i znów woła:

- Panie, oddaj mi kółko, panie, oddaj mi złote!

Pan się ogromnie zgniewał i powiada:

- Zamknijcie tego koguta do kufra, niech się tam udusi!

Wsadzili koguta do kufra, a w tym kufrze pan chował pieniądze. Po jakimś czasie zaglądną, a tu kogut wyskakuje cały i zdrowy. Kufer pusty, pieniędzy ani śladu, bo je kogut zjadł. Wrócił znowu do pana i nie przestaje wołać:

- Panie, oddaj mi kółko, panie, oddaj mi złote!

Teraz pan, choć rozgniewany, zląkł się, widząc, że z kogutem nie poradzi, a na dodatek stracił już wszystkie pieniądze. Rzucił mu więc to kółko i powiada:

- Wyrzućcie tego durnia razem z jego kółkiem za drzwi!

Kogut złapał kółko, poszedł do kuchni i woła do pani, żeby mu na środku izby rozłożyła prześcieradło. Pani na to:

- Jeszcze czego! Będę ci tu rozkładać prześcieradło, żebyś mi je pobrudził! Już i tak dosyć szkody się stało!

Wszedł na to pan i mówi:

- Rozłóż mu to prześcieradło, zobaczmy, co będzie robił.

Rozłożyli prześcieradło, kogut wskoczył na środek i wysypał z siebie wszystkie pieniądze, bo już dostał z powrotem swoje kółko.

Pan i pani bardzo się ucieszyli, że odzyskali swój majątek i z radości wyprawili wielki bal.

Zaprosili dużo gości, a kogut siedział razem z nimi za stołem, jak człowiek.

Potem jednak wrócił do swojej kurki.

polska

## Jan, syn węglarza

W pewnej wsi, niedaleko lasu, mieszkał węglarz. Miał on w lesie mielerz, gdzie wypalał drewno na węgiel. W pracy pomagali mu dwaj synowie: Juro i Jan. Jan rąbał drzewo i pracował przy mielerzu, Juro woził węgiel do miasta i tam go sprzedawał. Zawsze więc miał pieniądze, a w niedzielę mógł iść do gospody.

Jan, pracując stale w lesie, nie wiedział wiele o świecie i nigdy nie miał pieniędzy. Był z tego powodu niezadowolony i chciał poszukać sobie innej służby. Ojciec jednak nie zgodził się na to i zdecydował inaczej:

- Odtąd będziecie jeździć do miasta na zmianę, w ten sposób każdy z was będzie miał dla siebie swój zarobek.

Tak więc Jan po raz pierwszy znalazł się w mieście. Ogromne domy i wspaniałe ubrani ludzie wprawili go w podziw. Tak mu się to wszystko spodobało, że najchętniej pozostałby na zawsze w mieście. A gdy jeszcze poszedł do zamku, dokąd miał dostarczyć węgiel, aż otworzył usta z podziwu, tyle tam było wspaniałości.

Rzekł do jednego ze sług:

- Jak tu cudownie! Ach, chciałbym tu zostać!

Pan, dowiedziawszy się o tym, przyszedł obejrzeć sobie chłopaka. Jan spodobał mu się, bo był dobrze wyrosnięty i wyglądał na roztropnego. Rzekł więc:

- Możesz zostać tu na służbie, ale wpierw musisz mi przynieść zgodę rodziców.

Jan chętnie na to przystał. Pan dał mu dwa talary zadatku i posłał go do domu po zezwolenie rodziców.

Jan jednak nie pojechał do domu. Zatrzymał się w mieście przed gospodą i wesoło spędził w niej cały dzień. W rozbawionym towarzystwie wesołych kompanów przepił otrzymane dwa talary zadatku.

W karczmie siedział również pewien gospodarz; spodobały mu się gniadosze, które Jan miał u swego wozu. Zapytał młodzieńca, czyby mu nie sprzedał luzaka. Jan z początku o tym nawet słyszeć nie chciał. Gospodarz jednak nalegał, proponował coraz więcej pieniędzy, potem chciał nawet kupić oba konie, wreszcie też i wóz.

W końcu było Janowi wszystko już jedno - sprzedał gospodarzowi konie razem z uprzężą i wozem, i wziął za to dobrą zapłatę. Pieniądzy starczyło Janowi w sam raz na bliższe poznanie miasta i na beztrudny żywot przez jakiś czas.

Gdy już wszystko roztrwoniał, poszedł na zamek i powiedział, że wraca podjąć swoją pracę.

Pan dał mu odzież i posłał go najpierw do szkoły, gdzie miał się nauczyć czytać i pisać, i wszystkiego tego, co potrzebne jest na służbie.

Janowi dobrze szła nauka i wkrótce skończył szkołę. Pan wziął go na zamek i uczynił swoim zaufanym lokajem.

Trwało tak sporo lat i Jan miał dobre życie.

Pewnego razu pan postanowił udać się w podróż. Poleciał Janowi, aby zarządzał zamkiem, przekazał mu wszystkie klucze i rzekł:

- Możesz chodzić po wszystkich komnatach i wszędzie zaglądać, tylko pilnuj porządku. Nie wolno ci jednak otwierać tej jednej szafy w komnacie, i to za żadną cenę, bo źle się to dla ciebie skończy.

To rzekłszy odjechał.

Jan zarządzał zamkiem, chodził po wszystkich komnatach i rzeczywiście pilnował porządku. Jednak szafa, której zabronił mu pan otwierać, nie dawała mu spokoju. Zastanawiał się, jaką też ona kryje tajemnicę. Stale przed nią stawał i przyglądał się jej. Gdy któregoś dnia znalazł się znowu w owej komnacie, nie mógł się powstrzymać; poszukał klucza i otworzył ją. Były tam najróżniejsze rzeczy, zaś na samym spodzie leżała mała skrzyneczka. Jan wyciągnął ją i ostrożnie uchylił wieczko. Wskoczyła z niej mała biała myszka i uciekła. Przerazenie ogarnęło go natychmiast na myśl, co się teraz stanie.

A tu nazajutrz pan wrócił z podróży i już wiedział o wszystkim. Bardzo się rozgniewał na Jana, odebrał mu piękne szaty, i zwrócił mu jego stare, brudne węglarskie odzienie i pusty chlebak. Zapłacił mu za pracę i wypędził z zamku.

Jan stał bezradny, nie wiedząc, dokąd pójść. Do domu nie mógł wracać z powodu sprzedanych koni. Chwilę się zastanawiał, wreszcie zdecydował:

- Ach, co mi tam! Przecież mam pieniądze w kieszeni, pójdę w świat!

Po jakimś czasie doszedł do wielkiego lasu, który zdawał się nie mieć końca. Zabłądził w nim i nie mógł znaleźć ani dróżki, ani ścieżki. Błąkał się, męczył go głód, i zanim się spostrzegł, nastąpiła noc. Wreszcie ujrzał w oddali migocące światelko. Poszedł w tym kierunku i zobaczył wielki zamek, w którym wszystkie okna były oświetlone. Niestety, dojścia broniła szeroka fosa. Jan obszedł zamek dookoła i znalazł w końcu mały mostek, a po jego przeciwnej stronie - wejście. Zapukał do drzwi raz, drugi, trzeci, lecz nikt nie otwierał. A gdy spróbował sam je otworzyć, okazało się, że w ogóle nie są zamknięte. Wszedł. Wewnątrz było wszystko jasno oświetlone, lecz ani śladu człowieka. Jan na chybił trafił otworzył inne drzwi, a tu na środku pokoju stoi stół, zastawiony wspaniałymi potrawami. Jednakże i tutaj nie było nikogo. A że był już bardzo głodny, zasiadł do stołu i nie w żałował sobie. Potem zaprzagnął troszeczkę odpocząć w miękkim fotelu, a że był zmęczony, wkrótce zasnął.

Zbudził się po godzinie, lecz nikt się jakoś nie zjawił. Przeszedł sien - również nikogo nie spotkał - i zaszedł do innej komnaty. Stało tam białe zaścielone łóżko. Nie namyślając się, położył się na nim i mocno zasnął. Spał do samego rana.

Gdy wstał, znalazł wszystko, czego potrzebował: w sąsiednim pokoju było nakryte do śniadania. Po śniadaniu obszedł kolejno wszystkie komnaty, myśląc, że jednak kogoś znajdzie. Na próżno!

W jednej z komnat leżały wspaniałe szaty. Ubrał się w nie i tak pozbył się swego roboczego odzienia. W innym pomieszczeniu znalazł stosy złota, diamentów i innych szlachetnych

kamieni oraz kosztowności. Napełnił nimi chlebak, ile tylko zdołał zmieścić. Potem szybko opuścił tajemniczy zamek. Następnie wydostał się z lasu, i wtedy ujrzał szeroką, zieloną łąkę. Zastanowił się: „Jestem teraz bogatym, wytwornie ubranym panem. Potrzebne mi więc jeszcze wytworne miano. Będę się odtąd nazywać księciem z Zielonej Łąki.”

Powędrował dalej i po jakimś czasie przyszedł do jakiegoś wielkiego miasta. Tutaj wynajął sobie pokój w najlepszej gospodzie, sprawił sobie jeszcze wspanialsze szaty oraz elegancki powóz z końmi i z woźnicą. Gdy potrzebował pieniędzy, sprzedawał jakiś diament. Kiedy skończyły mu się małe diamenty, postanowił sprzedać duży. Nikt jednak nie był w stanie zań zapłacić. Rozbił go więc na małe kawałki i sprzedawał każdy z osobna.

W owym mieście mieszkał również król, który miał piękną córkę. Zwróciła ona wkrótce uwagę na wytwornego przybysza i zaczęła dowiadywać się, kim on jest. Okazało się, że jest to książę z Zielonej Łąki, bogaty pan, którego jednak nikt nie znał bliżej. Zaproszono Jana na zamek. Również i jemu księżniczka bardzo się spodobała. Zaczął bywać codziennym gościem na zamku. A że księżniczka nadzwyczaj go polubiła, niebawem odbyły się ich zaręczyny i wkrótce potem huczne wesele z mnóstwem gości.

Młodzi byli ze sobą bardzo szczęśliwi. Księżniczka jednak wciąż nie wiedziała nic o jego rodzicach i krewnych. Jan nigdy o nich nie wspominał.

Pewnego razu zapytała go o rodzinę. Jan kochał ją tak bardzo, że nie odmówił jej prośbie i opowiedział jej wszystko: o swojej młodości, o rodzicach, o tym, jak był węglarzem, o swoich figlach i przygodach.

Wysłuchawszy wszystkiego, księżniczka rzekła:

- Dlaczego zostawiasz swoich rodziców w nędzy i pozwalasz im się tak męczyć ciężką pracą? Mogliby przecież zamieszkać u nas. Jedź do nich i sprowadź ich tutaj!

Jan z początku nie chciał o tym nawet słyszeć, ale księżniczka tak nalegała, że wreszcie zgodził się pojechać. Wziął ze sobą jako straż przyboczną dwunastu dragonów i udał się w długą i ciężką podróż. Po wielu dniach drogi przyjechali do wielkiego lasu. Zaskoczyła ich tam straszliwa burza, tak że musieli szukać schronienia w leśnej gospodzie. Ulewa nie ustawała aż do wieczora, postanowili zatem przenocować. Otrzymali dobrą wieczerzę i nocleg. Wieczorem przyszli jeszcze inni goście. Jan grał z nimi w karty, ale wszystko, co wygrał, oddawał im z powrotem.

W nocy powstał nagle straszny hałas pod drzwiami jego sypialni. Ktoś walił w drzwi i wołał:

- Otwierać! Otwierać!

Służący podszedł do drzwi i zapytał:

- Kto tam? Czego chcecie?

- Otwierać! Bo jak nie, to wyważymy drzwi!

Byli to rabusie.

Jan rozkazał otworzyć drzwi. Rabusie, z przywódcą na czele, wtargnęli do pokoju. Przywódca zbliżył się do Jana, trzymając przed sobą przykrytą miskę, i rzekł:

- Teraz dostaniesz, coś nawarzył! Nie będzie ci to tak dobrze smakowało, jak wieczerza! I zjesz to z zamkniętymi oczami!

Jan jednak odparł, że woli jeść z otwartymi oczami. Wtedy zdjęto przykrywkę - w misce był długi, naładowany pistolet, którym Jan miał się zastrzelić. Jan prosił o darowanie mu życia, był gotów oddać rabusiom wszystko, co miał przy sobie. Zabrali mu nawet ubranie, zostawili tylko parę starych szmat i puścili go wolno. Dragonów, zaskoczonych we śnie, zabrali do niewoli. Długo musiał Jan wędrować pieszo, zanim znalazł się w swojej rodzinnej wsi. Rodzice wciąż jeszcze gniewali się na niego za to, że sprzedał kiedyś konie, i gdy go ujrzeli tak obdartego, pokazali mu drzwi.

Nie zostało mu teraz nic innego, jak poszukać sobie we wsi roboty.

Wreszcie wynajął się do pasania świń u sołtysa. Żalotne to było życie.

Tymczasem księżniczka, nie mając już długi czas żadnej wiadomości o mężu, zaczęła się bardzo martwić. Swoimi obawami podzieliła się z ojcem. Ten odparł:

- Księżciu z Zielonej Łąki musiało rzeczywiście stać się coś złego.

I zaczęli radzić, co robić.

Księżniczka wzięła stu wojaków i osobiście udała się z nimi na poszukiwanie męża. W każdej wiosce rozpytywała, czy tędy nie przejeżdżał. Tak dotarła do wielkiego lasu, gdzie również i ją zaskoczyła burza. Nie mogła znaleźć spokoju, zdawało się jej, że podróż trwa zbyt długo, i mimo burzy chciała koniecznie jechać dalej. Przywódca jej świty był jednak temu przeciwny, zostali więc na miejscu i rozbili obóz. Wojacy poszli w las i trafili tam na gospodę.

W pokoju gościnnym księżniczka znalazła część odzieży swego męża. Zawołała do siebie przywódcę i podzieliła się z nim swoim odkryciem. Ten zalecił surowo pilnować gospody i posłał jednego konnego do najbliższego miasta, aby sprowadził posiłki. Zanim nastał wieczór, nadeszło dwustu wojaków. Przeszukali zajazd i cały las, i znaleźli obozowisko rabusiów. Doszło do zażartej bitwy, w której rabusie zostali pokonani. Ponad stu wzięto do niewoli. W gospodzie wojacy znaleźli także dragonów Jana wziętych do niewoli oraz skarby rabusiów. Dragoni opowiedzieli o wszystkim, i tak księżniczka dowiedziała się, że księżę uszedł z życiem. Nazajutrz pojechali w dalszą drogę. Księżniczka posłała kilku wojaków do rodzinnej wsi męża, aby przygotowali kwatery dla niej i jej ludzi. Wojacy po drodze minęli pole, na którym Jan pasł sołtysowe świnię. Gdy ich zobaczył, wiedział już, że pomoc się zbliża. Uradowany, chciał pobiec do nich, ale pomyślawszy o swoim mizernym przyodziewku, zaniechał tego i nawet się nie ruszył.

Po jakimś czasie przyjechała do wsi księżniczka. Wojsko jej rozdzielono po kwaterach, zaś ona ze swoją świtą udała się do rodziny Jana. Węglarze przerazili się bardzo i wzbraniaли się przed przyjęciem tak niezwykle gości:

- Jesteśmy biednymi ludźmi, mamy maleńką, mizerną chałupkę i niewiele do jedzenia: kartofle i kwaszoną kapustę, nic poza tym.

Księżniczka mimo to pozostała u nich. Nie chciała od nich jedzenia, gdyż kazała zabrać na drogę dosyć pożywienia dla siebie i dla swojej świty.

Gdy już się zadomowiła, zapytała staruszków:

- Nie macie dzieci?

Ojciec odpowiedział:

- Mamy dwóch synów: jeden pomaga nam w węglarni i właśnie wyjechał z węglem. Ale drugi syn to nicpoń, wiecznie mieliśmy z nim kłopoty. Kiedyś nawet sprzedał nasze konie z wozem i uciekł.

- Gdzie może teraz być? - zapytała księżniczka.

- Niedawno wrócił, zupełnie obdarty, nicpoń. Teraz pasie świnie u sołtysa.

- Jeżeli to silny chłopak, to mógłby przecież mieć lepsze zajęcie - powiedziała księżniczka. - Przyprawdźcie go!

Posłano więc po pastucha na pole. Miał natychmiast wrócić do domu. Jednak nie przyszedł.

- Widzicie, pani - rzekła matka do księżniczki - ten włóczęga ani nie słucha! Woli być ze świniami!

Księżniczka posłała na pastwisko kilku wojaków, ażeby sprowadzili pastucha siłą. Tak też uczynili. Gdy pastuch wszedł do izby, księżniczka chciała go poczęstować szklanką wina. On jednak odebrał jej butelkę z ręki i wypił od razu wszystko do dna. Matka aż załamała ręce i zawołała:

- Widzicie, pani, jaki to grubianin!

Księżniczka jednak odparła z uśmiechem:

- Ach, nic nie szkodzi, mam więcej wina!

Potem zwróciła się do Jana:

- No, pokaż się, czyś prosty, i czy nadajesz się na wojaka! - Obróciła nim wokół i orzekła:

- Świetnie! Nadajesz się! Dostaniesz zaraz mundur i będziesz przed domem pełnić straż, jeszcze z drugim.

Przyniesiono mu mundur i poszedł na wartę. Wieczorem jego towarzyszowi dano do wypicia coś na sen. Gdy Jan zobaczył, że ten już chrapie, nie mógł dłużej wytrzymać z tęsknoty za swoją żoną i pobiegł do niej do izby.

Powitanie było nadzwyczaj radosne. Księżniczka poleciła przynieść dla niego niezwłocznie inne odzienie. Potem musiał szczegółowo opowiadać o swoich przygodach.

Nazajutrz siedzieli oboje przy śniadaniu, gdy weszła matka. Zdziwiła się nieco obecnością obcego, wytwornego pana. Księżniczka zapytała ją:

- Wczoraj wieczorem postawiłam dwóch strażników pod drzwiami i jeden znikł. Nie wiecie, gdzie się podział?

- Zaraz mówiłam, że on nie nadaje się do niczego! Pewnie woli być ze świniami na polu - rzekła matka i zaczęła złorzeczyć swemu nieudanemu synowi.

Wreszcie odezwał się Jan:

- Matko, przestańcie łajać, nie poznajecie mnie? Przecież to ja jestem waszym synem!



Gdy matka spojrzała mu uważnie w twarz, z wrażenia omal nie zemdląca. Jan podbiegł do niej i przytrzymał ją. Nadszedł ojciec, i oboje długo nie mogli pojąć, że ich niewydarzony syn Jan został wytwornym panem.

Opowiadaniom syna nie było końca, a ojciec i matka z niedowierzaniem kręcili głowami.

Wtedy księżniczka przytakiwała z uśmiechem na znak, że to wszystko prawda.

Gdy zaś Jan zaprosił rodziców, aby przyjechali na zamek i tam zamieszkali, staruszkowie odrzekli, że wolą jednak pozostać na wsi wśród swoich znajomych i krewnych.

Jan rozkazał zbudować im piękny dom i dał im tyle pieniędzy, że odtąd mogli żyć beztrudnie i nie musieli więcej trudzić się węglarstwem.

A dla całej wsi urządził wielką ucztę. Było tyle jedzenia i picia, że ludzie jeszcze do dziś wspominają o niej i o księciu z Zielonej Łąki.

łuzyczka

Jak baca uczył panów jeść

Pewien król wybrał się na polowanie. Zgubiwszy swoich towarzyszy, brnął coraz głębiej i głębiej w las, aż zabłądził. Zapadła noc. Długo jeszcze się błąkał, aż wreszcie ujrzał światełko. Świeciło się w chatce u bacy. Podeszedł do tej chatki, a tam opadły go psy. Wyszedł na to baca i je uspokoił. Król spytał go:

- Proszę cię, czy mógłbym tu przenocować? Zgubiłem swoich towarzyszy - myśliwych. Teraz błąkam się i nie mogę znaleźć drogi z powrotem.

- Dobrze!

Baca miał przygotowaną wieczerzę dla swoich juhasów, więc poprosili również króla. Dali mu drewnianą łyżkę i miał jeść razem z nimi. A że był głodny, nie dał się długo prosić. Przy jedzeniu sięgnął do środka miski po najlepszy kąsek sera. Nasz baca trzasnął go łyżką po rękę i powiedział:

- Czemu nie żresz z brzegu, tak jak inni!

Król nic na to, ale sobie dobrze to spamiętał.

Wstali wczesnym rankiem. Juhasi, jak zwykle, poszli doić owce, a potem wrócili do koliby.

Każdy z nich wziął sobie pełną chochlę żętycy i napił się. Potem dali królowi i też się napił.

Król poprosił bacę, żeby go wyprowadził z lasu. Gdy już wyszli, król rzekł:

- Dziękuję ci za wieczerzę i za śniadanie. Przygotuj się na jutro, przyjdiesz do mnie na obiad.

Jeśli nie - każę cię powiesić!

Następnego ranka baca ogarnął się, założył swój piękny pas, ciupagę do ręki i ruszył na królewski dwór.

Powitano go tam serdecznie, bowiem już czekano na niego.

Baca udał się do króla i król także go powitał. Obiad był gotów, ministrowie już się zeszli. Ale baca wstydził się zasiąść do stołu z takimi dostojnymi panami. Król rozpuścił jego obawy mówiąc, że nie ma się czego wstydzić, bo skoro on jadł razem z juhasami i spał z nimi w kolibie, to i baca może tak samo zasiąść tu, przy jego stole.

Baca uśmiechnął się i siadł. Jadł jak i drudzy. Gdy podano pieczeń, jeden z ministrów sięgnął po kawałek z samego środka. Baca nie namyślając się trzasnął go swoją łyżką po ręce:

- Czemu nie żresz z brzega!

Minister bardzo się rozzłościł, że taki zwyczajny owczarz bije go po ręce. Na to odezwał się król:

- Daj spokój! On ma rację! Każdy powinien jeść to, co ma przed sobą, a nie patrzeć na to najlepsze. Ja sam dostałem za to od bacy po łapach!

Król wyraził bacy uznanie, a potem bogato go obdarował, tak że już do samej śmierci nie potrzebował bacować.

słowacka

O silnym parobku

Byli sobie mąż i żona. Mieszkali w małym domku i żyli bardzo ubogo. Bieda ich nie miała końca i mocno musieli się napracować każdego dnia, żeby zdobyć kawałek chleba.

Mieli synka imieniem Jan, który bardzo szybko, w ciągu kilku lat, wyrósł na silnego chłopca.

Był on jednak stale głodny i im szybciej rósł, tym więcej domagał się jedzenia. Rodzice wkrótce nie wiedzieli już, jak go nasycić. A i roboty w domu też nie było dla niego. Dlatego Jan postanowił pójść na wędrowną i poszukać takiej pracy, gdzie także dają dobrze jeść.

Nazajutrz pożegnał się z rodzicami i poszedł w drogę.

Po wielu dniach wędrowni przyszedł pod wieczór do pewnej kuźni. Był głodny i zmęczony. Miał nadzieję, że może kowalowi będzie potrzebny silny czeladnik. Wszedł więc i przedstawił swą prośbę. Kowal ucieszył się, gdy zobaczył silnego chłopaka, a że właśnie nie miał żadnego

pomocnika, przyjął go na czeladnika. Jan najadł się wreszcie do syta, a potem poszedł do swej izdebki. Nazajutrz, gdy słońce dawno wzeszło, kowal zaczął wołać go do roboty. Jan jednak nic nie słyszał. Kiedy kowal wszedł do izby na poddaszu, usłyszał takie chrapanie, że aż krokwie się trzęsły. Majster potrząsnął go mocno i po dłuższej szamotaninie zdołał go zbudzić.

- Dalej, do roboty! Po co mi czeladnik, który tak długo śpi! Lenia nie potrzebuje.

Gdy Jan zszedł do kuźni, majster już stał przy kowadle i wesoło w niego uderzał. Dał chłopcu ciężki młot kowalski. Jan uderzył nim tak mocno w kowadło, że wbiło się na dziewięć łokci w ziemię.

Wtedy kowal bardzo się przeraził, pobiegł do żony i zafrasowany powiedział, że ten czeladnik rozbija mu całą warsztat na kawałki.

Także i ona zatrwożyła się:

- On zje nam wszystko do szczętu, i to, co w kuchni, i to, co w piwnicy.

Pomyślała jeszcze chwilę i dodała:

- Poślij go po węgiel drzewny na Smoczą Polanę! Tam smoki już sobie z nim poradzą, a my się go pozbędziemy, już nie będziemy mieć z nim żadnych kłopotów.

Posłano zatem Jana na Smoczą Polanę. Dano mu stos worków, żeby przyniósł jak najwięcej węgla. Kowal i jego żona byli pewni, że go już nigdy więcej nie zobaczą. Jakże się jednak zdziwili, gdy wrócił pod wieczór z wielkimi workami pełnymi węgla.

Kowal zapytał go, czy nie spotkał nikogo na polanie.

- Ach, tak, było tam wprawdzie kilku karzełków, ale z nimi szybko sobie poradziłem - powiedział Jan.

Kowal postanowił wysłać go nazajutrz jeszcze raz do smoków. Gdy karzełki ujrzaly Jana, uciekły i przywołały smoki. Bowiem las do nich należał, a karzełki musiały przygotowywać dla nich węgiel. W pewnej chwili zaszumiało i zahuczało w powietrzu, i już smoki lecą wprost na Jana.

- Z tą szarańczą też dam sobie radę! - pomyślał.

Wyrwał duży dąb i tak bił nim gady, że w końcu legły martwe na ziemi. Wprawdzie mocno podrapały Jana, ale nie przejął się tym zbyt. Nappełnił swoje worki węglem i wrócił do kuźni. Nie chciał jednak być tam dłużej, bo stale był głodny. Poszedł więc gdzie indziej, i tak zaszedł do pewnego zamożnego gospodarza, który też pilnie potrzebował parobka.

Gospodarz był jednak bardzo skąpy, poza tym miał nadzieję, że Jan sam upora się z wszelką robotą. Jan przy umowie zażądał codziennie na śniadanie całego chleba, a na obiad pół worka ziemniaków. Otrzymał to wprawdzie, ale jednak nie był jeszcze całkiem syty. Pracował za to tak gorliwie, że wkrótce gospodarz nie miał już dla niego żadnej roboty. Aby go czymś zająć posłał go do lasu.

Było tam kilka móg duzych drzew, które Jan miał wykarczować. Gospodarz zamierzał przyjść po południu i pomóc mu. Gdy się tam zjawił, Jan już wykarczował wszystkie drzewa, poznoślił

je i pouklądał w stos. Gospodarz bardzo się przeraził, widząc, jaką siłę ma jego parobek, i stanowczo zdecydował się jak najszybciej się go pozbyć.

W pobliskim majątku mieszkał wójt. Był okropnym zdziercą. Każdego dnia wydawał swoim parobkom polecenia, a ten, który kończył pracę ostatni, otrzymywał porcję batów.

Do tego też wójta poszedł ów gospodarz i polecił mu swego silnego parobka. Wójt potrzebował właśnie jednego pomocnika, bo akurat były żniwa.

Gdy usłyszał o silnym Janie, ucieszył się i pomyślał:

- Ten mi tu popracuje!

Jan zgodził się na rok. Nie żądał zapłaty, tylko żeby mógł się najeść do syta. Potem jeszcze uzyskał w umowie to, że po upływie roku wolno mu będzie uderzyć chlebobawcę raz w twarz. Urzędnik ucieszył się w duchu, że ma taniego i głupiego parobka, który nie chce żadnego wynagrodzenia. Zaś tym, że raz dostanie w twarz, w ogóle się nie przejął.

Jan musiał kosić jęczmień. Wójt wyznaczył mu duże pole, chyba z pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt mórg, i był pewien, że Jan będzie męczył się nad tym z kilka tygodni. On tymczasem sporządził sobie ogromną kosę, a zamiast oselki zabrał obcęgi. Gdy się kosa wyszczerbiła, odłamywał zakrzywiony kawałek obcęgami. Zabrawszy się do roboty, w jednym dniu skosił całe pole jęczmienia tą ogromną kosą.

Po żniwach parobcy musieli wozić drzewo z lasu. Nie mogli jednak ścierpieć tego, że Jan jest taki silny i że tak szybko pracuje. Postanowili więc spłatać mu takiego figla, żeby dostał za to porcję batów.

Pewnego wieczora rozebrali więc jego wóz na części i pochowali je w różnych miejscach w obejściu. Wczesnym rankiem zaprzęgli konie do wozów i wyjechali. Przedtem budzili Jana, ale on lubił długo sypiać i nie chciało mu się wstać. Wreszcie wstał i nakarmił swoje woły. Potem odszukał części swego wozu i spokojnie poskładał wszystko jak należy. Gdy przyjechał do lasu, parobcy już byli solidnie spracowani, ale wozy były załadowane. Jan powyrywał drzewa z ziemi razem z korzeniami i powrzucał je na wóz.

Gdy parobcy to zobaczyli, przerazili się:

- Z nim coś jest nie w porządku - orzekli - uciekajmy stąd!

Spiesznie zaprzęgli woły i odjechali z drzewem. W domu opowiedzieli wójtowi, co Jan wyrabiał w lesie.

Ten też się przeraził i rozkazał:

- Zamknijcie bramy, żeby nie mógł wjechać!

Nie trwało długo i Jan nadszedł z drzewem. Brama była zamknięta, zapukał, ale nikt mu nie otworzył. Nie namyślając się długo, przerzucił jednego i drugiego wołu przez wysoki mur, potem wóz z drzewem, na koniec sam przelazł przez bramę.

Wójt widział to wszystko, ale - chociaż był wściekły - nie ośmielił się głośno złorzeczyć.

Parobcy spodziewali się, że wójt wychłoszcze Jana, ale czekali na to na próżno, wójt nie ośmielił się podnieść ręki na takiego silnego parobka. Tym bardziej chciał się go jednak pozbyć, szukając po temu okazji. Jan tymczasem pozostał tak długo, jak to było w umowie.

Minął rok i Jan zażądał zapłaty. Wójt bał się strasznie, że zostanie spoliczkowany; kazał zatarasować drzwi i schował się. Jan wyszukał sobie na podwórzu wielki kloc, rozbił drzwi, wtargnął do dworu, porozwalał dalsze drzwi, wszędzie szukając wójta. Gdy go wreszcie znalazł, ten trząsł się ze strachu i prosił, żeby darować mu uderzenie w twarz, i pytał, czego Jan w zamian żąda.

Ten zastanowił się chwilę, potem zażądał tyle grochu, ile zdoła sam wymłócić i wynieść za jednym razem. Najpierw pozbiierał wszystkie prześcieradła ze dworu i zrobił z nich ogromny wór. Potem poszedł do stodoły i zaczął młócić. W ciągu jednego dnia wymłócił cały tegoroczny zbiór i napełnił grochem ogromny worek. Zarzucił sobie ten wielki toból na plecy i ruszył przez dziedziniec.

Wójt zrozumiał, że stracił wszystek swój groch. Zastanawiał się, jak by tu dać sobie z Janem radę.

Zawołał wreszcie przez okno na parobków:

- Wypuście dużego byka!

Gdy Jan spostrzegł rozjuszony zwierzę, powiedział:

- No, z tym cielątkiem dam sobie radę! - chwycił byka za rogi i zarzucił go sobie na wór z grochem. - Groch z wołowiną, wcale niezłe jedzenie! - I z nowym ciężarem poszedł spokojnie dalej przez podwórze.

Wójt jednak nie dawał za wygraną. Rozkazał wypuścić wielkiego kiernoza, w nadziei, że ten pokona Jana.

Gdy Jan go ujrzał, zawołał uradowany:

- Wieprzowina jeszcze lepiej nadaje się do grochu! - po czym złapał zwierzę i zarzucił sobie na plecy.

Wójt wciąż jeszcze nie dawał za wygraną. Rozkazał szybko zamknąć bramę.

Lecz Jan chwycił ją, wyrwał z zawiasów i również załadował sobie na plecy.

Potem pomyślał zadowolony:

- Bardzo dobrze, teraz mam drewno, będzie na czym ugotować obiad!

Poszedł sobie, a chciwy wójt miał za swoje.

łużycka

Historia o trzech groszach

Raz pewien ubogi człowiek kopał rowy przy głównej ulicy. Nie wiem, jak to się stało, ale jednak zdarzyło się, że tą właśnie ulicą przechodził sam król. Zatrzymał się przy robotniku i pyta go:

- Mój pocziwcze, powiedz mi, ile zarabiasz dziennie przy tej robocie?

- Najjaśniejszy panie, zarabiam trzy grosze na dzień.

Zdziwił się król i pyta go, jak może wyżyć za te trzy grosze.

- Tak, miłościwy panie, wyżyłbym jakoś za nie, ale pierwszy grosz muszę oddać, drugi wypożyczyć, a dopiero trzeci grosz zostaje mi na życie.

Król nie wiedział, jak to rozumieć, dumał i dumał, i nie mógł tego pojąć.

W końcu przyznał, że nie wie, jak to rozumieć.

- Bo to jest tak, najjaśniejszy panie - mówi biedak - mam przy sobie mego starego, chorego ojca; jemu oddaję dług za to, że mnie wychował. Mam też małego synka, temu pożyczam, żeby mi oddał, jak sam już będę stary. A za trzeci grosz muszę się utrzymać.

- No, dobrze, jeśli tak - powiada król rad, że wreszcie zrozumiał jak to jest. - Widzisz, mam na zamku dwunastu doradców i im hojniej ich wynagradzam, tym więcej się skarżą, że nie mają z czego żyć. Teraz dam im tę zagadkę, którą słyszałem od ciebie. Gdyby przyszli do ciebie i pytali, nie powiedz im nic, dopóki nie zobaczysz mojej podobizny.

To rzekłszy podarował biedakowi garść dukatów, po czym wrócił na zamek.

Ledwo przyszedł, kazał zwołać swoich dwunastu doradców i tak rzekł do nich:

- Nie potraficie wyżyć z tego, co wam płacę, a jest przecież w naszym kraju człowiek, który zarabia tylko trzy grosze, a jeszcze z tych trzech groszy jeden oddaje, drugi pożyczka, i dopiero trzeci ma dla siebie na życie, i to - jak mówi - całkiem znośne. A zatem, jeśliście tacy mądrzy, powiedzcie, jak to jest możliwe. Jeśli w ciągu trzech dni nie potraficie na to odpowiedzieć, każę was przepędzić z kraju, żebyście darmo nie jedli mego chleba!

Dostojnym doradcom wydłużyły się miny, wrócili do domu i zaczęli się naradzać nad tą sprawą. Jeden chciał być mądrzejszy od drugiego, łamali sobie głowy na różne mądre sposoby, tylko nie potrafili po prostu myśleć tak, jak myśli biedak.

Tak minął jeden dzień, minął drugi, trzeciego mieli stawić się przed królem, a tu nawet nie zdołali odszukać owego człowieka, żeby im jakoś pomógł w ich kłopotach.

Wreszcie dowiedzieli się, gdzie jest i zaraz wszyscy udali się do niego. Nalegali prośbą i groźbą, żeby im powiedział, jak to jest z tymi trzema groszami. Ale on nie dał się zastraszyć. Powiedział im o zakazie króla i że dopiero wtedy, gdy mu pokażą królewską podobiznę, będzie z tego ziarna mąka.

- Skąd my ci tu weźmiemy królewską podobiznę - mówili - przecież ani król nie przyjdzie tu pokazać ci się na naszą prośbę, ani też ciebie nie puszczą na zamek przed jego oblicze!

Powiedz nam, jak to jest, daj spokój z tą podobizną!

- Jeśli nawet tego nie potraficie, z tej mąki chleba nie będzie! - chłop swoje.

Wtedy spróbowali ostatniego: obiecali mu złote góry i mnóstwo pieniędzy. On jednak milczał. Wreszcie, gdy już dość sobie z nich nakpił, że tacy mądrzy panowie nie potrafią sobie poradzić, wyjął dukata, jednego z tych, które podarował mu król i rzekł:

- Tu, patrzcie, jest podobizna króla. Sam mi ją podarował, widzę ją wyraźnie i nie muszę się obawiać, że złamię królewski rozkaz. Wolno mi zatem mówić, co zechcę. I powiedział im rozwiązanie zagadki.

Trzeciego dnia stawili się przed królem, teraz już mądrzejsi o rozum prostego człowieka. Odpowiedzieli bez trudu na pytanie.

Król jednak czuł, że coś tu jest nie w porządku i kazał przywołać owego biedaka.

- Powiedz mi - spytał - jak to się stało, że ty, taki stateczny przecie człowiek, złamałeś królewski rozkaz?

- Nie złamałem rozkazu, najjaśniejszy panie, milczałem jak kamień, dopóki nie zobaczyłem waszej podobizny. Mam ją nawet tu, przy sobie, samiście mi ją darowali.

Wyjął z kieszeni dukata z królewskim wizerunkiem i opowiedział o wszystkim: jak to doradcy błagali go, jak mu grozili, jak go na koniec suto obdarowali, i jak sobie z nich zakpił.

- No - mówi król - za to, że masz więcej rozumu od moich dwunastu doradców, nie będziesz już więcej kopać rowów. Zostaniesz panem na moim zamku i będziesz zasiadać przy mnie w radzie.

Potem zwrócił się do swoich doradców i powiedział:

- Nie wstyd wam?! Co z wami teraz zrobić? Odtąd koniec z dokładaniem wam pieniędzy, jeszcze ujmie się wam coś niecoś z tego, coście dotąd otrzymywali!

Od tego czasu doradcy nie ośmielili się nigdy więcej prosić króla o podwyżkę.

słowacka

Skarb w piwnicy

W pewnej wsi żył ubogi chłop pańszczyźniany. Mieszkał z żoną w mizernej chatce. Dzień w dzień musieli ciężko pracować na polu junkra, a zarabiali ledwie tyle, aby utrzymać się przy życiu.

Za chatką mieli ogródek i wąski skrawek ziemi, na którym uprawiali kartofle.

Gdy nadeszła jesień, spostrzegli, że tym razem kartofle niebywale obrodziły. Bardzo się ucieszyli, ale nie wiedzieli, co począć z takim bogatym zbiorem. Mąż zastanowił się chwilę, potem rzekł do żony:

- Wiesz co, żono, pogłębimy nieco piwnicę i tak uzyskamy miejsce na kartofle.

Gdy tak kopali, natrafili na jakieś naczynie. Był to garniec pełen błyszczących talarów.

- Co za szczęście! - zawołał mąż. I dodał: - Ale nikt nie może się dowiedzieć, że znaleźliśmy tyle pieniędzy, bo mógłby nas kto okraść. Następnego dnia, jak zwykle, poszła żona na pańszczyznę.

- Pomyśl tylko - szepnęła do sąsiadki - dziś w nocy wykopaliśmy w piwnicy pełen garnek pieniędzy. Ale na miłość boską, nie mów o tym nikomu! Sąsiadka nie potrafiła jednak dochować tajemnicy i opowiedziała innej kobiecie. Wkrótce już cała wieś o tym wiedziała, a niebawem również i junkier, który zaczął przemyśliwać, jak by tu zdobyć te pieniądze dla siebie.

Chłop wiedział, że junkier czyha na jego skarb, więc - pełen niepokoju - chwycił się podstępu. Najwięcej bowiem bał się tego, że żona wszystko wypaple junkrowi, gdy ją będzie pytał.

- Słuchaj - rzekł do żony - dzisiejszej nocy Turcy będą szli z psami przez naszą wieś. Jak cię zobaczą, poszczują je na ciebie. Musisz schować się w piwnicy!

Żona ukryła się w piwnicy, a mąż zamknął drzwi. Potem udał się do piekarza i polecił mu upiec dużo precelków. Rozsypał je naokoło domu. Rano zawołał żonę:

- Dzisiejszej nocy leciały z nieba precelki, idź i pozbieraj je!

Kobieta poszła i pozbierała wszystkie, jakie tylko były dookoła domu i w ogrodzie. Wieczorem chłop znów do niej mówi:

- Dziś musisz także iść do piwnicy, bo junkier dostał szału, więc poszczują go dziś psami i wypędzą ze wsi. Kobieta posłusznie zeszła do piwnicy.

Mąż tymczasem poszczuł swego psa przed domem. Gdy zaczął szczekać, rozszczękały się psy w sąsiedztwie, a potem wszystkie, jakie tylko były we wsi. Żona słysząc to, myślała: „Wielkie nieba, wypędzają pana ze wsi!”

Następnego dnia kazał junkier przywołać owego chłopca i zapytał go o pieniądze. Ale ten udawał, że o niczym nic nie wie, przecząc wszystkiemu.

Wobec tego junkier kazał przyprowadzić jego żonę i zapytał ją: - Czy to prawda, że znaleźliście pieniądze?

- Tak, to prawda - odpowiedziała.

Chciwy junkier chciał się dokładnie wszystkiego dowiedzieć, więc pytał dalej:

- Kiedy to było?

Kobieta zastanowiła się i rzekła:

- To było wtedy, jak Turcy szli przez wieś!



Odpowiedź wydała mu się bardzo dziwna, bo nic nie słyszał o Turkach we wsi. Zapytał więc, czy nie pamięta jeszcze innych szczegółów. Kobieta odparła:

- No tak, to było kilka dni przedtem, jak precelki leciały z nieba.

Junkier potrząsnął głową, bo nie zrozumiał również i tej odpowiedzi, pytał jednak dalej:

- Nie możesz sobie przypomnieć jeszcze czegoś innego?

- No właśnie, wielmożny panie - powiedziała kobieta - teraz przypomniałam sobie dokładnie. To było parę dni przedtem, zanim pan zwariował i zanim pana psami wygonili ze wsi!

Wtedy junkier wpadł we wściekłość i zawołał:

- To nie ja zwariowałem, ale ty! Zabieraj się stąd i precz mi z oczu!

W taki to sposób przebiegły chłop uratował garniec z pieniędzmi i mógł potem spokojnie z nich korzystać.

łużycka

O malarzu, który namalował prawdziwego czarta

W dalekim kraju żył jakiś osobliwy król. Z nudów i dla własnej przyjemności wymyślał różne bzdurne rzeczy. Gnębił swoich poddanych, a ci musieli się męczyć, żeby zaspokoić królewskie zachcianki, jeśli nie chcieli stracić głowy.

Pewnego razu rozkazał król przywołać swego nadwornego malarza i tak rzekł do niego:

- Słuchaj, namalujesz mi czarta, ale w jego rzeczywistej postaci, a nie według twojej fantazji. Musisz do tego znaleźć prawdziwego czarta. Jeśli ci się to nie uda, albo jeśli mnie oszukasz, stracisz głowę!

Co miał malarz robić? Nie było sposobu przekonać króla, że to jest niemożliwe. Nie znajdzie przecież nigdzie prawdziwego czarta, choćby cały świat przeszukał. Bardzo zgnębiony wrócił do domu na obiad. Wziął łyżkę w rękę, ale ją odłożył, i nawet nie tknął jedzenia. Żona obserwowała go z troską w oczach:

- Co ci jest?

- Ach, nie pytaj! - machnął smutno ręką.

- Może mogłabym ci coś poradzić, może pomóc?

- Nikt nie może mi pomóc - westchnął malarz i, aby uniknąć dalszych pytań, wstał i wyszedł z domu.

„Najlepiej będzie, jak zniknę ludziom z oczu. Po co mam im pokazywać swoją udrękę”. Tak rozmyślając opuścił miasto i poszedł prosto przed siebie. Wędrował bez celu, po różnych polnych drogach, aż tu nagle stanął przed nim jakiś myśliwy. Na pierwszy rzut oka wyglądał mniej więcej tak: zielone ubranie, kapelusz z zielonym piórkiem. Ale gdy malarz przyjrzał mu się dokładniej, spostrzegł, że z prawej nogawki wystaje mu kopyto. Od razu wiedział, kogo ma przed sobą: czarta!

„Tylko że taki diabeł, który wygląda zwyczajnie, na nic mi się nie przyda” - pomyślał markotnie. - „On się niczym - poza tym końskim kopytem - nie różni od zwykłego człowieka. Król byłby zły i nie uwierzyłby mi, że tak wygląda prawdziwy czart. Straciłbym głowę z pewnością”.

Czart tymczasem podszedł bliżej i przystanął. I jak to u diabła w zwyczaju, zaczął miotać iskry z oczu, robić grymasy i tupać kopytem. Może chciał napędzić malarzowi strachu. Lecz ten nie dał się niczym nastraszyć, zbyt był pogrążony we własnych troskach.

- Basama remtete, nie boisz się mnie? ! - zaskrzeczał rozzłoszczony czart.

- Czego mam się bać! Niczym prawie nie różnisz się od zwykłego człowieka

- odparł malarz.

- Tylko nie chciej, żebym ci się pokazał, jak wyglądam naprawdę! Pękłbyś ze strachu!

- Nie bądź taki pewny, tak źle jeszcze ze mną nie jest. Przez całe życie nie uczyniłem nikomu nic złego, więc nie potrzebuję się ciebie bać - odparł malarz.

- No, jeszcze tylko powiedz, że nawet chciałbyś zobaczyć, jak ja naprawdę wyglądam! - na to diabeł.

- Zgadłeś! Właśnie tego mi potrzeba!

- Coś takiego! A na co? - zdziwił się czart.

- Powiem ci. Nasz król jest nieludzki. Nie ma nic do roboty i tylko rozmyśla nad tym, jak nękać ludzi. Stałe wymyśla jakieś trudne, niemożliwe zadania. Jeśli ktoś nie spełni jego żądania, płaci za to głową. Teraz mnie czeka to samo, jeśli nie namaluję mu czarta tak, jak naprawdę wygląda.

- Jeśli tak jest, jak mówisz, możesz liczyć na moją pomoc diabeł okazał dobrą wolę. -

Przygotuj płótno! Codziennie, o mojej porze, to jest od godziny dwunastej do pierwszej w nocy, zjawię się u ciebie. Możesz mnie wtedy malować, tak jak rzeczywiście wyglądam, ale pokażę ci się nie w całości, tylko za każdym razem po kawałku.

- Dlaczego nie mogę zobaczyć cię całego? - zdziwił się malarz.

- Już ci powiedziałem, że wyglądam przerażająco. Może byś zniósł mój widok, boś nikomu nie uczynił nic złego, ale ręka by ci zadrżała, i wtedy nie mógłbyś porządnie malować. Musimy to tak urządzić, że będziesz malował tylko ten kawałek mojej postaci, który ci pokażę. A jak już go namalujesz, zaraz zasłonisz obraz, i tak dalej, i tak dalej, aż obraz będzie gotów.

- Zastosuję się do twej woli - zapewnił malarz. - Zaraz przygotuję płótno i już dzisiejszej nocy czekam na ciebie.

Malarz z lekkim sercem udał się do domu. Jego żona też odetchnęła z ulgą, widząc, że mąż jest w lepszym humorze. Ciężar spadł jej z serca, więc po wieczery poszła spokojnie spać.

Malarz tymczasem udał się do swego pokoju i zapalił tam w każdym rogu po jednej świecy, a potem zamknął starannie drzwi. Mógł to zrobić, bo diabeł, jeśli zechce, może wejść którędy bądź, czy to przez okno, czy przez zamknięte drzwi, czy nawet przez dach. Tym razem czart wybrał dach. Gdy wybiła dwunasta godzina, malarz usłyszał z góry odgłosy, jakby kto na strychu toczył kręgle. Wtem - bum! spadło coś na podłogę. Był to kawałek diabła, mianowicie rogi i kudłate włosy. Malarz chwycił szybko pędzel i namalował ten kawałek na płótnie. Potem to przykrył. Wtedy rogi i włosy podskoczyły z powrotem ku stropowi i tam znikły; znów było słychać toczenie kręgli i za chwilę wszystko ucichło. Malarz położył się spać i spał spokojnie aż do rana. Przez następnych kilka dni powtarzało się to samo od nowa, tylko że za każdym razem spadało coś innego: czaszka, oczy i uszy, nos, usta i broda, części tułowia, potem ręce, nogi i wreszcie ogon. Malarz za każdym razem natychmiast zakrywał to, co namalował. Gdy ostatniej, dziesiątej nocy, skończył malować ogon, zgasty nagle świece i rozległ się skrzeczący głos:

- Majsterku, skończyliśmy! Teraz dobrze się wyśpij, a rano zaniesiesz obraz królowi. Ale się ucieszysz, he, he! Wspaniale mnie utrafiłeś!

- A co będzie, jeśli się okaże, że nie? Wtedy stracę głowę! Zawsze, gdy oddaję pracę, wpięram muszę ją sobie obejrzeć:

- Tego by jeszcze brakowało! - zawołał diabeł. - Po co ci patrzeć na coś tak odrażającego, jak ja! Zwiń teraz ładnie twój obraz, póki jeszcze ciemno, a jutro rano, jak przyjdiesz na zamek, stań tyłem do tronu, trzymaj obraz nad głową i rozwiń go przez plecy. Potem wszystko zrozumiesz. Bądź pewien, że nie kłamię: dobrze mnie namalowałeś i nie potrzebujesz bać się o swoją głowę.

- Widzę, że dobrze mi życzysz - powiedział malarz i zwinął obraz. - Dziękuję ci za pomoc, a teraz powiedz mi, co ci jestem winien?

- Cóż byś miał mi być winien! Jak tylko dowiedziałem się od ciebie, jakim niegodziwcem jest wasz król, chętnie ci pomogłem.

- Ja jednak bardzo chciałbym ci za to coś dać!

- Nie myśl o tym - odparł czart - już ja swoje dostanę!

Potem jeszcze raz usłyszał toczenie kręgli na strychu, i prawie żał mu było, że czart już się więcej nie zjawi.

Następnego ranka pobiegł ze zwinionym obrazem na zamek. Strażnik i słudzy wiedzieli już, dlaczego przychodzi i zaprowadzili go prosto do króla.

Malarz uklonił się i rzekł:

- Miłościwy królu, namalowałem czarta w jego prawdziwej postaci, tak jak sobie tego życzyła wasza królewska mość.

- Wydajesz mi się zbyt pewny siebie - burknął król. - Pokaż, niech się przekonam, czyś mnie nie oszukał!

- Na Boga, niech wasza królewska mość nie ogląda tego obrazu zaklinał przerażony malarz. - Wasza królewska mość nie zniesie tego widoku!

- Ach, ty cwany ptaszku, chcesz mi tu coś wmówić i pewnie mnie nastraszyć! Tylko bez wykrętów, rozwiń obraz, i to już! - rozkazał król.

Rozkaz królewski jest rozkazem i trzeba go wykonać. Tak więc malarz stanął tyłem do tronu, przerzucił obraz przez głowę i w tym momencie ukazała się królowi postać diabła w całej okazałości.

- Brr! Straszne! Zgroza!

I to było wszystko, co król z siebie wykrztusił. Oczy wylazły mu na wierzch, zaparło dech, i zwałił się z tronu. Więcej już nie wstał. W tejże chwili komnata zatrzęsa się od strasznego śmiechu. Malarz wiedział już, kto się tak śmieje. A nie był to nikt inny, tylko sam czart. Takim to sposobem czart przysłużył się nie tylko malarzowi, ale i całemu krajowi i odtąd wszyscy ludzie w tym kraju byli weseli i szczęśliwi. Nikt nie musiał więcej bać się o swoje życie, bowiem nowy król był mądry i rozumny. Troszczył się o dobrobyt swoich poddanych i nigdy nie przyszło mu na myśl gnębić kogokolwiek.

czeska

Jak diabeł służył u gospodarza za parobka

W pewnym domu był zwyczaj każdego dnia dawać jałmużnę biedakowi. Jeśli biedak się nie zjawił, kładziono skromny datek na ławę przed domem, żeby przechodzący tamtędyż brak mógł go sobie zabrać. Pewnego razu zdarzyło się, że po świecie wędrował diabeł i szukał czegoś do zjedzenia. Jednak nigdzie nie mógł nic znaleźć, a był już bardzo głodny. Tak zaszedł do owego domu, gdzie wyłożono jedzenie na ławę. Wiedział wprawdzie dobrze, że jest ono przeznaczone dla jakiegoś przechodzącego biedaka, a nie dla niego, głód mu jednak tak bardzo dokuczał, że wziął to i zjadł. Potem poszedł dalej, żeby znów coś zdobyć. Tego dnia nie miał jednak szczęścia, więc zniechęcony wrócił do piekła. A tu brama zamknięta. Zaczął walić w nią pięściami, lecz nie chciano mu otworzyć, za karę, że zabrał ubogiemu jałmużnę. Najstarszy diabeł kazał mu za to na trzy lata iść na ziemię, na służbę za parobka. I tak poszedł biedny diabeł szukać roboty. Długo szukał na próżno. Wreszcie trafił do pewnej wsi i tam chodził od gospodarza do gospodarza z prośbą o przyjęcie na służbę. Wszyscy jednak mu odmawiali, tłumacząc:

- Rządzi tutaj bardzo zły pan, który tak nas nęka pańszczyzną, żeśmy już wszystkie nasze konie zmarnowali. Z powodu tej pańszczyzny nie możemy nawet obrobić własnego pola. Mamy dużo roboty, a mało jedzenia. Przy takiej harówce padły nam już konie, wkrótce przyjdzie kolej na nas. Jeszcze tylko jeden gospodarz ma dwa konie, ale są one już tak liche, że mógłby je unieść w chustce. Dlatego też i on pewnie nie przyjmie parobka.

Diabeł spytał, gdzie mieszka ów gospodarz. Potem poszedł do niego i bardzo prosił, żeby przyjął go na służbę.

Chłop tłumaczył:

- Drogi bracie, parobek jest mi nawet bardzo potrzebny, ale mimo to nie mogę cię przyjąć, bo sami nie mamy co jeść.

Na to diabeł:

- Ach, gospodarzu, przyjmijcie mnie, bardzo was proszę! Będziemy pracować z całych sił, a jeśli tak będziemy pracować, będzie co jeść. - Siadł na ławie i nie ustępował.

Chłop nie mogąc się go pozbyć, przyjął go wreszcie na służbę, myśląc:

„Tak czy owak - sam sobie pójdzie”.

Nazajutrz przyszedł parobek do izby i pyta:

- Gospodarzu, konie napasłem, co dziś robimy?

Gospodarz:

- Mam na polu jeszcze nieco zboża w kopakach. Jak zjemy śniadanie, zwieziemy je i wymłócimy.

Po śniadaniu wyjechali w pole. Gdy już wóz był naładowany wysoko, aż po drabiny, gospodarz powiedział, że dosyć, i nie pozwolił dołożyć ani jednego snopka więcej, z obawy, że konie nie uciągną wozu. Ale parobek powiedział:

- Ach, co tam, z powodu tej resztki jeszcze raz jechać w pole? Nie bójcie się, gospodarzu, biorę to na siebie, że konie dadzą radę!

Przekonał gospodarza; załadowali wszystko zboże na wóz, a konie ruszyły i ciągnęły jakby nigdy nic. Chłop nie mógł się nadziwić. Zajechali do stodoły, parobek wyprzągnął konie i zaprowadził je do stajni, gospodarz zaś poszedł do domu sprowadzić ludzi do młócenia. Tymczasem parobek wlaź na wóz i z takim rozmachem zrzucał snopki na klepisko, że aż ziarna pryskały z kłosów.

Gospodarz wrócił i chciał rozłożyć na klepisku snopki do wymłócenia. Wziął jeden z nich w rękę, i wydał mu się dziwnie lekki; obejrzał kłosa, a tu ani jednego ziarnka. Wziął drugi, trzeci - wszystkie wymłócone do czysta! Zdziwił się jeszcze bardziej, ale nic nie powiedział. Potem oczyścili ziarno i zanieśli je na strych.

Parobek bardzo dbał o konie, również i one przyzwyczyły się do niego. Odrabiał oprócz tego pańszczyznę, nie zaniedbując gospodarstwa swego chlebobawcy. Z roku na rok wiodło się gospodarzowi lepiej, konie miał teraz dobre, pola uprawione jak należy, i dochował się już nawet krowy.

Sąsiedzi nie mogli się nadziwić i usiłowali ściągnąć parobka do siebie. Ale on nie dał się namówić. Sam gospodarz nie mógł wyjść z podziwu; jedno tylko wciąż chodziło mu po głowie, mianowicie, dokąd parobek chodzi do kościoła. Bo, gdy oni szli do kościoła, parobek również wychodził z domu, lecz w kościele nikt go jeszcze nigdy nie widział. Ponieważ jednak dobrze pracował, nie odważono się go o to pytać.

Któregoś dnia przyszedł wódarz do chłopca z rozkazem, żeby natychmiast stawił się na zamku. Chłop wziął kapelusz i udał się z miejsca w drogę.

Przyszedłszy na zamek stanął pokornie w drzwiach. Pan powiedział do niego:

- Gospodarzu, słyszałem, że masz mocne konie i silnego parobka. Rozkazuję ci, żebyś jutro przyniósł tu, na zamek, blok skalny z tamtej góry, która jest naprzeciwko.

Chłop stał jak ogłuszony, bo to był ogromny skalny blok, którego żaden wóz nie uniesie, którego nikt nie zdoła załadować, i którego nawet najsilniejsze konie nie uciągną. Zupełnie załamany wrócił do domu.

Parobek pyta go:

- Gospodarzu, co wam jest? Jesteście tacy strapieni!

Chłop opowiedział, jakie to zadanie dał mu pan. Parobek na to:

- Ach, gospodarzu, to drobiazg! Z tego powodu nie musicie sobie wcale łamać głowy! Co pan kazał, to się zrobi!

Chłopa jednak dręczyła obawa:

- Jak sobie to wyobrażasz! Może nasze konie uciągną ten ciężar, może dostaniemy tylu ludzi, żeby nam załadowali tę skałę, ale żaden wóz nie wytrzyma tego!

Parobek jednak tylko się uśmiechał: - Naszym wozem damy radę!

Ale chłopu wcale nie było do śmiechu.

Następnego ranka parobek wstał wcześnie, nakarmił konie i oporządził wóz.

Po śniadaniu ruszyli w drogę. Gdy przyjechali do owej skały, wziął drag i łom, i za chwilę skalny blok leżał już na wozie. Gospodarz wielce zdumiony, tylko się przyglądał. Potem parobek świsnął batem i wóz lekko ruszył, jak ze zwykłym ciężarem,

Gdy przyjechali na zamek, pan stał właśnie w oknie. Patrzy, a tu parobek wjeżdża już w bramę. Natychmiast posłał rządcę, żeby nie wjeżdżali na dziedziniec. Zanim ten jednak do nich dobiegł, już mijali bramę wjazdową. Brama rozwalila się od tej ogromnej skały. Parobek wjechał na dziedziniec i woła:

- Gdzie złożyć ten blok?

Wskazano mu miejsce, gdzie akurat znajdowała się pod spodem piwnica. Ledwo złożyli skałę na ziemi, piwnica zarwała się i blok całym ciężarem wpadł do środka. Pan był wściekły o tę zmarnowaną piwnicę. Nie chodziło mu bowiem wcale o owa skałę, tylko o to, żeby zgnębić chłopca!

Nie trwało długo i znów przyszedł rządcą z rozkazem od pana, żeby chłop stawił się natychmiast na zamku. Tam dostał taki rozkaz:

- Na polu mam dość robotników do pańszczyzny, dlatego ty pójdziesz do wyrębu. - Pan podszedł do okna i wskazał na las; tam miał chłop wycinać drzewa, poukładać je w sęgi, porąbać gałęzie, powiązać je w wiązki, a wszystko to w czternastu dniach!

Chłop błagał i tłumaczył, że to niemożliwe. Nawet gdyby trzydziestu ludzi gorliwie pracowało, to nawet za rok nie będą jeszcze gotowi z tą robotą.

Pan jednak nie zważał na jego prośby. Wrzasnął:

- Jak każę, tak będzie! W czternastu dniach masz być z tym gotów!

Chłop bardzo się strapił, znając nieustępliwość swego pana i surowe kary, jakich nie szczędził nikomu. Wrócił do domu, z nikim nie rozmawiał, wieszka mu nie smakowała.

Parobek go pyta:

- Gospodarzu, co wam jest?

- Ach, mój kochany, pan żąda ode mnie rzeczy niemożliwej! I opowiedział wszystko parobkowi. Ale parobek pocieszał go:

- Nie łamcie sobie głowy, gospodarzu, jeśli tylko tym się trapiacie, możecie spokojnie spać, wszystko będzie dobrze!

Chłop z nadmiaru troski nie mógł jednak zasnąć całą noc. Rano przyszedł parobek do izby i mówi:

- Gospodarzu, idźcie na zamek i powiedzcie panu, że las jest już wyрубany i wszystko zrobione według rozkazu.

Chłop na to, żeby nie robić z niego błazna, bo i tak ma dość kłopotów. Ale gdy parobek wyprowadził go na dwór i pokazał, że lasu już nie ma, zdziwił się ogromnie. Nie miał jednak odwagi spytać parobka: „Jak to zrobisz?”

Po śniadaniu udał się na zamek i zameldował panu, że robotą gotowa. Pan podszedł do okna i spojrział. Gdy zobaczył, że to prawda, zgrzytnął zębami z wściekłości. Nie chodziło mu bowiem wcale o to, tylko - żeby zgnębić chłopca.

A gospodarzowi wiodło się coraz lepiej, jego gospodarstwu przybywało dobytku, mijał trzeci rok, a parobek wciąż jeszcze wiernie mu służył. O zapłacie nie było dotąd mowy, parobek nie upominał się nawet o przydziewek. Za każdym razem, gdy gospodarz nawiązywał do sprawy zapłaty, otrzymywał odpowiedź, że jeszcze nie pora na to. Ale czas służby zbliżał się ku końcowi. Wtedy to właśnie znów przyszedł rządcą z rozkazem, żeby chłop stawił się natychmiast na zamku. Chłop poszedł.

- Gospodarzu, mam ochotę pojechać do piekła. Ty masz dobre konie, więc mnie tam zawieziesz! Jutro rano, o ósmej, stawisz się z twoimi końmi we dworze. Powóz dostaniesz tutaj!

To było już chyba najgorsze. Chłop przeraził się strasznie tym niesamowitym rozkazem i prosił:

- Wielmożny panie, niech nas Bóg broni przed piekłem! Pan tupnął nogą i wrzasnął:

- Milcz! Jutro rano o ósmej jesteś tu! Zrozumiano?!

Chłop zafrasowany, ze zwieszoną głową, wrócił do domu. A tu diabeł, nadzwyczaj wesoły, pyta go:

- Gospodarzu, co wam jest?

- Ach, mój kochany, tym razem z pewnością nie zdołasz mi nic pomóc, ale opowiem ci, żebyś choć współczuł mojej niedoli.

I opowiedział o niesamowitym rozkazie, jaki otrzymał od pana. Diabeł na to:

- Będzie miał, czego chce! Jutro mijają właśnie trzy lata, jak służę u was, gospodarzu. Nie mówiłem wam dotąd, kim jestem i skąd pochodzę, ale teraz przyszła na to pora. Otóż jestem diabłem, a ponieważ ukradłem jałmużnę przeznaczoną dla biedaka, musiałem za karę iść na trzy lata na ziemię i służyć za parobka.

Chłop przeraził się.

- Nie bójcie się, gospodarzu! Nie zrobiłem wam przecie nic złego, służyłem wiernie, nie żądam za to zapłaty, chcę tylko jutro jechać z wami. Nic się wam nie stanie, nie martwcie się, weźcie tylko wszystko potrzebne do drogi. Jak tylko ruszymy ze dworu, nie zatrzymamy się nigdzie, aż dopiero na miejscu. Tam wasz pan wysiądzie, wy weźmiecie swoje konie i wróćcie do domu. Ale nie wolno wam prędzej oglądać się za siebie, dopóki nie zobaczycie czarnego psa. Wtedy zobaczycie, co się stało, a ten pies pokaże wam potem drogę do domu.

Cóż miał chłop robić? Musiał się na to zgodzić, bo inaczej straciłby konie.

Nazajutrz parobek wstał do dnia, nakarmił i oporządził konie. Krótco przed ósmą obaj wsiedli na konie i pojechali na zamek. Pan czekał już na nich wyglądając przez okno, a na dziedzińcu stał powóz gotowy do drogi. Ledwo zaprzęgli konie, pan wsiadł do powozu. Parobek usadowił się na koźle, chłop z tyłu i - wio! konie rwały jak w powietrzu.

- Hej, parobku! - wołał chłop - zgubiłem kapelusz! Parobek się roześmiał:

- Ha, ha, gospodarzu, wasz kapelusz został za nami, gdzieś tam w ósmym kraju! Znajdziecie go, jak będziecie wracać!

A chłopu zdawało się, że ledwo co ujechali.

Po jakimś czasie przybyli na rozległą, zieloną łąkę. Zatrzymali się tu, pan wysiadł z powozu, a chłop zabrał konie i natychmiast zawrócił.

Nie trwało długo i zjawił się czarny pies. Wtedy chłop przypomniał sobie, co mu mówił parobek i obejrzał się za siebie. Tam, gdzie była zielona łąka, zobaczył tylko gęsty, śmierdzący dym.

Ruszył pędem z miejsca, pies biegł przed nim i wskazywał mu drogę. Znalazł też swój kapelusz i wkrótce potem był już w domu.

Ale pan nigdy już nie wrócił.

czeska



## O głupim diable

Był raz pewien ubogi szewc, który z biedy nie wiedział już, co począć. Miał dużo dzieci, które trzeba było wyżywić, a tu ani pracy, żeby coś zarobić, ani znikąd pomocy. Tak więc z rozpaczny postanowił się powiesić. Wziął stryczek i poszedł do lasu.

Szukał sobie właśnie odpowiedniego drzewa, a tu staje przed nim diabeł i pyta:

- Co robisz?
- Drę łyka, nakręcę z nich powrozów i będę łapał małe diabłątką!

Na to diabeł:

- Zostaw nas w spokoju, a dam ci, co zechcesz!
- Jak przyniesiesz mi tyle pieniędzy, ile zdołasz unieść, dam wam spokój!
- odparł szewc.

Diabeł przyniósł mu rzeczywiście tyle pieniędzy, ile zdołał unieść i wrócił do piekła. Tam obstały go inne diabły i pytały, co widział na ziemi. Wtedy opowiedział im, że spotkał szewca, który w lesie kręcił z łyka powrozy do łapania małych diabłąt. Czarty orzekły, że powinien był dać szewcowi pieniędzy, i tak się okupić. On im na to, że już to zrobił, że dał szewcowi tyle pieniędzy, ile mógł unieść. Diabły jednak były zdania, że dał mu stanowczo za dużo, kazały mu więc wrócić na ziemię i mocować się z szewcem: kto z nich obu będzie silniejszy, tego będą pieniądze.

Przyszedł diabeł do szewca i mówi:

- Słuchaj, dałem ci za dużo pieniędzy! Mocujmy się, kto będzie silniejszy, ten weźmie pieniądze!

Szewc zaczął się zastanawiać, jak by tu przechytryć diabła. Wiedział zaś, że w lesie mieszka niedźwiedź. Zaproponował więc:

- Jest tu w lesie mój dziadek, ma już dziewięćdziesiąt dziewięć lat.

Jeśli rzucisz go o ziemię, to będzie tak samo, jakbyś mnie rzucił.

Diabeł udał się za szewcem. Ten pokazał mu niedźwiedzią jamę i powiedział:

- Tam on jest, wejdź i mocuj się! Czart zbudził niedźwiedzia:
- Chodź, mocuj się ze mną! Zobaczymy, kto silniejszy!

Niedźwiedź złapał diabła i cisnął nim z taką siłą o ziemię, że aż mu się w oczach zaświeciło. I diabeł, jak niepyszny czmychnął do piekła. Tam, oczywiście, musiał powiedzieć; kto był silniejszy.

- Z tym człowiekiem nie chcę mieć nic więcej do czynienia, to chyba potwór! Jego dziadek, który ma już dziewięćdziesiąt dziewięć lat, tak mi przyłożył, że byłbym prawie oślepi! A co dopiero sam szewc! Ten musi mieć siłę!

Diabły jednak obstawały przy tym, że szewc dostał za dużo pieniędzy, więc posłały innego czarta; ten z kolei miał się z szewcem ścigać; kto będzie szybszy, tego będą pieniądze.

Przyszedł więc do szewca ten drugi diabeł i mówi, że tym razem będą się ścigać. Na to szewc:

- Mam tu małego, ma dopiero trzy dni. Jeśli go prześcigniesz, wygrasz zakład:

Diabeł spytał, jak na imię temu małemu, szewc na to, że Jankesz; potem zaprowadził diabła pod drzewo, gdzie zając miał swoją norę. Czart krzyknął:

- Jankesz! Wylaż, biegniemy o zakład!

Zajaczek wyskoczył i, nie czekając na czarta, puścił się pędem, na łeb na szyję, aż dopadł do potoczka i - skok! do wody. Diabeł za nim, ale trzasnął w kamienie i mocno się potłukł. Zanim wylaż z wody, zajączek był już na przeciwnej górcie i nie było po co dalej się ścigać. Diabeł zawrócił do piekła i tłumaczy się:

- Ten szewc to potwór! Nie chcę mieć z nim nic do czynienia! Jego mały chłopczyk ma dopiero trzy dni a ja nie mogłem go dogonić. A co dopiero, gdybym się ścigał z samym szewcem!

Na to jeden z czartów:

- Ach, jakiś ty głupi! Ja pójdę i spróbuję się z nim zmierzyć! I tak poszedł trzeci diabeł do szewca:

- Daliśmy ci za dużo pieniędzy. Teraz, który z nas wykaże się większą siłą, ten weźmie pieniądze. Będziemy nosić konie dookoła lasu. Ten, który trzy razy przeniesie konia wokół lasu - wygra. Szewc wyprowadził ze stajni najlepszego konia pod las.

Diabeł mówi: - Nieś!

- Ja nie poniosę, nieś ty! - powiada szewc.

I tak wziął diabeł konia na plecy i dźwigając go, ruszył w drogę dookoła lasu. Ale nie dał rady i musiał zrzucić konia z grzbietu, i odpocząć. Na to szewc:

- Tyś zrzucił konia z karku i musiałeś odpoczywać - ja go nie zrzucę. Tyś niósł go na grzbiecie - ja go poniosę między nogami.

To rzekłszy, szewc wskoczył na konia, podciął go i kłusem objechał las trzy razy dookoła.

Potem zwrócił się do diabła:

- Widzisz, jestem silniejszy od ciebie!

Także i ten diabeł wrócił do piekła i powiada:

- To jest rzeczywiście potwór! I ja nic już nie chcę mieć z nim do czynienia. Ja niosłem konia na grzbiecie - i ledwo mogłem podolać; on wziął go między nogi, a jeszcze popędził batem - i już był trzy razy dookoła lasu!

Czartom jednak ta sprawa wciąż jeszcze nie dawała spokoju. Posłali czwartego diabła do szewca. Teraz - kto najlepiej potrafi gwizdać - tego będą pieniądze. Przychodzi diabeł do szewca i mówi:

- Zagwiżdż! A szewc na to:

- Gwizdnij ty wpierw!

Diabeł gwizdnął raz - z drzew lecą liście; gwizdnął drugi raz - lecą już gałązki; gwizdnął trzeci raz - łamią się konary.

Na to szewc:

- Gwizdnąłeś trzy razy, i leciały liście, potem gałązki, wreszcie konary.

Ale jak ja gwizdnę, polecą drzewa! Jeśli nie chcesz oślepnąć, nie powinieneś patrzeć na to!

Więc diabeł prosi:

- Przyjacielu, zawiąż mi oczy!

Szewc to zrobił. Potem rozejrzał się dokoła za jakimś polanem. Znalazł porządny kawał drewna, napluł w garście, chwycił to drewno, gwizdnął i - trzasnął diabła z całej siły w łeb!

Potem powiedział:

- A widzisz! Nie mówiłem, że polecą drzewa!

Diabeł prosił, żeby już więcej nie gwizdał, bo go strasznie boli głowa, ale szewc nie ustąpił:

- Jeśliś ty gwizdnął trzy razy, to i ja mam prawo!

Gwizdnął drugi raz i znów trzasnął diabła w łeb, a potem jeszcze trzeci raz.

Czart ogłuchł i ośleplł; zdarł sobie chustkę z oczu i wcale nie patrzył, czy się gdzie jakie drzewo przewróciło, czy nie, tylko zmiatał do piekła.

Od tego czasu nie pokazał się już żaden diabeł, żeby próbować sił z szewcem.

czeska

Szewc i diabeł

W pewnym dalekim, bardzo dalekim kraju, gdzieś chyba za plecami pana Boga, żył pewien ubogi szewc z żoną. Nie darmo mówi się, że bogaci cieszą się pieniędzmi, biedacy zaś mnogością dzieci. Tak też i ci dwoje mieli tyle dzieci, ile dziur w rzeszocie.

Z początku wiodło im się jeszcze jako tako, bo szewc znał swoją robotę. Ale potem przyszły ciężkie czasy, w kraju nastała bieda i o pracę było bardzo trudno. Doszło wreszcie do tego, że szewc nie miał już w ogóle nic do roboty. A że bez pracy nie ma kołaczy, bieda zagościła w ich domu; dzieci siedziały po kątach i płakały z głodu. Gdy już w chacie nie stało nawet suchego okruszka chleba, choćby tyle, co mucha uniesie na skrzydełkach, płacz głodnych dzieci całkiem już ścisnął bólem serce biednego szewca. Prześladował go ten płacz, chociaż zatykał

sobie uszy, czy też chował głowę w kupce siana aż na strychu. Krótko mówiąc, nie wiedział już, gdzie się schować przed tym żalonym lamentem. Raz, późno wieczorem, nie wiedząc z rozpaczy co dalej, zawołał ze złością:

- Cóż ja, biedny człowiek, mam począć?! Byłoby lepiej, żeby nas diabli wzięli! Was - albo mnie! Wtedy może miałbym spokój, choćby nawet w piekle, ale przynajmniej nie słyszałbym was więcej!

Oj, biada! Poczciwy szewc powiedział coś, czego nie wolno mu było mówić. Bowiem nie trwało długo, gdy usłyszał w sieni jakiś szmer i stuk końskich kopyt. Otworzył drzwi. Do izby wdarł się zapach siarki i w mroku sieni ujrzał go! Kogo? No, kogóż by innego, jak nie diabła! Czart wywracał oczami, miał zmierzwione włosy, krótkie rogi, z tyłu długi ogon, i cały był obrośnięty.

- Wzywaleś mnie, tom przyszedł! - mruknął.

- Wzywał, czy nie - co to ma znaczyć?! - mówi przerażony szewc. Człowiek czasem nie wie nawet, co mu z ust wyleci! Nie dziw mi się, z biedy doprawdy nie wiem, co dalej robić, jak nakarmić dzieci. W chacie nie ma ani okruszynki chleba, a gdzież dopiero choćby jednego grajcara, za którego mógłbym kupić im choć trochę na ząb, żeby nie pomarły z głodu. Jak tu zdobyć parę groszy, jeśli nie chcę kraść lub żebrać?! No, powiedz!

- Próżne gadanie, szewcze! Gotuj się do drogi! - na to diabeł.

- Wolnego! Tak szybko to nie pójdzie! - odparł szewc. - Czy kto już słyszał, żeby diabeł brał duszę tak za nic, za darmo?

- Wedle mnie, niech i tak będzie, nie chcę ci być nic dłużny. Powiedz, czego żądasz za swoją duszę, a kupię ją.

- Czego żądam? Trudno tak od razu powiedzieć. - Szewc zaczął się zastanawiać, ale wtem przyszła mu pewna myśl do głowy:

- Już wiem! Jeśli przyniesiesz mi tyle dukatów, ile zmieści się w jednym bucie, moja dusza należy do ciebie. Wtedy możesz mnie zabrać, jak już moje dzieci będą zabezpieczone.

- Dobrze! - zgodził się diabeł - postaraj się o but, powieś go w kominie, a ja tymczasem przyniosę pieniądze. - To powiedziawszy, diabeł znikł.

„Ach, ty diable, pewnie myślisz, że to tak łatwo kupić duszę, i że tak za nic oddam ci ją w twoje pazury?! Mylisz się, mnie tam nie przechytrzysz. Co bym to ja był za szewc, gdybym sobie nie poradził z diabłem!”

I nasz szewc od razu poweselał; chciało mu się nawet śmiać i tańczyć. Pobiegł do komory, wziął ze skrzyni stary, znoszony but i wszedł z nim na dach. Diabeł mógł przecież każdej chwili wrócić. Do piekła jest wprawdzie dziesięć razy dalej niż na koniec świata, ale co to dla diabła! Dla niego jest to tak daleko, jak dla człowieka z jednego końca wsi na drugi. A jeśli diabeł wróci i nie zastanie buta w kominie? Może jeszcze raz sobie wszystko przemyśli, i szewca zostawi szewcem, a ten mógłby źle na tym wyjść, cierpieć dalej biedę, słuchać skarg dzieci, i wreszcie całkiem popaść w rozpacz.

I szewc dobrze myślał. Ledwo powiesił but w kominie, zerwał się silny wiatr i już diabeł był z powrotem z ciężkim workiem na plecach:

- Mam nadzieję, że nie kazałem ci zbyt długo czekać, przyjacielu zarechotał. - Jak widzisz, przyniosłem dość dukatów. To na wszelki wypadek, gdybyś wyszukał jakiś specjalnie duży but. Myślę jednak, że w twój but nie zmieści się więcej niż z pięć garści dukatów.
- No, to spróbuj, przyjacielu! But nie wydaje się wprawdzie duży, ale z pewnością nie wystarczy tego, co przyniosłeś w worku:
- Nie pleć, lepiej patrz!

Diabeł rozwiązał worek i nasypał tyle, ile - jak mniemał - zmieści się w bucie. A ponieważ było tam ciemno, jak to w kominie, pomacał brzeg buta, żeby przekonać się, czy jest już pełny. Ale tam nic nie było, a but zdawał się być pusty, jak przedtem. Sypał więc dalej z worka, a pieniądze spadały do buta jak do studni bez dna.

Worek był już prawie pusty, więc diabeł wytrząsnął jeszcze resztki z wszystkich rogów. Ostatnie dukaty brzękły w bucie, jakby kto rzucił kamyczek do stawu.

- To przecież niemożliwe - warknął gniewnie diabeł. - Worek dukatów jest przecież o wiele większy niż ten cały but!
- A nie mówiłem ci, że but tylko nie wydaje się taki duży? - śmiał się szewc.
- No, dobrze, nawet dwa worki, to jeszcze nic dla mnie. But będzie pełny, a ty będziesz mój!
- Dlaczego nie?! - Chętnie! Lecz przedtem musisz spełnić nasz warunek!
- Dla mnie to drobiazg! Poczekaj, zaraz będę z powrotem.

Diabeł znikł i wrócił wkrótce z drugim workiem pełnym dukatów.

Wszystko było znów tak samo jak przedtem: diabeł wysypał pieniądze do buta, potem pomacał po jego brzegu, czy jest już pełno. A nie poczuwszy pieniędzy, wytrząsnął jeszcze worek do ostatniego dukata.

- Do kroćset lucyferów! Tu się coś dzieje nie tak! - zaklął diabeł.
- Jak to, nie tak! Przeliczyłeś się, przyjacielu - śmiał się z niego szewc.
- Jeśli tak - to dobrze! Trzeci worek musi wystarczyć, potem koniec z tobą!
- Jeśli tak sądzisz...

Ale szewc nie zdążył dokończyć, bo diabeł już pognał do piekła po trzeci worek dukatów. Bardzo się śpieszył, żeby zdążyć zanim kogut zapieje, bo inaczej straciłby nie tylko szewca, ale i z nim samym byłby koniec.

Po chwili był już znowu z powrotem. Sypał i sypał dukaty, ale but był tak samo pusty, jak na początku. Ciągnął teraz worek za workiem, pieniądze sypały się do buta i sypały, ale wciąż nie chciało być pełno. W tej zapalczywości zapomniał o czasie, bo myślał tylko o tym, żeby nie stracić szewcowej duszy.

Nie wyszło mu to na dobre. Nadszedł moment, kiedy kogut zwiastuje ludziom we wsi nowy dzień. Tak więc kogut zniecka zapiał, diabeł zawył ze złości i bólu, po czym pękł. Została po nim tylko kałuża smaru do wozów.

A szewc z radości aż zacierał ręce. Złapał kilka dukatów, które zahaczyły się akurat na wierzchu buta i pobiegł do piekarza. Tam kupił chleba i różnego pieczywa. Potem zbudził kupca i kupił u niego kawy zbożowej, a gdy dzieci się obudziły, śniadanie było już gotowe na stole. Później poszli wszyscy razem do miasta i tam każde z dzieci dostało nowe suknie, i z

koszami pełnymi jedzenia, którego było tyle, że starczyłoby na cały miesiąc, wrócili do domu. Tylko, że to wszystko wcale na długo nie było potrzebne.

Znów nastały lepsze czasy i pewnego pięknego dnia bieda znikła, nie tylko z chatki szewca, ale także ze wsi i z całego kraju. Znowu było dość kupców na buty, a gdzie jest robota - tam jest i chleb. Nikt z rodziny nie potrzebował już więcej sięgać po diabelskie dukaty. Było ich tam jeszcze mnóstwo, kto by to tam liczył! A jak zmieściły się w bucie? Wcale nie! W bucie nie było ani jednego, jedyne dukata! Więc gdzie były? No, gdzie? - Oczywiście w kominie, i stamtąd sypały się do izby. A dlaczego nie zostały w bucie? Jak by wam to powiedzieć... Otóż dlatego, że but, jak sami się domyślacie, był głodny, stale wołał jeść. Tak się to mówi u nas na wsi o dziurawym bucie. No, a ten but był właśnie dziurawy. Szewc, zanim powiesił go w kominie, oderwał zelówkę, więc diabeł mógł sypać dukatów, ile mu się tylko podobało, choćby do sądnego dnia, i tak by tego buta nigdy nie napełnił!

słowacka

Jak Pan Bóg stworzył owieczki

Chcę wam opowiedzieć bajkę, jak to Pan Bóg stworzył owieczki, a czart kozy. Gdy już Pan Bóg stworzył świat, ludzi, zwierzęta, i gdy już wszystko było gotowe, to już potem nie miał nic do roboty. Tak sobie myślał: „Och, jeszcze bym stworzył sobie jedno zwierzątko, takie, które bym sobie pasał, żeby mieć coś do roboty”.

Świat był wtedy jeszcze dobry i Pan Bóg nie miał z nim kłopotów. Zwierzę nie szkodziło zwierzęciu, ani człowiek człowiekowi, wszyscy żyli zgodnie razem. Nie było skarg i Pan Bóg nie miał co rozsądzać. Chodził sobie z jałowcową fajeczką w zębach i z motyką na ramieniu, bo jak trzeba było gdzieś poprawić bieg strumyczka, wtedy kopał mu nową ścieżkę. Wszedł Pan Bóg na najwyższy szczyt i spoglądał, rad, że wszystko mu się tak doskonale udało. U podnóża góry paśli się zgodnie jeleni i byk, na skraju lasu niedźwiedź jadł sobie śniadanie gryząc korzonki. Żreback, wilk i lew byli przyjaciółmi i w dolinie bawili się w wyścigi, a ich rodzice uważali się za krewnych. A gdy było jakieś święto, wtedy schodzili się w gromadę, razem się weselili, muzyka grała, a oni tańczyli. Liszka skakała z gajorem, lisek z kurką, piesek z kotką, kotek z myszką, również swoje żony zapraszali nawzajem do tańca. A jak się zabawa skończyła, jedni drugich odprowadzali do domu; kury i gęsi towarzyszyły lisom i szły razem z nimi ścieżką aż pod samą górę, i nic im się złego nie stało, a potem wracały do domu.

Dobrze się żyło Panu Bogu, dobrze mu się wiodło na ziemi. Ale wciąż jeszcze chciał koniecznie coś stworzyć. Mówił do siebie: „Muszę stworzyć sobie jeszcze jedno zwierzątko, niech to będzie owieczka!” Wziął glinę do ręki i zaczął lepić: najpierw mały pyszczyk, potem duże oczy, a całe bielusińkie, tylko raciczki u cienkich nóżek zrobił czarne. Wystarczyło jedno słowo boże, i owieczka ożyła, rozejrzała się ciekawie dokoła i zaczęła biegać. Była śliczna! Pan Bóg pomyślał sobie: „Zrobię ze dwie, trzy, dziesięć, dwadzieścia. Ach, najlepiej zrobię całe stado, jakieś sto owieczek, a do tego przydam im jednego baranka, żeby je prowadzał, i ten będzie czarny.”

Pan Bóg zaprowadził je na łąkę, a gdy nadszedł wieczór, wydoił je do klonowej kobałki, potem uwarzył żętycy i zrobił bryndzę. Diabeł obserwował to wszystko, widział, jak się Panu Bogu dobrze wiedzie, i zapragnął mieć tak samo. „Jak wrócę do domu - myślał - też sobie zrobię takie zwierzę. Samo będzie się pasło, a ja tylko je wydoję i będę mieć ser. Wreszcie utyję!” Bo trzeba wiedzieć, że w tamtych czasach diabłu nie wiodło się jeszcze tak dobrze, jak teraz, bowiem wtedy wszyscy ludzie byli dobrzy. A może diabeł wówczas jeszcze nie znał tak doskonale swego rzemiosła... Był biedny, chudy, wrona nie miałaby nawet na nim co skubnąć. No i poszedł diabeł do tego swojego piekła i też zrobił sobie zwierzę. Gdy już było gotowe i wyskoczyło spod jego rąk, okazało się, że jest całkiem podobne do niego. A to była koza! Miała tak samo rogi, bródkę, wiecznie chuda, łakoma, niedobra, zresztą każdy wie, ile to w takiej kozie złośliwości.

Diabeł pasł tę kozę, pasł. Pasł ich całe stado. Gnał je po górach i tak zmarnował, że z kóz już nigdy nie będzie tak pięknego stada jak z owiec, które stworzył Pan Bóg. Owieczki pasą się głowa przy głowie, bok przy boku, zaś kozy rozłazą się po górach, wszystko skubią i stale mają coś złego na myśli. Ale to jeszcze nie koniec bajki. W tamtych czasach kozy miały jeszcze ogonek tak samo jak owce - w dół, a nie tak jak teraz - w górę. A było to tak: Pasł Pan Bóg swoje owieczki, a gdy już zbliżył się wieczór, popędził je do domu. Gdy przyszli nad wielką rzekę, owce weszły do wody, woda się rozstąpiła i stado spokojnie przeszło. Także Pan Bóg przeszedł ze swoją fajeczką i batinką. Batinka to jest taki kij pasterski z wyrzeźbionymi na nim żyjącymi stworzeniami.

Diabeł tymczasem gnał swoje stado ku odległej mieliźnie. Widząc jednak jak to zrobił Pan Bóg, myśli sobie: „Oho, nie będę gnał stada tak daleko, będę prędeż w domu, jeśli po prostu przepędzę je przez wodę”. I tak zrobił. Lecz gdy je wpędził do wody, nurt z miejsca porwał mu pierwsze kozy, tak że te drugie przeraziły się, zaczęły się opierać i za nic nie chciały wejść do wody.

Od tego czasu nikt nie zmusi kozy, żeby weszła do wody.

Diabeł rozzłościł się, złapał pierwszą z brzegu za rogi i za ogon i hop!

- potem drugą, trzecią - i tak brał wszystkie po kolei, i z całym rozmachem przerzucał je na drugi brzeg. Z każdej kozy został mu kawałek ogona w garści.

Dlatego też od tego czasu kozy mają krótki, zadarty ogonek.

czeska

## Garniec miodu

Bardzo dawno temu liszka i wilk mieszkali wspólnie, wspólnie też wyruszali na wyprawy. Pewnego razu przynieśli do domu garniec miodu i schowali go w spiżarni, a potem poszli spać: wilk za piec, liszka na przypiecek.

Po jakimś czasie liszka zapragnęła zjeść miodu; uderzyła ogonem o kafle pieca. Usłyszał to wilk i rzekł:

- Liszko, ktoś chce wejść, idź, otwórz!

Liszka wstała i zaczęła wyjadać miód. Oblizła się potem i wróciła do izby na swoje miejsce.

Wilk był ciekawy, więc zapytał:

- Kto tam był?

- Ach, zostałam kumą.

- Jak dziecku na imię?

- „Początek”.

Liszka położyła się, ale wkrótce zaczęła znów stukać ogonem. Wilk rozkazał:

- Liszko, idź, otwórz, ktoś puka!

Liszka poszła i wyjadła miód do połowy garnca. Gdy wróciła do izby, wilk ciekaw zapytał:

- No, kto tam był?

- Ach, zostałam kumą.

- Jak na imię temu dziecku?

- „Połowa”.

Liszka położyła się na przypiecku, ale wkrótce znowu zaczęła stukać ogonem. Wilk rozkazał:

- Liszko, ktoś puka, idź, otwórz!

Liszka wstała, poszła do komory, wyjadła wszystko do dna i wylizała garnek, a potem jeszcze go ubrudziła. Gdy wróciła do izby, wilk spytał:

- No, kto tam był?

- Ach, zostałam kumą. - Jak dziecku na imię? - „Wylizywacz-Brudas”.

Liszka położyła się na przypiecku. Po chwili mówi do wilka:

- Bracie wilku, słyszałam, że tego roku wszystkim ludziom psuje się miód, popatrzmy też, co się tam dzieje z naszym.



Wstali, poszli do spiżarni, a tu garniec okazał się pusty, i do tego jeszcze zabrudzony. Wynikła sprzeczka, kto zjadł miód. Wreszcie liszka zaproponowała:

- Zróbmy próbę. Położymy się w słońcu, komu miód będzie wychodził tyłem, ten go zjadł.

Położyli się w ogrodzie. Wilk wkrótce zasnął i chrapał straszliwie. A tu liszce miód z tyłu wychodzi i wychodzi. Wtedy poderwała się i miodem tym posmarowała wilka. Potem obudziła go i zawołała:

- Na moją duszę! Toś ty zjadł miód! Patrz, jak ci tyłem wychodzi!

łuzycycka

Jak się ślimak z lisem gościł

Pewnego dnia rano wyszedł lis ze swojej jamy w lesie i pomyślał:

„Dzisiaj przy niedzieli muszę zdobyć sobie smaczny obiad.”

Wybiegł z lasu nad jezioro Purda i zaczął czatować na dzikie kaczki. Po jeziorze pływało mnóstwo kaczek, a jemu aż ślina szła, tak już nie mógł się ich doczekać.

Powędrował brzegiem wody i zaczął się w trzcinach. Stado kaczek zbliżyło się do trzcin i chciało dostać się do swoich gniazd. Wtem lis skoczył do wody i już miał jedną z nich chwycić, kaczka jednak frunęła w górę i chytrusowi nic się nie dostało.

Tak było przez cały dzień. Nad wieczorem tak już mu dokuczyły daremne próby, że odechciało mu się smacznej kaczki. Chodził zły po łące, tam i z powrotem, aż natrafił na ślimaka. Myśli sobie, że nie zawadzi pokrzepić się trochę choć ślimakiem.

Powiada:

- Dzień dobry, ty mały włóczęgo! Dokądeś się to wybrał?

- Chcę obejść to całe jezioro, zanim słońko zajdzie.

Lis roześmiał się na to i tak mówi:

- Ha! ha! ha! Ja tobym obleciał, ale ty?! Przez trzy dni nie przejdziesz tej drogi!

Ślimak na to:

- Chcesz się ze mną ścigać? - To chodź!

- No, dobrze! Ale jeśli ja będę przędziej, to cię pożrę! Ślimak przystał na to:

- Zgoda!

Lis uradował się i już był gotów się ścigać. Ślimak dodał jeszcze:

- Zanim zaczniemy się ścigać, odliczę do trzech. Stój tutaj, a ja pójdę do tyłu, zobaczysz, że i tak wygram!

Chciwy i wygłodniały lis ucieszył się, stoi w miejscu, przydeptuje piasek nogami i pyta:

- Czy już?

Ślimak:

- Jeszcze nie!

Jak już przykleił się do lisiego ogona, zawołał:

- Raz, dwa, trzy, już!

Lis zerwał się, biegnie, biegnie co tchu, a gdy był już w połowie drogi, obejrzał się za siebie, za ślimakiem. Nie zobaczywszy go jednak, rzucił się na ziemię, żeby odpocząć, i powiada:

- No, ślimaku, gdzie jesteś? - A tutaj!

Jak to lis usłyszał, jak się nie zerwie; pobiegł co sił w nogach.

Słońko już zaszło i zrobiło się ciemno, gdy lis wrócił na to samo miejsce, skąd zaczęli wyścig.

Patrzy, ślimaka nie ma. Z radości aż machnął ogonem, w tył i w przód. W tym momencie ślimak odkleił się od lisiego ogona i woła:

- Toś dopiero teraz przyszedł? Ja już półtorej godziny tu stoję i czekam na ciebie!

Zawstydził się lis, spuścił kitę i musiał odejść głodny, skąd przyszedł.

polska

O tym, jak skończyła się przyjaźń między lizką i niedźwiedziem

W owych czasach, o których wam opowiem, niedźwiedź z lizką żyli jeszcze w wielkiej przyjaźni, trzymali się razem i nawzajem się odwiedzali. Niedźwiedź mieszkał w leśnej chatce w górach, a lizka w jamie, w skałach. Lizka, jako że z natury była kuta na cztery nogi, wiodło się dobrze. To sobie złapała jaką kurę, to parę gołąbków we młynie, a czasem nawet gęś. Za to niedźwiedź, przeciwnie, im dłużej, tym większą cierpiał biedę; stale był tropiony, bał

się nawet łeb wytknąć z lasu. Nic więc dziwnego, że takiemu pieczone gołąbki nie wpadną same do gąbki.

Pewnego ranka siedział smutny na pniu i grzał się w słoneczku. Nie wyspał się dobrze i ssał go głód, że aż mu burczało w brzuchu. Był z tego powodu nie w humorze, nic go nie cieszyło, ziewał rozdziawiając paszczę niczym bramę, z nudów raz po raz mlasnął ozorem za jakąś muchą czy komarem, które fruwały natrętnie dokoła; a były tak dokuczliwe, że nawet nie dawały spokojnie się zdrzemnąć. A że miał sporą paszczę, a przy tym ozór długi i zręczny niczym ręka, za każdym razem łapał jakiegoś owada. Gdy tak sobie siedział, przybiegła do niego liszka w odwiedziny: - Co porabiasz, kumie? - spytała, sadwiąc się na kamieniu naprzeciwko. - Jak widzicie, kumo, jem śniadanie! - westchnął.

- Hahaha! Muchy i komary! I to ma być śniadanie?

- Lepsze to niż nic! - Widać, biednie u was, kumie - rzekła liszka chwając się: - Ja miałam lepsze śniadanie! Dziś był kurczak, wczoraj gołąbki.

- Oj, kumo, to wam się dobrze wiecie! Tylko jak to wszystko zdobywacie?

Mnie się jakoś nie udaje.

- Chętnie wam to zdradzę, drogi kumie, ale musicie zachować tajemnicę i zręcznie działać! - Z niczym się nie zdradzę, kumosińko.

- Więc słuchaj! Połóż się w nocy na grobli przy stawie. Nad ranem, gdy jeszcze jest ciemno, przejeżdżają tamtędy ludzie do miasta na targ z pełnymi wozami drobiu. Skocz na jeden z nich i bierz tyle, ile udźwigniesz. Ja jestem mała i słaba, uniosę niewiele. Niedźwiedź, jako że był głodny, aż ślinę połykał, taki mu przyszedł apetyt. Podziękował kumie za dobrą radę i, gdy jeszcze było ciemno, pobiegł przez łąkę nad staw. Tam położył się na grobli na czaty. Nad ranem, jak zaczęło się nieco rozwidniać, ale na niebie mrugały jeszcze ostatnie gwiazdy, usłyszał turkot wozu. Byli to robotnicy, wiozący glinę do fabryki porcelany. Niedźwiedź pomyślał: „Już są!” Nie mógł się doczekać aż będą blisko, uniosł łeb i wyskoczył z kryjówki. Konie poczuły go i zarżały niespokojnie. Na to ludzie, jak nie chwycą za kije, tak zbili niedźwiedzia, że w pół żywy ledwo mógł się wlec. Wrócił na swój pień i tam siadłszy, rozplakał się gorzko z bólu i głodu. „Ojej, boli!” - ryczał na cały głos.

Liszka, usłyszawszy go, zaraz przybiegła.

- Jak wam poszło, kumie? - spytała obłudnie, jakby w ogóle nie widziała, że jest taki obity.

- Źle, bardzo źle, kumo - skarżył się niedźwiedź. - Póki żyć będę, nie chcę więcej widzieć drobiu! Prawie na śmierć mnie zatłukli, raz na zawsze przeszedł mi apetyt na drób! - Drogi kumie - rzekła liszka - nie musi być drób, przejadł mi się już zupełnie. Teraz mam ochotę na ryby. Jeśli chcecie, chodźcie ze mną. Pójdziemy nad staw, jest niedaleko, a ryb w bród.

- Toć widzicie, kumo, że z bólu ledwo mogę się ruszyć. Poczekajcie, aż się trochę wyliżę z ran - mrucał niedźwiedź.

- Chętnie poczekam, kumie - odparła liszka i przyniosła mu różnych maści na wygojenie ran. Długo to trwało, bo zanim porządnie wyzdrowiał, była już prawie zima.

Jakoś po świętym Mikołaju, gdy niedźwiedź szykował się już do zimowego snu, przybiegła liszka w odwiedzinach i udając, jakby nie wiem jak lubiła niedźwiedzia, rzekła: - Teraz, mój kochany kumosińku, jesteście chłop na schwał, moglibyście nawet drzewa wyrwać. Jeśli chcecie, pójdziemy razem na ryby. Niedługo Boże Narodzenie, więc ludzie wszystkie ryby wylapią. Ale - powiadam - wasza wola, nie chcę was namawiać!

Niedźwiedź chwilę medytował, ale czuł, że mu burczy w brzuchu. Przecież zimą nie fruwały muchy czy komary, ani nie rosły poziomki czy maliny; zaś wszystkim pszczołom, o których tylko wiedział, dawno już powybierał miód. Więc tak po cichu myślał: „Cóż złego może mi się przydarzyć, skoro liszka jest ze mną”. A głośno rzekł: - Idę, jeśli pójdziesz ze mną!

- Oczywiście, pójdę! Przygotuj się, dziś około wieczora przyjdę po ciebie

- obiecała liszka.

Ledwo się ściemniło, przybiegła niczym wiatr, po czym ruszyli z niedźwiedziem prosto nad staw. Na dworze był mróz, że aż trzeszczało, zaś staw był skutym lodem.

- Musimy przerąbać lód - poradziła liszka, oglądając się za ostrym kamieniem. Znalazła jakiś i dała go niedźwiedziowi. Ten ujął kamień w przednie łapy i wykuł przerębę aż do samej wody.

Liszka - jak wiadomo - jest jak kot: lubi ryby, ale boi się wody. Mówi więc do niedźwiedzia:

- Wiecie kumie, zrobimy tak: ja będę uważać, czy kto nie idzie, a wy siądziecie nad przerębem i potrzymacie ogon w wodzie tak długo, aż zrobi się ciężki. Wtedy go wyciągniecie.

Pocciwy niedźwiedź był całkowicie posłuszny: siadł na lodzie, włożył ogon do wody, a po chwili rzeczywiście zdało mu się, że coś się tam uwiesiło, może ryba, może rak...

Liszka pobiegła tymczasem na górkę pilnować, czy kto nie idzie. Ale tam wiatr ciął niczym brzytwa, a mróz tak jej dokuczał, że aż zębami kłapała.

Nie wytrzymała długo. Po jakimś czasie wróciła do niedźwiedzia:

- Kumie, może byśmy spróbowali ciągnąć, z zimna chyba mi serce zamarzło, zresztą zdaje mi się, że nadchodzi rybak!

- No cóż, kumo, możemy spróbować, próba nic nie kosztuje! zgodził się niedźwiedź, usiłując pomału wyciągnąć ogon. Szło jednak ciężko, więc zawołał uradowany:

- Do kroćset! Kumo, chyba się złapały. Idzie jednak ciężko, że sam nie dam rady, proszę cię, pomóż!

Liszka właśnie chciała złapać go za przednie łapy, gdy wtem zaskrzypiał śnieg. Patrzy - a tu idzie rybak. Z siekierą na ramieniu zmierza prosto nad staw, rąbać przerębę na ryby.

- Wielkie nieba! Idzie rybak! - krzyknęła, zostawiła niedźwiedzia i czmychnęła do lasu, że tylko śnieg się za nią kurzył. Niedźwiedź nie bałby się rybaka, gdyby ten nie miał siekiery. Dlatego spróbował szybko wstać. Szarpał w prawo, szarpał w lewo, lecz coś trzymało go za ogon niczym obcęgi. Nie mógł stanąć na nogi. A tu rybak schodzi już z górki, grozi mu siekierą i wrzeszczy: - Ty nicponiu! Mam cię teraz! To ty mi podkradasz ryby! Niedźwiedź czuł, że tu idzie o jego głowę. Zebrał się w sobie i szarpnął z całej siły, aż lód rozprysnął się wokół. Zaryczał z bólu i popędził co tchu do lasu, ale - bez ogona! Ogon został, przymarznięty do lodu. Od tego czasu wszystkie niedźwiedzie mają krótkie ogony.

Nasz niedźwiedź, biedaczysko, dowlókł się tymczasem, mocno krwawiąc, w góry, gdzie miał swoje legowisko; tam wśliznął się do swojej jamy, zatarasował wejście, żeby liszka nie mogła się dostać i postanowił, że do samej śmierci nie chce mieć nic wspólnego z tą obłudnicą, i że nigdy nie będzie jej ufał, choćby mu złote góry obiecywała. Z tymi myślami zasnął jak kamień.

Żaden niedźwiedź nie śpi dłużej niż do Gromnicznej. Tak więc i nasz niedźwiedź zbudził się z zimowego snu; przetarł ślepią, ból już go więcej nie dręczył, rany się zagoiły, tylko od nowa zaczął mu dokuczać straszliwy głód. Podzwignął się z legowiska na mchu, gdzie zimował, otworzył chatę i wylazł na świeże powietrze. Na dworze już się ładnie ociepliło, śniegi znikły, ziemia była czarna i pachnąca, w lesie wiatr huczał jak organy, woda podniosła się w potokach i bystro się pienila.

- Dzień dobry, kumie, dobrze się spało? - rozległ się głos z zarośli i, zanim niedźwiedź się obejrzał, liszka już stała przed nim, trzymając w pyszczku pełen koszyk pączków, pięknie rumianych od masła. Pachniały z daleka, były nadziane rodzynkami i posypane cukrem. Liszka brała jeden po drugim i połykała jak migdałki.

- Kumie, nie skosztowałibyście jednego? - spytała niedźwiedzia, i dała mu najgorszego pączka.

Głodny niedźwiedź był niepomny na nic: na obłudę liszki, na ból, który wycierpiał, na swój gniew. Złapał pączka, połknął go, oblizał się i powiedział:

- Do kroćset! To już jest coś! Kumo, skąd to macie?

- Ach, Boże drogi, możecie mieć tego, kochany kumie, ile tylko dusza zapagnie. Czy to nie wiecie, że są zapusty? W każdym domu stoją pełne kosze pączków! Ale najlepsze piecze gospodyni w pobliskiej gospodzie. Dziś właśnie są tam tańce, więc jeśli macie ochotę, możemy pójść. Toż dopiero byśmy sobie użyli! Najedlibyśmy się do syta, napilibyśmy się, i jeszcze potańczyli. Tylko tak samej, wiecie, kumie, bez tancerza, wstyd iść na zabawę.

Niedźwiedź jednak nie dał się tak łatwo zwieść. Patrzył spode łba i mrucał: - Jużeś mnie, kumo, dwa razy wpędziła w nieszczęście, dlatego nie wierzę ci. Jeszcze dziś swędzą mnie plecy od kijów, jakie oberwałem na grobli, potem - mój ogon został w stawie, a wszystko to przez ciebie. Nie dziw się, że ci nie ufam.

- Jeszcze tylko ten jeden jedyny raz zaufajcie mi, kumie - trajkotała liszka - dziś wam wszystko wynagrodzę! Zdziwicie się, jak zobaczycie, co tam zastaniemy. Wczoraj właśnie było świniobicie, narobili całe stopy kiszki wątrobianej i kaszanki.

Więcej liszka nie musiała zachęcać. Skoro tylko niedźwiedź usłyszał o wątrobiance, oblizał się i rzekł:

- A zatem, kumo, co było, to było - zapomnijmy! Ten jeden jeszcze raz dam się skusić. Ale zapowiadam, jeśli się to źle skończy, wtedy między nami koniec na wieki wieków!

- Będzie dobrze, kumie, nie martwcie się, zdajcie się tylko na mnie!

Ubiorę was pięknie, jak na mężczyznę przystało, sama też ogarnę się ładnie i zobaczycie, wszyscy będą się za nami oglądać. Uprała mu odświętną koszulę, nakrochmalila i uprasowała

kołnierz i mankiety, potem zawiązała mu czerwoną wstążkę pod szyję. Sama zaś ubrała się w piękną bluzkę bogato haftowaną, w spódnicę, w kwiaciasty fartuch, na ramiona zarzuciła jedwabną chustkę, i tak poszła z niedźwiedziem na tańce.

Księżyc stał właśnie w pełni. Jego kształt odbijał się jasnym blaskiem w wodzie jak w zwierciadle. Szli akurat wzdłuż stawu, więc niedźwiedź wciąż zerkał jednym okiem ku wodzie. Wreszcie nie wytrzymał i spytał:

- Kumo, co to tam leży na dnie stawu? Liszka nawet nie spojrzawszy rzekła:

- To jest kołacz, na samym maśle i jajkach. Ach, to ci dopiero coś!

Kumie, gdybyśmy z tego sobie podjedli, to by dopiero była uczta!

Potem można by zdrowo pić!

- To prawda - zgodził się niedźwiedź, przystanął i mruknął: - Tylko jak się tam dostać? W tym odświętnym ubraniu nie wejść przecież do wody, tak samo ty!

- Nic łatwiejszego! - liszka z miejsca wiedziała, co robić. - Po prostu oboje wypijemy wodę, a wtedy kołacz będzie leżał na dnie jak na talerzu.

Zaraz też pierwsza wetknęła swój pyszczyk do wody, chociaż woda jej w ogóle nie smakowała. Z dobrą miną, dla pozorów, troszkę polizła i już zaczęła narzekać:

- Kumie drogi, jeden Bóg wie, jak jestem zesznurowana gorsetem; nie mogę już więcej!

- To puść mnie, sam to zrobię - rzekł niedźwiedź. Odsunął liszkę, ostrożnie wyciągnął szyję, żeby nie popryskać ubrania, i chleptał wodę, aż pluskało. Pił i pił, ale wody ze stawu nie ubywało. Teraz dopiero liszka spostrzegła, że niedźwiedź nie ma już ogona, i że wszystka woda wypływa mu tyłem z powrotem do stawu.

- Tak dalej nie idzie, w ten sposób do śmierci nie będziemy gotowi.

Kumie, poczekajcie chwilkę! - zwróciła się do niedźwiedzia, po czym pobiegła niedaleko na pole, nazbierała słomy z zeszłorocznego ścierniska, zrobiła z tego porządną wiecheć i zatkała nim niedźwiedziowi pod ogonem. Potem, zadowolona, rzekła: - Teraz, kumie, możecie pić! Niedźwiedź zaczął od nowa, pił i pił, parsknął, stękał, rozkraczył się, i nadymał, ale nie ustąpił, dopóki nie wypił całego stawu. Teraz rozejrzał się za kołaczem, a tu nic nie ma! Wszędzie tylko same kamienie, trzcina i błoto.

- Kumo, gdzie ten kołacz?! - wściekle zaryczał, ale liszka natarła ostro na niego:

- Jeszcze wrzeszczysz?! Wypiłeś go razem z wodą, a mnie nie dałeś nic, ani kęsa!

- Nic o tym nie wiem!

- Nie udawaj! Popatrz na siebie, jak się spasz! -

- Na moją duszę, kumo, nie wiem nic o żadnym kołaczu! Głód mnie skręca, a do tego jeszcze robi mi się niedobrze od tej wody.

Na to liszka:

- No, nie sprzecajmy się już, nie po tośmy tu przyszli. Życzę wam, kumie, tego kołacza z całego serca! A teraz chodźmy, bo się spóźnimy, zdaje mi się, że słyszę już muzykę!

To powiedziawszy, liszka ruszyła w drogę, a niedźwiedź posłusznie za nią. Tylko wciąż jeszcze mrucał do siebie: „A jednak chciałbym wiedzieć, czy ten kołacz rzeczywiście wypilem.”

Gdy niedźwiedź z liszką przyszli do gospody, chłopcy i dziewczęta już się tam poschodzili i zaczynało być tłoczno. Gospoda była niewielka, ludzi pełno, brakło już miejsca dla swoich, a tu przyszli jeszcze obcy goście. Nic więc dziwnego, że obecni tam byli im nieradzi, jak to zwykle bywa, gdy przychodzą obcy na tańce.

Niedźwiedź puścił się ochoczo w tany, jako że był dobrym tancerzem. Zawsze świetnie potrafił i wyskakiwać, i do kółeczka, teraz jednak jakoś mu nie szło. Był ciężki jak wór, brzuch miał jak bęben.

Tego potrafił, tamtemu nadepnął na nogi, zajmował wiele miejsca i stale wszystkim przeszkadzał.

Chłopcy naradzili się i zaproponowali obcej parze:

- Żebyście nie mówili, że jesteśmy grubianami, dajemy wam jeden taniec solo. Ale potem musicie przestać, muzyka należy do nas! „No to jazda!” - i niedźwiedź ruszył z liszką do tańca. Robił przytupy w lewo, w prawo, kręcił się w kółko, stękał, sapał, mruzczał, aż pot mu spływał.

A liszka kręciła się leciutko jak wrzeciono. Potem zaśpiewała taką przyśpiewkę:

Jeśli mi tu, mili,  
pączków przyniesiecie,

to się zaraz wszyscy

z kogoś pośmiejecie!

Zastanowiło to obecnych. Dziewczęta wnet powyciągały pączki, jakie miały w torbach, i wkrótce był tego spory stos.

Liszka tymczasem znów okręciła się w tańcu i zaśpiewała:

Proszę bardzo, jeśli łaska,  
o pieczone i kiełbaski!

Jeśli dacie mi to zaraz,  
będzie śmiechu co niemiara!

Chłopcy nie chcieli być gorsi i naznosili różnego mięsiwa, wątrobianek i kaszanki; domagali się jednak, żeby liszka skończyła z przyśpiewkami i wreszcie zabrała się do rzeczy, bo chcą się pośmiać. Ale ona po raz trzeci kazała zagrać muzyce, i tak zaśpiewała:

Do pieczeni i do pączków

- wiecie jak to bywa -

przydałby się oczywiście

kufelczek piwa!

Zaraz też obok pączków i kiełbas postawiono na stole dzban piwa. Liszka zerknąwszy na to wszystko, przytuliła się w tańcu do niedźwiedzia, schyliła się i wyciągnęła mu z tyłu ów wiecheć słomy. Teraz możecie sobie wyobrazić, co działo się w gospodzie! Woda chlusnęła, jakby kto na stawie podniósł zaporę. Tryskała na wszystkie strony. Chłopcy i dziewczęta uciekali nie

tylko drzwiami, ale z krzykiem skakali przez okna. Zaś liszka capnęła pączki, kielbasy i dzban z piwem i - hop! - już była na dworze. Woda tymczasem zalała izbę i galerię z orkiestrą; niedźwiedź, mokry aż do skóry, ostatni wyskoczył za drzwi.

- Poczekaj, ty draniu, zepsułeś nam zabawę! - wołali za nim chłopcy.

Wzięli kije i pobiegli za nim. A niedźwiedź uciekał, jak tylko mógł, jednak dostało mu się tyle, że na trzech nogach ledwo przykuśtykał do domu, jęcząc z bólu: „Ojejej, to mi się dostało!”

W tym czasie liszka była już na łące i ze smakiem zajadała pączki i kielbasy, popijając piwem. Zrobiła się gruba jak beczka, i nie mogła się nawet ruszyć. Już z daleka słyszała, jak niedźwiedź stęka i jęczy. Pomyślała: „Teraz każę zanieść się pięknie do domu”. Wytarzała się trochę w rowie, gdzie był czerwony torf. Gdy niedźwiedź, kuśtykając, był już całkiem blisko, zaczęła lamentować na całe gardło:

- O Boże! Moje rany! To już jest moja ostatnia godzina! Żeby chociaż mój kum był przy mnie, tobym mogła się z nim choć pożegnać i podziękować mu za wszystko!

Pocciwy niedźwiedź słysząc płacz i lament, przystanął i zaczął nasłuchiwać. Zapomniał o własnym bólu i zawołał:

- Kumo, gdzie jesteście? Jesteście tu gdzie?

- Kumie złoty, błagam was na wszystko, zlitujcie się nade mną i nie zostawiajcie mnie tu, nie mogę się nawet ruszyć. Weźcie mnie na plecy i zanieście do domu! Wiem, że zbliża się mój koniec, ale moje dzieci będą wam wdzięczne aż do śmierci.

Niedźwiedź, utykając, na trzech nogach, podszedł do niej i powiedział ze smutkiem w głosie:

- Kumo, miejcie rozum, widzicie, że ja sam ledwo się wlokę!

- Kumie, wy, jeszcze możecie się wlec, ale ja, nieszczęsna, cała krwawię od tych cięgów i ran, spuchłam jak beczka, nie pozwólcie mi tu marnie zginąć, zanieście mnie choć na skraj lasu - i liszka uderzyła w płacz.

- No, bądź już cicho i włącz na plecy - mruknął niedźwiedź, bo miał miękkie serce i nie mógł znieść płaczu, a już szczególnie, jako żywo, nie mógł znieść płaczu kobiety. Przykłąkł na ziemi, a liszka, po dobrym jedzeniu i piciu, pełna jak pierzyna, wdrapała się zbolątemu i głodnemu niedźwiedziowi na plecy i urządziła się tam bardzo wygodnie. A on powlókł się z wielkim trudem i bólem, niosąc swój ciężar przez łąkę w stronę lasu. Bolały go wszystkie kości, kłuło w każdym stawie, za to liszka umościła się w ciepłym kożuchu jak w łóżku. Piwo uderzyło jej do głowy, zrobiło jej się wesoło i zaczęła śpiewać, jak na tańcach:

Bity niesie niebitego,

choć sam ledwo lezie!

Niedźwiedziowi wprawdzie huczało jeszcze w głowie od bólu, w uszach miał jeszcze świst kijów i kamieni, ale mimo to coś niecoś usłyszał. Przystanął i pyta:



- Kumo, co śpiewacie?

- Ach, kumie, gdzieżbym tam śpiewała! Płaczę z żalości! Pośpieszcie się, zaraz będzie świt, za wioską już się robi jasno!

- Dobrze już, dobrze - mruknał niedźwiedź, uspokojony nieco tym, co liszka powiedziała, i pokuśtykał dalej.

Liszka na chwilę ucichła, lecz było jej tak dobrze, że wkrótce zaczęło ją znowu korcić, więc zaśpiewała:

Bity niesie niebitego,

Choć sam ledwo lezie!

Wnet będziemy w lesie.

Niedźwiedź stanął, teraz już nieco zły, i spytał: - Kumo, co śpiewacie?

- To, co słyszycie, kumie! Tylko nie zatrzymujcie się, śpieszcie się, już świta, wkrótce wszędzie słońce, a my jesteśmy jeszcze w szczerym polu, na równej łące. W końcu nas tu kto złapie!

„Możem się przesłyszał” - myślał niedźwiedź. Nic już więcej nie powiedział, ale postanowił lepiej uważać. I mimo że kulał, przyśpieszył kroku, bo rzeczywiście już dniało. Nogi mu się uginały, pyskiem nieomal dotykał ziemi, i liszka zdawała mu się coraz cięższa. Był już rad, że las niedaleko. Liszka zaśpiewała:

Bity niesie niebitego,

choć sam ledwo lezie!

Nieść się każe nieobity,  
wnet będziemy w lesie.

- O, ty podła szelmo! - wrzasnął niedźwiedź i przeszedł na „ty”. - Złaż z mego grzbietu, i to już!

- Co się stało, kumosińku, co to? - Przeraziła się liszka. - Toć ja śpiewam dla was, żeby się wam lepiej niosło! - Ach, ty niewstydnico, jeszcze kłamiesz! Niedźwiedź stanął z nienacka na tylnych łapach i liszka spadła niczym worek na ziemię. Wtedy dopiero zobaczył, że nawet włoski jej się nie zgiął.

Nic więc dziwnego, że niedźwiedź się wściekł. Przyskoczył do liszki, trzasnął ją parę razy z prawa i z lewa.

- Ty bezwstydnica kłamczucho! Precz mi z drogi i z oczu! Tylem się nacierpiał, a ty, obłudnico, jeszcze się ze mnie naśmiewasz?! Ostatnie słowa mrucał już do siebie, w drodze do domu. Liszka pozbierała z ziemi wybite zęby i z głową jak bania ledwo powlokła się do swojej nory. Odtąd skończyła się raz na zawsze przyjaźń między lizką i niedźwiedziem. Odtąd żyją jak pies z kotem, i dopóki żyć będą, nie przestaną gniewać się na siebie.

czeska

Lis i wróbel

Z lisa to już jest takie przebiegłe stworzenie. Pewnego razu przechodził koło krzaczka. Ujrawszy wróbla na gałązce, spytał:

- Miły przyjacielu, pod które skrzydełko chowasz łąpek, jak wiatr wieje z lewej strony?

Wróbel na to:

- Jak wiatr wieje z lewej strony, chowam łąpek pod prawe skrzydełko.

Lis jednak udawał głupiego i mówił dalej:

- Nie jestem z tego mądry, musisz mi pokazać, jak to robisz! Wróbel schował łąpek pod skrzydełko, a lis złapał go i zjadł.

słowacka

O synku Bzdęczyku i o lisach

Byli raz mąż i żona, i nie mieli dzieci, choć tak bardzo ich pragnęli. A że nie byli już zbyt młodzi, szukali rady wszędzie. Niestety, na próżno. Wreszcie pewna stara kobieta poradziła im, że jeśli będą długo patrzeć w moździerz, wtedy urodzi im się syn.

Tak się też stało. Po jakimś czasie przyszedł na świat chłopczyk, któremu dali imię Bzdęczyk. Mały podrastał, a oni strzegli go jak żrenicy oka. Gdy już był na tyle duży, że mógł sam pozostawać w domu, rodzice wybrali się któregoś dnia do lasu po drzewo, i przykazali Bzdęczykowi:

- Synku, nie wpuszczaj nikogo do domu, choćby ci nie wiadomo co opowiadał!

Bzdęczyk przyrzekł, że na pewno nikomu nie otworzy.

Ledwo rodzice się oddalili, przybiegła liszka pod drzwi i zawołała:

- Syneczku, Bzdęczyku, otwórz drzwi, będę cię wozić na moim puszystym ogonie!

Chłopiec jednak nie otworzył.

Liszka rozmyślała, jak by tu dostać się do chaty, porwać Bzdęczyka i zanieść go swoim dzieciom, żeby miały uciechę. Podeszła jeszcze bliżej drzwi i odezwała się przymilnie:

- Otwórz, Bzdęczyku, powiozę cię na chwościku!

Chłopiec był ciekaw, więc otworzył. Liszka weszła, Bzdęczyk siadł na jej ogonie i zaczęli biegać wokoło po izbie, potem - przez otwarte drzwi - hop!

- i liszka pomknęła z nim do lasu, do lisiej jamy. Gdy rodzice wrócili do domu, chata stała otworem, szukali Bzdęczyka, ale go nigdzie nie było. Domyślili się zaraz, że to z pewnością liszka porwała im synka. Ojciec wziął pod pachę skrzypce, matka worek, i poszli na poszukiwanie chłopca.

Tak przyszli przed lisią jamę. Tu ojciec zaczął grać:

- Kumosinko, liszko, chodź potańczyć troszkę. Także ty, Bzdęczyku, miły nasz chłopczyku, zatańcz przy muzyczce!

Nie trwało długo i jeden mały lisek wyrzwał z jamy; wtedy ojciec szybko go złapał i wsadził do worka; potem znów zagrał:

- Hej, wy trzy lisiątka, i ty, kumo, liszko, chodźcie tu potańczyć!

Znów wyrzwał jeden lisek i znowu ojciec złapał go i wsadził do worka, po czym grał dalej:

- Hej, wy, dwoje lisiąt, i ty, kumo, liszko, chodźcie tu potańczyć!

Wtedy wychylił się z jamy następny lisek. Również i ten znalazł się w worku. Ojciec grał dalej:

- Hej, ostatni lisku, i ty, kumo, liszko, chodźcie tu potańczyć!

Ojciec, mając już teraz wszystkie lisiątka w worku, zagrał jeszcze raz:

- Kumosinko, liszko, chodź potańczyć troszkę!

Na to wybiegła rozgniewana lisica popatrzeć, kto tam gra, i tak również ona powędrowała do worka.

Teraz ojciec mógł już zabrać swego synka Bzdęczyka z lisiej jamy. Rodzice uradowani, że odnaleźli go całego i zdrowego, powrócili do domu.

Od tego czasu Bzdęczyk był zawsze posłuszny.

słowacka

## O tym, jak pies buty wilkowi sprawił

Był wilk i pies. Pies był wielki i wilk chodził do niego w odwiedziny.

Raz wilk powiada do tego psa:

- Ja cię zjem!

A pies na to:

- Mój piękny, nie zjadaj mnie, ja ci za to buty sprawię!

- Ano, to mi spraw!

Minęło kilka dni, przyszedł wilk do psa i pies mu powiada:

- Zaraz ci sprawię buty, ale pamiętaj, żebyś w tych butach nie chodził po rosie ani po wodzie!

Wziął pies z sobą wilka i kazał mu wejść do gęstego błota. Wilk wlaź i umazał sobie nogi po kolana; a gdy wyszedł, pies mu surowo przykazał:

- Masz teraz buty! Jak nie wierzysz, to się przypatrz gospodarzowi: chodzi w takich samych butach. Pamiętaj, com ci przykazał, nigdy nie chodź po rosie, ani po wodzie, bo ci drugich już nie sprawię, a jak wejdiesz w wodę, to ci woda buty zabierze!

Wilk usłuchał. Leży, nie rusza się nigdzie ze swojej nory przez jeden dzień i drugi dzień, i trzeci dzień; ale wreszcie zachciało mu się jeść. Wstał i poszedł szukać czegokolwiek, czym by się posilił. Pobiegł przez las do rzeki, przeszedł przez wodę na drugą stronę, patrzy na nogi

- butów nie ma, bo mu się obmyły we wodzie. Wraca zły do psa i pyta:

- Jakież ty mi buty zrobił?! Ledwo trzy dni i już po butach! Teraz cię zjem.

Pies mu odpowiada:

- A mówiłem, nie chodź po rosie, ani po wodzie, to będziesz miał buty.

Słyszałeś, com ci mówił: drugi raz butów robić nie będę! Teraz rób sobie, co chcesz, drugich butów nie dostaniesz, trudno, będziemy się prawować.

- No, to pójdźmy do sądu - odparł wilk, i poszli.

Wilk wziął do pomocy niedźwiedzia i dziką świnię, a pies zabrał kota i koguta; wędrują do sądu. Pierwszy szedł wilk, potem niedźwiedź i dzika świnią; przyspieszyli kroku, a gdy już pies ze swoimi został w tyle, mówi wilk do niedźwiedzia:

- Ty wejdiesz na smrek! A do dzikiej świni:

- Ty się zagrzebiesz w kupie liści i będziesz tam siedzieć. Jak tylko tamci nadejdą, już my tu zaraz sami sobie sąd urządzimy! Pies nie zobaczy nikogo z nas i będzie spokojny, a wtedy ja się na niego rzucę - wy na razie tylko patrzcie! Jakbym mu nie dawał rady, to mi przyjdziecie na pomoc, razem złapiemy psa i rozszarpiemy go na kawałki!

No i za chwilę idzie pies, nie wiedząc, jaka to czeka na niego pułapka; nie wiedział, jak to wilk chce dobrać mu się do skóry. Idą też jego przyjaciele, idą wszyscy trzej: naprzód pies, potem kogut, na końcu kot.

Kogut drepcze i mówi do siebie:

„Tak, tak! Tak, tak!” Słyszy to niedźwiedź na smreku i myśli, że już się wszystko wydało, że wrogowie mówią „tak, tak!”, że idą zdecydowani na wszystko. A kot, co szedł za tamtymi na ostatku, zakręcił ogon w górę.

Niedźwiedź widząc to zamruczał do wilka:

- Ej, wiesz co, źle z nami! Widziałem, jak on tę pikę podniósł w górę.

Przebije nas tą piką!

A wilk powiada niedźwiedziowi tak:

- Co ci przychodzi do głowy?! Toć damy im radę, siły mamy dość na tych mizeraków. Przecież mocniejszego zwierza, niż my trzej, nie znajdziesz w całym lesie! Ja sam połknąłbym ich trzech jak nic!

Na to niedźwiedź:

- Prawda! Ja sam, jak ich w garść złapię, to ani pisną, w pazurach ich rozedrę!

Dzika świnia natomiast nic nie mówiła, tylko sobie raz po raz ruszyła ogonem w liściach. Jak kot to spostrzegł, skoczył do niej łaps! - za ogon, bo myślał, że to mysz tam chrobocze. Dzika świnia poderwała się: „Co takiego?!” - hops! z liści i - w nogi!

Kot też się przeląkł, bo myślał, że to jakiś pies, i dał susa na smrek. A wskoczył właśnie na ten smrek, co to niedźwiedź siedział na nim. Ten w strachu:

- Już dziką świnie przebił piką, teraz biegnie do mnie!

Więc niedźwiedź szybko w górę po smreku, ucieka przed kotem, a kot za nim. Nie ma już niedźwiedź dokąd uciekać, dalej już smreka brakuje, jest już na samym wierzchołku i - spadł ze strachu na ziemię, zabił się. Kot został na smreku, dzika świnia pognąła do lasu, a wilk został z psem na placu boju.

Porwał się wilk na psa, bo nie wiedział, co się stało z jego pomocnikami. Ale pies był wielki i silny, wilk zaś zgłodniały, trzy dni nic nie jadł, liczył na pomoc, a pomoc zawiodła. Skoczył i pies na wilka, schwycili się obaj, wilk słaby, pies mocny, zagryzł pies wilka. Od tego czasu wilki z psami żyją w niezgodzie.

polska

## Trzy kozy i wilk

Pewnego razu wybrały się trzy kozy do lasu poskubać trochę kory i listków. Pierwsza miała jeden brzuch, druga dwa, trzecia trzy brzuchy.

Najpierw spotkała się pierwsza koza z wilkiem. Ten spytał ją z ciekawością:

- Siostrzyczko kozo, dokąd idziesz?
- Do lasu, poskubać trochę kory i listków!
- Co masz na głowie?
- Różki!
- Co masz między nóżkami? - Wymionka!
- Mniam, mniam, pożrę cię! - i połknął kozę. Nadeszła druga, ta z dwoma brzuchami. Wilk znów zapytał:

- Siostrzyczko kozo, dokąd idziesz?
- Do lasu, poskubać trochę kory i listków!
- Co masz na głowie?
- Różki!
- Co masz między nóżkami?
- Wymionka!
- Mniam, mniam, pożrę cię! - i połknął kozę.

Nadeszła trzecia, ta z trzema brzuchami. Wilk spytał ją ostro:

- Siostrzyczko kozo, dokąd idziesz?

Odpowiedziała równie ostro:

- Do lasu, poskubać trochę kory i listków!
- Co masz na głowie?
- Widły!
- Co masz między nóżkami?
- Maczugę!
- Co ci tak burczy w brzuchu?
- Mam tam pełno chartów!

Wilk przeraził się i uciekł. Chciał przeskoczyć przez płot, ale że miał za ciężki brzuch, bo w nim były te dwie kozy, więc zahaczył się o płot, i brzuch pękł. Wtedy wyskoczyły z niego owe kozy, i wszystkie trzy wyśmiały potem wilka. Później pobiegły wesoło do domu, do swojego chlewika.

łazycka

## Stary burek i wilk

Pewien baca miał psa Burka, który mu przez długie lata, w dzień i noc, czujnie pilnował owiec, tak że wilk nie odważył się nawet zbliżyć do zagrody. Ale cóż, poczciwy Burek na starość zaczął utykać i stracił wszystkie zęby.

- To stare psisko nadaje się już na śmietnik - powiedział baca. Dochował się bowiem nowego, młodego psa. Pogłaskał go i kazał pilnować zagrody z owcami.

Burek tymczasem leżał głodny na śmietniku i było mu smutno. Gdy nadeszła noc, młody pies zajął jego budę i rozłożył się wygodnie na jego legowisku. Wtedy przyszedł wilk. Stary Burek słyszał go, gdyż spał czujnie. Chciał nawet przeskoczyć ogrodzenie, ale nogi już go nie niosły, bo był zbyt słaby z głodu. Położył się więc smutno i tak myślał: „Jeśli już ja nie mam co jeść, niech ma choć wilk”. I nawet nie zaszczekał.

Rano idzie baca doić owce, patrzy, a tu jednej brakuje. Wtedy przyszło mu na myśl: „Mój Boże, gdyby ten stary Burek pilnował stada, wilk nie porwałby owcy!” Przywołał go, pięknie pogłaskał i dał mu dobrze zjeść. A stary Burek łasił się mu przy nodze i skakał z radości. Wieczorem nie poszedł na śmietnik, ani nie położył się w budzie, tylko krążył czujnie dokoła zagrody, bo wiedział, że jeśli wilk odważył się raz, to przyjdzie znowu. I rzeczywiście: wilk czuł się pewny swego i znów był. Teraz jednak Burek zastąpił mu drogę:

- Czego tu chcesz?!

- Czego chcę? Owce, oczywiście! - powiada wilk.

- Zmiataj, zbóju, nie dam ci owcy! - zawarczał Burek.

- No, daj jedną, podzielimy się! Twój pan przecież nic ci nie daje!

- Spółka z wilkiem?! Nigdy! - powiedział Burek. - Wczoraj baca nie dał mi jeść, byłem głodny i słaby, łatwo było ci porwać owcę, ale dziś nakarmił mnie dobrze, więc znowu jestem mocny. Nie dam ci owcy!

- Jeśli nie dasz mi owcy, gotuj się do bitwy! Wiesz co to znaczy? - groził wilk.

- Dobra, dobra, jeśli tego chcesz, myśl raczej o sobie! Jak tylko odprawię służbę przy owcach, zaraz rano stawię się, o, tam, na tej górze, i będziemy walczyć. Zrozumiano?!

Wilk zawrócił i popędził na ową górę szukać sprzymierzeńców. Dyszał zemstą i chciał odegrać się na Burku. Do pomocy pozyskał niedźwiedzia i lisa.

Pies znał dobrze wilka, więc również nie wybrał się sam, lecz wziął z sobą świnię i kota, swoich dobrych przyjaciół z podwórka. Sam wprawdzie, kulał na jedną nogę, ci dwoje też nie byli już tacy młodzi, ale za to byli wiernymi i wypróbowanymi towarzyszami. Niedźwiedź i lis, jak tylko ich zobaczyli, przerażili się ogromnie.

- Hej, bracia - zawołał niedźwiedź - patrzcie, ten pierwszy wciąż się po coś schyla, pewnie zbiera kamienie, żeby nas zabić!

A to pies kulał i niedźwiedziowi zdawało się, że to on zbiera kamienie.

- O, widzę drugiego - woła lis. - Ten znowu rąbie szablą dokoła!

A to był kot, który zadarł w górę ogon, i lis myślał, że to szabla tak błyska.

Gdy zaś usłyszeli chrząkanie świni, pomyśleli, że tu nie ma żartów, sprawa jest groźna.

Niedźwiedź wdrapał się na drzewo, a lis wskoczył między ciernie.

Kiedy nasi przyjaciele doszli do góry, kot zamruczał: „mrrr mrrr”. Ale lis zrozumiał „cierrnie, cierrnie” i wystraszył się, że kot zna jego kryjówkę, i że zaraz go zaatakuje. Uciekł w te pędy.

A gdy świnia zaczęła chrząkać pod drzewem „chrrr, chrrr”, niedźwiedź zrozumiał „u górry, u górry” i wystraszył się: „O, świnia wie, że ja tu siedzę u góry na drzewie i pewnie chce je wyrwać z korzeniami!” - bo świnia właśnie zaczęła ryć pod tym drzewem. Niedźwiedź nie czekał już na nic, tylko skoczył na dół i wiał przez góry, doliny, aż się kurzyło. I tak wilk został sam, rad, że uratował własną skórę.

A stary Burek czekał, aż echo niesło się po górach. Cieszył się, że jego przyjaciele pomogli mu przepędzić to dzikie bractwo.

Od tego czasu było już Burkowi dobrze u bacy, aż do samej starości.

słowacka

Prosię, gęś, koza i wilk

Prosię, gęś, koza i wilk - każde z osobna - postanowili zbudować sobie domek, aby mieć przyjemnie i ciepło w zimie. Wilk był zbyt leniwy i nie chciało mu się dla siebie budować.

- Będę się grzał u was - orzekł.



Prosię zrobiło sobie jamę, wymościło ją mchem i położyło się.

Gęś wyskubała sobie pióra i zagrzebała się w nich. Ale koza nazbierała w lesie drew i zbudowała z nich solidny domek.

Wkrótce potem nastąpiło zimno. Wilk pobiegł do prosięcia i rzekł: - Kumie, prosiaczku, wpuść mnie!

- Nie zrobię tego!

- Jak mnie nie wpuścisz - zawołał groźnie wilk - to koniec z twoim domkiem!

Rozwalił domek i pożarł prosię. Gdy już się wyspał, poczuł znowu głód, więc poszedł do gęsi i rzekł:

- Kumo, gąsko, wpuść mnie!

- Nie zrobię tego!

- Jak mnie nie wpuścisz, to koniec z twoim domkiem! - zagroził. Rozwalił go i pożarł gęś. Gdy odpoczął i znowu poczuł głód, poszedł do kozy:

- Kumo, kozo, wpuść mnie!

- Nie zrobię tego! - odpowiedziała koza.

- Jak mnie nie wpuścisz - powiedział ostro wilk - to koniec z twoim domkiem!

Ale koza go nie wpuściła. Wilk podważył domek, lecz nie zdołał go wyrzucić. Teraz spróbował inaczej:

- Kumo, kozo, jutro jest jarmark w mieście, czy nie chciałabyś pójść ze mną?

Koza oczywiście chciała pójść na jarmark.

Nazajutrz wstała bardzo wcześnie, pobiegła na jarmark, kupiła tam saganek, garnek na mleko i chochlę, po czym udała się w drogę powrotną.

Wilk wstał później, pędem ruszył na jarmark, żeby nadrobić stracony czas i spotkać się z kozą. Ujrzała go z daleka, więc schowała się pod sagankiem, wystawał jej jednak ogonek.

Wilk nadbiegł, przewąchał trochę w przelocie, odgryzł odrobinę ogonka i rzekł do siebie:

- Ach, świetne są te korzonki! Niestety, nie mam czasu, ażeby je wszystkie powyrywać z ziemi, bo na jarmarku jest moja kuma, koza, ta zaś smakuje jeszcze lepiej!

Pobiegł na jarmark, a koza pospieszyła do domu. Tu roznieciła szybko ogień i przygotowała saganek wrzątku.

Wilk wrócił z jarmarku bardzo głodny i zły, ponieważ nie spotkał tam kozy.

- Kumo, kozo, otwórz! - wołał i usiłował wtargnąć do jej domku. - Dlaczego nie byłaś na jarmarku?

- Nie wpuszczę cię, bo mnie pożrzesz! - odparła koza.

- Ależ nie, tylko się ogrzeję, bo bardzo zmarzłem! - wołał wilk.

- Wobec tego poczekaj chwilkę, woda w saganek jeszcze nie gotowa - rzekła koza.

A wilk czekał przed domkiem i już ostrzył sobie zęby.

Gdy woda się zagotowała, koza zaczerpnęła chochlą ukropu, napełniła nim garnek od mleka, potem otworzyła drzwi i chlusnęła wilkowi prosto w pysk, aż upadł, wyszczerzył zęby i zaczął

przewracać oczami. Koza ugotowała jeszcze jeden sagan wrzątku i oblała nim wilka. Wilk zdechł. Wtedy ściągnęła z niego skórę i miała z niej wspaniałe futro na zimę.

łuzyczka

Jak jajko wędrowało

Jak jajko wędrowało? Ot, szło sobie tak, jak się zwyczajnie idzie: turlało się! Turlało się więc i uważało tylko, żeby nie potknąć się o coś twardego. Działo się to jednak w bardzo dawnych czasach. A teraz już nie pytajcie o nic więcej, opowiem wam tę bajkę.

W dawnych czasach udało się jajko na wędrowkę i spotkało raka.

- Dokąd idziesz? - pyta jajko.
- A ty, dokąd? - na to rak.
- Idę na wędrowkę.
- To i ja nie chcę być gorszy od ciebie, idę z tobą!

Teraz było ich już dwoje, więc zrobiło im się różnie. Idą, idą, spotkali kaczkę.

- Dokąd idziesz? - pyta jajko.
- A wy, dokąd? - na to kaczka.
- Idziemy na wędrowkę, chodź z nami, będzie nas troje. Trzy jest dobrą liczbą. Kaczka zgodziła się i tak byli już we trójkę.

Idą, idą, spotkali indyka.

- Dokąd idziesz? - pyta jajko.
- A wy, dokąd? - na to indyk.
- Idziemy na wędrowkę, chodź z nami, towarzyszu!

Indyk zgodził się i tak było ich już czworo.

Idą, idą, spotkali konia.

- Dokąd idziesz? - pyta jajko.
- A wy, dokąd? - na to koń.
- Idziemy na wędrowkę, chodź z nami, będzie nas pięcioro.

Koń przyłączył się do nich i teraz było ich tyle, ile palców u ręki.

Idą, idą, spotkali wołu.

- Dokąd idziesz? - pyta jajko.
- A wy, dokąd? - mówi wół.
- Idziemy na wędrownkę, chodź z nami, im nas będzie więcej, tym lepiej.

Wół zgodził się, i tak było ich sześcioro.

Idą, idą w rzędzie jeden za drugim, spotkali koguta.

- Dokąd idziesz? - pyta jajko.
- A wy, dokąd tak razem? - na to kogut.
- Idziemy na wędrownkę, chodź z nami, będzie nas siedmioro.

No, i pięknie, teraz było ich już siedmioro dobranych towarzyszy.

Wędrowali i wędrowali, aż weszli w ciemny bór i zabłądzili. Nie wiedzieli, w którą stronę iść, a do tego dokuczał im jeszcze głód. Dokąd się zwrócić? Co tu robić? Był rzeczywiście czas, żeby ruszyć rozumem. A jajko miało rozum za wszystkich. Kogutowi kazało wejść na wysoki świerk i rozejrzeć się. Kogut wlaź i gdzieś bardzo daleko od razu spostrzegł w ciemnościach boru małe światełko. Zapiał z radości. Ale jajko zawołało:

- No, to pędź teraz przed nami prosto w kierunku tego światełka i wskazuj nam drogę, a my pójdziemy za tobą. Choćbyśmy mieli spotkać tam wszystkich diabłów, musimy dostać jeść i nocleg.

I tak przyszedli do chatki, w której paliło się światło. Jajko rozkazało koniowi zapukać do drzwi. Koń zapukał i z izby wyszła stara baba.

- Czego chcecie? Czego szukacie? Jazda stąd, bo jak wrócą moi chłopcy, zetrą was na drobną kaszkę! - zajazgotała.
- Czy na kaszkę, czy nie, o to się nie martw, dawaj tu zaraz wszystkim siedmiu, jak jesteśmy, coś zjeść! - rzekło jajko.
- Dla takiego bractwa, jak wy nie mam nic! - złościła się baba.

Na to jajko do wołu, żeby wziął babę na rogi i wyniósł do lasu. Wół tak zrobił. Wyniósł babę, wrzucił ją do jakiegoś dołu i wrócił.

Weszli do izby i zobaczyli stół nakryty na siedem osób, a na nim i pieczone, i warzone, wszystkiego w bród. Bo to była chata siedmiu zbójców, którym stara właśnie przygotowała wspaniałą wieczerzę. A tu zbójcy już wracają, i to z wielką wrzawą i hałasem, że aż się echo w górach rozlegało.

I co teraz? Dobra rada drogo kosztuje, ale jajko znów wiedziało, co robić:

kogutowi kazało sięść na belce pod pułapem, wołu postawiło w sieni, konia w izbie za drzwiami, indyka za piecem, kaczkę pod ławę, raka do dzbana na stole, a samo schowało się w popiele, po czym zgasili światło.

Idą zbójcy, patrzą, a tu w ich chacie ciemno. „Zaspała stara, czy co?” - dziwią się. „Zaraz zobaczymy, co się dzieje!”

- Poczekajcie na dworze - rozkazał najstarszy - a sam udał się do chaty.

Wchodzi do sieni, a tu wół bierze go na rogi i rzuca przez otwarte drzwi do izby. Tutaj dostaje zbój kopniaka od konia, który stał za drzwiami.

- Co za diabeł! Poczekaj, zaraz ci poświecę! - złości się zbój i pędzi do pieca rozdmuchać żar.

Jak tylko odgarnął popiół i zaczął dmuchać, węgiel się rozżarzył i spalił jajko. Trrach! - jajko pękło i sypnęło gorącym popiołem zbójowi prosto w oczy. Skoczył jak oparzony do dzbana z wodą, żeby obmyć sobie twarz, a tu - ledwo wsadził rękę - rak capnął go swoimi kleszczami za palce. Zbój wyrwał rękę, przewrócił dzban i narobił wrzasku. Na to kaczką zatrzepotała skrzydłami i zakwakała: kwak, kwak, kwak. Zaraz też i indyk na piecu rozpostarł skrzydła, nadymał się, przechylił łepkę i zagulgotał: gul, gul, gul. Koń dał zbójowi jeszcze jednego kopniaka w plecy i pchnął go za drzwi, do sieni, a tam wół wziął go znowu na rogi i wyrzucił na podwórze. Zaś kogut, który siedział na belce, piał bez przerwy z całej siły: kukuryku, kukuryku! Zbój, całkiem rozbity i poraniony, wrócił do swoich kamratów.

- Co się tam dzieje? - zaczęli go wypytywać.

A zbój, złapawszy nieco tchu, tak mówił:

- Do diabła! Tam jest strasznie! Wchodziłem cicho na palcach, ale oni sami wepchnęli mnie do środka. Jak chciałem rozdmuchać ogień, żeby zobaczyć, z kim mam do czynienia, jakiś strzelec wypalił mi prosto w twarz. Jeszcze dobrze, żem oczu nie stracił. Kładę rękę do dzbana, bo chciałem sobie przemyć oczy, a tu mi jakiś krawiec nożycami o mało co nie obciął palców. Potem znów jakiś tkacz, wypadł spomiędzy ławek, rozerwał swoje krosna i czółenkiem trzasnął mnie w głowę, wrzeszcząc: tak! tak! Zaś od pieca jakiś piekarz rzucił we mnie łopata i wołał: wal! wal! Potem zza drzwi wyskoczył szewc, uderzył mnie kopytem i wypchnął do sieni, a tam wziął mnie jakiś łotr na widły i wyrzucił na dwór. Na szczęście nie cisnął mnie na belkę, bo tam czekał już kat z gotową szubienicą i wrzeszczał: dać go tu! dać go tu!

Zbójcy nie czekając dłużej wzięli nogi za pas i uciekli zostawiając wszystkie łupy, jakie sobie dotąd nagromadzili.

Zaś nasi przyjaciele - rzemieślnicy od siedmiu rzemiosł - zasiedli do stołu, na którym wszystko było gotowe, jakby czekało na nich. Jedli, pili, hałasowali, ile się dało. Później, nie wiadomo zresztą kiedy, każdy poszedł znowu w swoją stronę, i nie wiem, kiedy zbiorą się znowu, żeby wywinać taką mistrzowską sztuczkę.

słowacka

Czy za dobre trzeba odpłacać złem

Szedł raz chłop do młocki i spotkał po drodze wilka. Wilk pyta go:

- Hej, dokąd idziesz?
- Idę do młocki!
- Masz przy sobie worek? Schowaj mnie!
- Dlaczego mam cię schować w worku?
- Bo tropią mnie myśliwi i chcą mnie zabić. Jak mnie poratujesz, sowicie ci to wynagrodzę.

Chłop wsadził wilka do worka i poszedł wprost na myśliwych, bo tak mu wypadła droga. Ci pytają go:

- Nie widziałeś wilka?
- Nie!

I myśliwi poszli dalej.

Wtedy chłop do wilka:

- Dalej nie będę cię niósł, myśliwi już sobie poszli. - I wypuścił wilka z worka.
- No, co dostanę za to? - pyta chłop.
- Nic - mówi wilk - pożrę cię!

Na to chłop:

- To tak?! Za mój dobry uczynek odpłacasz mi złem?

Wilk:

- Nie spodziewaj się nigdy dobra za dobro!
- Wilku, poczekaj - powiada chłop - aż spotkamy kogoś, kto nam to potwierdzi.

Spotkali psa. Był kulawy i bez zębów. Chłop pyta go:

- Mój piesku, czy to tak zawsze jest, że nigdy nie należy spodziewać się dobra za dobro?
- Dlaczego pytasz?
- Bo temu oto wilkowi uratowałem życie. Myśliwi tropili go, byli tuż, więc schowałem go do tego worka; jak go wypuściłem, to powiedział, że mnie pożre.
- No, właśnie - mówi pies - tak to już jest. Gdy byłem młody, pilnowałem memu panu majątku i gospodarstwa. Teraz zaś, gdy już nie potrafię odegnać złodziei, pan mnie wypędził. Toteż nie oczekuj nigdy dobra za dobro!

Wilk znowu swoje:

- No, teraz cię zjem!

Ale chłop powiada:

- Chodźmy dalej, może jeszcze kogo spotkamy.

Spotkali starego, kulawego konia. Pytają:

- Koniu, powiedz nam, czy za dobro można spodziewać się dobra?

Koń na to:

- Nigdy nie oczekujcie dobra za dobro!
- Dlaczego? - pyta chłop.

Koń na to:

- Gdy byłem młody, mój pan bardzo mnie lubił. Chodziłem wtedy w karocy i było mi dobrze; jak się już zestarzałem, musiałem ciągnąć ciężki, żniwny wóz, a nawet młocarnię. A jak mi ta maszyna złamała nogę, wtedy mój pan mnie przepędził, mówiąc, że nawet garści obroku nie jestem wart!

Na to wilk do chłopca:

- A widzisz, koń też powiada, że nie należy nigdy spodziewać się dobra za dobro. Teraz to już naprawdę cię pożrę!

Lecz chłop odparł:

- Chodźmy jeszcze kawałek, spytamy jeszcze kogoś trzeciego, co o tym myśli. I spotkali lisa. Chłop pyta:  
- Lisku, powiedz nam, czy za dobro można spodziewać się dobra?

Lis:

- Dlaczego pytasz?  
- Bo to było tak - powiada chłop. - Szedłem do młocki i miałem ze sobą worek. A tego tu wilka myśliwi chcieli zastrzelić. Prosił więc mnie bardzo, żebym ukrył go w tym worku przed myśliwymi, a on mnie już za to dobrze wynagrodzi. Jak myśliwi nas minęli, wypuściłem wilka. Wtedy powiedział mi, że mnie pożre. Spytałem go więc, czy tak chce odpłacić mi za dobro.

Lis wysłuchawszy chłopca powiada na to, że nie wierzy, żeby ten wilk zmieścił się w worku. Niech chłop rozwiąże worek, i niech wilk pokaże, czy się tam zmieści. I wilk wlaź do worka:  
- A teraz, chłopie - powiada lis - zwiąż mocno worek, rzuć go na ziemię i bij cepami co sił! Patrz przy tym, czy z tego worka wyjdzie coś dobrego!

Potem lis jeszcze dodał:

- Jak świat szeroki - obojętnie, czy wśród ludzi, czy wśród wilków - jeden drugiemu powinien odpłacać dobrem za dobre.

Lecz gdyby chłop nie spotkał liska, wilk byłby go z pewnością pożarł.

słowacka

## Niedźwiedź i komar

Pewnego razu spotkali się niedźwiedź z komarem.

- Hej, komarze, siadasz na każdym stworzeniu i pijesz, ile chcesz.

Powiedz mi, czyja krew jest najśłodsza? - spytał niedźwiedź komara. Ten odparł:

- Ludzka krew jest oczywiście najśłodsza!

No, dobrze. Niedźwiedź natychmiast postanowił skosztować ludzkiej krwi.

Spostrzegłszy chłopczyka mówi:

- Stój! Czyś ty jest człowiekiem?

- Dopiero nim będę! - I chłopiec hardo podskoczył w górę, jakby chciał w oka mgnieniu stać się dorosłym człowiekiem.

- No, to sobie podskakuj - mruknął niedźwiedź - nic mi po tym, co dopiero będzie. - I poszedł dalej.

Spotyka żebraka:

- Stój! Czyś ty jest człowiekiem?

- Byłem nim kiedyś - żebrak zaniósł się kaszlem i zgarbił się jeszcze bardziej, że go prawie nie było widać.

- Ee, garb się dalej - mruknął niedźwiedź - nic mi po tym, co już było.

Idzie niedźwiedź, idzie, spotyka huzara na koniu:

- Stój! Ktoś ty?

- Człowiek z głową na karku! - odparł huzar i podciął konia.

Ale niedźwiedź za nim i - dalej na huzara! Ten zrobił zwrot i wali na niedźwiedzia z szablą. Tak go trzasnął, że aż trysła krew.

Niedźwiedziowi odechciało się wszystkiego, wziął nogi za pas, że tylko pięty było mu widać. A huzar jeszcze dobył strzelby i strzelił do niego.

Po jakimś czasie niedźwiedź znów spotkał się z komarem:

- Hej, komarze, może to i prawda, że ludzka krew jest najśłodsza, ale już przeszła mi ochota na nią.

- No, dlaczego? - pyta komar.

- No, dlatego, że człowiek nie zna się na żartach. Ledwo ruszyłem na niego, wyciągnął język, i to taki długi, że sięgnął nim het przed siebie, a taki ostry, że ciachnął mnie do kości. Dałem już człowiekowi spokój, a on obrócił się i dołożył mi jeszcze czymś w bok, że prawie skonał z bólu. Jeszcze teraz rwie mnie pod kożuchem.

Chytry komar tak trząsł się od śmiechu, że omal nie pękł. Ale to się tylko tak mówi, bo jak może komar pęknąć, skoro nie ma w ogóle mięsa! Dlatego też musi pić krew z wszelkiego stworzenia.

słowacka

O kogutku i kurce

Kogutek i kurka wyszli razem szukać orzeszków. Kogutek mówi:

- Co które z nas znajdzie, tym podzielimy się po połowie.
- Dobrze - zgodziła się kurka; drapała i drapała, i znalazła ziarnko.

Chętnym sercem podzieliła się z kogutkiem. Potem drapał kogutek i też znalazł ziarnko. Był jednak łakomy i chciał je sam szybko połknąć. Ale ziarnko stanęło mu w przełyku.

- Biegnij, kurko, przynieś szybko wody, bo skonam!

To rzekłszy przewrócił się i leżał nóżkami w górę. A kurka pobiegła szybciutko do studni:

Studzienko, daj wody  
memu kogutkowi;  
leży tam w oborze,  
wyciągnął nóżki ku górze,  
boję się, że umrze!

Studzienka na to:

- Nie dam ci wody, dopóki nie przyniesiesz mi szatek od szwaczki.

Kurka biegnie do szwaczki:

Szwaczko, daj szatki studziencie,  
studzienka da wody  
memu kogutkowi;  
leży tam w oborze,



wyciągnął nóżki ku górze,  
boję się, że umrze!

Szwaczka mówi:

- Nie dam ci szatek, dopóki nie przyniesiesz mi trzewiczków od szewca.

Kurka biegnie do szewca:

Szewczyku, daj szwaczce trzewiczki,  
szwaczka da studziencie szatki,  
studzienka da wody  
memu kogutkowi;  
leży tam w oborze,  
wyciągnął nóżki ku górze,  
boję się, że umrze!

Szawc powiada:

- Nie dam ci trzewiczków, dopóki nie przyniesiesz mi szczeciny od świnki.

Biegnie kurka do świnki:

Świnko, daj szewczykowi szczeciny,  
szewczyk da szwaczce trzewiczki,  
szwaczka da studziencie szatki,  
studzienka da wody  
memu kogutkowi;  
leży tam w oborze,  
wyciągnął nóżki ku górze,  
boję się, że umrze!

Świnka na to:

- Nie dam ci szczeciny, dopóki nie przyniesiesz mi wytłoczyn od piwowara.

Kurka biegnie do piwowara:

Piowarze, daj śwince wytłoczyn,  
świnka da szewczykowi szczeciny,

szewczyk da szwaczce trzewiczki,  
szwaczka da studziencie szatki,  
studzienka da wody  
memu kogutkowi;  
leży tam w oborze,  
wyciągnął nóżki ku górze,  
boję się, że umrze!

Ale piwowar powiedział:

- Nie dam ci wytłoczyn, dopóki nie przyniesiesz mi śmietany od krowy.

Kurka biegnie do krowy:

Krówko, daj piwowarowi śmietany,  
piwowar da śwince wytłoczyn,  
świnka da szewczykowi szczeciny,  
szewczyk da szwaczce trzewiczki,  
szwaczka da studziencie szatki,  
studzienka da wody  
memu kogutkowi;  
leży tam w oborze,  
wyciągnął nóżki ku górze,  
boję się, że umrze!

Krowa na to:

- Nie dam ci śmietany, dopóki nie przyniesiesz mi trawy z łąki.

Kurka biegnie do łąki:

Łączko, daj krówce trawy,  
krówka da piwowarowi śmietany,  
piwowar da śwince wytłoczyn,  
świnka da szewczykowi szczeciny,  
szewczyk da szwaczce trzewiczki,  
szwaczka da studziencie szatki,  
studzienka da wody  
memu kogutkowi;  
leży tam w oborze,  
wyciągnął nóżki ku górze,

boję się, że umrze!

Łąka powiedziała:

- Nie dam ci trawy, dopóki nie uprosisz mi z nieba rosy.

Kurka prosi:

Niebo, niebo kochane, daj łące rosy,  
łąka da krówce trawy,  
krówka da piwowarowi śmietany,  
piwowar da śwince wytłoczyn,  
świnka da szewczykowi szczeciny,  
szewczyk da szwaczce trzewiczki,  
szwaczka da studziencie szatki,  
studzienka da wody  
memu kogutkowi;  
leży tam w oborze,  
wyciągnął nóżki ku górze,  
boję się, boję się, że umrze!

Niebo zlitowało się nad kurką i zesłało łące rosę. Łąka dała trawę, krowa śmietanę, piwowar wytłoczyny, świnka szczecinę, szewc trzewiczki, szwaczka szatki, a studzienka wodę. Kurka nabrała jej do dzióbka i, jak tylko kogutkowi wlała parę kropel do gardła, ziarnko spłynęło, kogutek poderwał się na nogi, zatrzepotał skrzydełkami i zapał wesoło „kukuryku!”  
Potem już nigdy więcej nie był łakomy, wszystkim dzielił się chętnie z kurką.

czeska